

DUNBAR

NOWA POWIEŚĆ AUTORA CYKLU
PATRICK MELROSE



EDWARD ST AUBYN

Edward St Aubyn

DUNBAR

przełożył Maciej Płaza



Tytuł oryginału: *Dunbar*

Copyright © Edward St Aubyn 2017

First published as *Dunbar* by Hogarth, an imprint of Vintage. Vintage is part of the Penguin Random House group of companies

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIX

Copyright © for the Polish translation by Maciej Płaza, MMXIX

Wydanie I

Warszawa MMXIX

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

Dedykacja

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

Podziękowania

Przypisy

dla Kate

– Odstawiliśmy prochy – wyszeptał Dunbar.

– Odstawiliśmy prochy i strzelamy fochy – zaśpiewał Peter – wciągajmy majciochy, bo odstawiliśmy prochy! Jeszcze wczoraj – ciągnął konspiracyjnym szeptem – ślina ciekła nam na kłapy frotowych szlafroków, a dziś odstawiliśmy prochy! Wypłuliśmy je, zaaplikowaliśmy uspokojenie aspidistrom w doniczkach. Gdyby te świeże lilie, które codziennie dostajesz...

– Gdy sobie pomyślę, kto je przysyła!... – warknął Dunbar.

– Spokojnie, staruszk.

– Zabrały mi moje imperium, a teraz przysyłają mi śmierdzące lilie!

– Och, miał pan imperium? – spytał Peter głosem usługowej gospodyni. – W takim razie koniecznie musi pan poznać Gavina z pokoju numer 33. Jest tu w przebraniu. W rzeczywistości nazywa się – ściszył głos – *Aleksander Wielki*.

– Guzik prawda – burknął Dunbar. – Aleksander Wielki od dawna nie żyje.

– No cóż – stwierdził Peter głosem psychiatry z Harley Street – jeśli te nieźrównoważone lilie będą wykazywać skłonności do schizofrenii, podkreślam, zaledwie skłonności, charakterystyczne objawy, nie zaś rozwiniętą w pełni chorobę, da się je ułagodzić z minimalnym udziałem zgubnych skutków ubocznych. – Pochylił się do przodu i szepnął: – I właśnie tam wrzuciłem moje zabójcze prochy, do wazonu z liliami!

– Ale ja naprawdę miałem imperium! – powiedział Dunbar. – Czy opowiadałem ci kiedyś, w jaki sposób mi je odebrano?

– Ileż to razy, staruszk, ile razy... – odparł Peter sennym tonem.

Dunbar dźwignął się z fotela, postąpił kilka kroków naprzód, po czym wyprostował się, mrużąc oczy przed mocnym światłem wpadającym przez wzmocnioną szybę do jego luksusowej celi.

– Oznajmiłem Wilsonowi, że chcę pozostać w firmie jako prezes niewykonawczy – zaczął. – Zostawię sobie samolot, doradców, nieruchomości i odpowiednie przywileje, ale zrzucę z siebie brzemię. – Sięgnął po duży wazon z liliami i postawił go ostrożnie na podłodze. – Zrzucę z siebie brzemię codziennego kierowania trustem. „Od teraz”,

powiedziałem mu, „świat będzie dla mnie idealnym miejscem rozrywek, a w swoim czasie stanie się moim prywatnym hospicjum”.

– O, to doskonale – powiedział Peter. – „Świat to moje prywatne hospicjum”. To coś nowego.

– Wilson na to: „ależ trust jest wszystkim” – opowiadał dalej Dunbar, z każdym zdaniem coraz bardziej wzburzony. – „Jeśli go porzucisz, nic ci nie zostanie. Nie możesz czegoś oddać, a zarazem zatrzymać”.

– To stanowisko jest nie do utrzymania – wtrącił Peter – jak powiedział R.D. Laing do biskupa.

– Błagam, pozwól mi skończyć! – mówił dalej Dunbar. – Powiedziałem Wilsonowi, że chodzi o podatek. Że da się obejść podatek spadkowy, jeśli od razu przepiszę firmę na moje córki. Wilson na to: „Lepiej zapłacić podatek, niż się wydziedziczyć”.

– Fajny ten Wilson! – stwierdził Peter. – Mówi jak koleś z głową na prochach. To znaczy z prochami na głowie. Z głowami na karku.

– On ma tylko jedną głowę – powiedział Dunbar niecierpliwie. – Nie jest potworem. To moje córki są potworami.

– Tylko jedną głowę! – zawołał Peter. – Co za nudny koleś! Kiedy ja jadę na antydepresantach, mam więcej głów niż klepek w każdej z nich.

– Świetnie, świetnie – powiedział Dunbar. Spojrzał w górę i zagrzmiął głosem Wilsona: – „Nie możesz zatrzymać atrybutów władzy, nie mając samej władzy. To... – zawahał się, wzbraniał przed wypowiedzeniem tego słowa, w końcu jednak pozwolił, by spadło na niego ze zdobionego sztukateriami sufitu: – dekadencie”.

– Och! Dymisja, demencja, dekadencja – powiedział Peter z teatralnym tremolo – i postępująca z każdą sylabą dekompozycja w ciasnym grobie. Z jakąż lekkością zstąpiliśmy tam po wąskich schodkach, niczym Fred Astaire, obracając w rękach kosę zamiast laseczki!

– Boże przenajświętszy! – Dunbar spurpurowiał na twarzy. – Czy mógłbyś mi wreszcie nie przerywać? Nie jestem do tego nawykły. Dotychczas ludzie potulnie mnie słuchali. Jeśli już się odzywali, to po to, by mi kadzić lub przypocholebić się dla własnej korzyści. A ty, ty...

– No dobra, ludziska! – Peter udał, że zwraca się do rozszalałego tłumu. – Ucisza się! Posłuchajmy, co ten człowiek ma nam do powiedzenia.

– „Mogę robić wszystko, co mi się żywnie podoba!” – krzyknął Dunbar.

– Tak powiedziałem Wilsonowi. „Nie pytam cię o radę, tylko informuję o mojej decyzji. Ma być po mojemu!”. – Ponownie spojrzął w sufit

i ciągnął: – On na to: „Nie jestem tylko twoim prawnikiem, Henry. Jestem ostatnim przyjacielem, jaki ci został. Mówię to po to, by cię chronić”. Zagrzmiałem wtedy: „Przeceniasz naszą przyjaźń. Nie będziesz mnie pouczał, co mam robić z firmą, którą sam założyłem”. – Dunbar pogroził pięścią w stronę sufitu. – Po tych słowach chwyciłem jajko Fabergégo, które leżało na moim biurku na podściółce z bibuły, już trzecie w tym miesiącu. Ależ ci Rosjanie byli monotoni w swoich imperialnych pretensjach! Banda żydowskich kleptokratów ze słomą wystającą z butów. „Po diabła mi ta ruska tandeta!”, krzyknąłem i cisnąłem jajkiem w kominek za biurkiem, aż masa perłowa i kawałeczki emalii prysnęły na wszystkie strony. „Wiesz, jak moje córki na to mówią?”, spytałem Wilsona. „Świecełka. Po diabła mi te ruskie świecełka!”. Wilson pozostał niewzruszony. Te „dziecinne napady złości” zdarzały się już prawie co dzień, mój zespół medyczny zaczynał się martwić. Wiesz? – spytał Petera podekscytowany. – Ja już umiem czytać mu w myślach. Mam...

– Obawiam się, że masz urojenia psychotyczne – stwierdził Peter, psychiatra z Harley Street.

– Och, przestań wreszcie udawać lekarza!

– No to kogo mam udawać?

– Po prostu bądź sobą, na litość boską.

– Oj, tego jeszcze nie mam w programie, Henry. Zadaż mi coś łatwiejszego. Co powiesz na Johna Wayne’a? – Peter nie czekał na odpowiedź i rzucił, zaciągając po teksasku: – Zabierajmy się z tej spelunki, Henry. Jutro o zachodzie słońca wejdziemy do saloonu w Windermere i każemy barmanowi podać po szklaneczce, jak prawdziwi mężczyźni, którzy są panami swojego przeznaczenia.

– Muszę dokończyć opowieść – jęknął Dunbar. – Boże, nie pozwól mi zwariować!

– Sam rozumiesz. – Peter nie zwracał uwagi na jego desperację. – Jestem, a może byłem, a może bywałem, kto wie, czy już przeszedłem do historii, czy jeszcze nie, no więc jestem sławnym komikiem, ale choruję na depresję, komiczną przypadłość, a może tragiczną przypadłość komika albo historyczną przypadłość tragicznych komediantów, a może fikcyjną tragiczną przypadłość historycznych komediantów!

– Błagam! – powiedział Dunbar. – Mąci mi się w głowie.

– Och, mam depresję z głowy, mam depresję z głowy – zaśpiewał Peter, zerwał się z fotela, chwycił Dunbara za ręce i próbował zmusić do obrotów – tak bardzo z głowy, że aż popadam w manię! – Nagle znieruchomiał, puścił rękę Dunbara i odezwał się głosem lektora: – Dzielnie usiłowałem odzyskać panowanie nad kierownicą, podczas gdy wóz z piskiem opon pędził ku przepaści.

– Widziałem wiele twoich twarzy – powiedział Dunbar z roztargnieniem – na wielu ekranach.

– Och, wcale nie uważam, że jestem wyjątkowy – stwierdził Peter z udawaną skromnością. – Nie jestem jedyny. Wręcz przeciwnie: gdy w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim roku moja matka lekkomyślnie sprowadziła mnie na ten padół łez, w samej tylko książce telefonicznej Londynu było już dwustu trzydziestu Peterów Walkerów. Ja byłem dwieście trzydziesty pierwszy. Jest nas cały tłum.

Dunbar stał bez ruchu pośrodku pokoju.

– Ale to tylko dygresja – rzekł Peter jowialnie. – Opowiedz mi o tym swoim „zespolu medycznym”, staruszku.

– O moim zespole medycznym... – Dunbar chwycił się swojsko brzmiących słów niczym poręczy dającej oparcie w gmatwaniu myśli. – A, tak, tak. Ledwie dzień przed tym, jak przedstawiłem Wilsonowi swoją decyzję, doktor Bob, mój osobisty lekarz, szepnął mi na boku, że zdarzają mi się ostatnio „drobne incydenty mózgowe”. Ale, jak dodał, „nie jest to coś, czym należałoby się *zbyt*no martwić”.

– Czy istnieje coś, czym należałoby się *zbyt*no martwić – Peter nie mógł się powstrzymać – skoro tyle jest rzeczy, którymi należy się martwić w sam raz?

Dunbar machnął ręką, jak gdyby odpędzał natrętą muchę.

– Ale – ciągnął – ten wygadany doktorek, ten pozłacany wąż, ten dwunastościan foremny, który powinien być znać się na rzeczy, skoro jego jedynym pacjentem byłem ja, moja osoba, Henry Dunbar – huknął się w pierś – Henry Dunbar!...

– Henry Dunbar? Chyba nie ten kanadyjski magnat prasowy?! – spytał Peter z udawanym przejęciem. – Jeden z najbogatszych ludzi na świecie, a z całą pewnością najpotężniejszy?

– Tak, tak, to ja, we własnej osobie, a przynajmniej pod własnym nazwiskiem... Moja gramatyka trochę się wykoleja, gdy znajduje się w pobliżu niektórych idei, kręci się w kółko wokół niektórych wirów. Tak

czy owak mój osobisty lekarz, ten nikczemny zdrajca, uważał, że lepiej będzie „zminimalizować” te napady, aby nie wpływały zanadto na moje otoczenie i nie dawały nikomu powodu do zmartwień.

– Napady osiągną maksimum jutro po południu – obwieścił Peter – w miarę jak huragan Henry będzie przemieszczał się nad Krainą Jezior. Telewizjom radzimy wczołgać się do piwnic i przywiązać się łańcuchem do skał.

Dunbar zamachał rękoma wokół głowy, odpędzając jeszcze więcej much.

– Ja... Ja. O czym to ja mówiłem? A, tak, no więc po tym drobnym pokazie wściekłości Wilson pozostał niewzruszony, sądząc, że tak jest najwłaściwiej. Tymczasem mój wzrok znów spoczął na jajku. Powierzchnię miało wyszczerbioną i popękana, ale wewnątrz ze złota, więc nie roztrzaskało się w sposób, jakiego domagał się mój nastrój. Stałem nad tą irytującą zabaweczką i bez litości sprowadziłem na nią zagładę, okazała się jednak wytrzymalsza, niż się spodziewałem, i wyśliznęła mi się spod buta. Zdążyłem chwycić się gzymsu kominka i tylko to uchroniło mnie przed haniebnym upadkiem. Widziałem, jak lojalny Wilson podnosi się z fotela, a potem siada z powrotem. Ten chwilowy wstrząs uwolnił mnie od furii i wprowadził mój umysł w delikatniejszy stan. „Starzeję się, Charlie”, powiedziałem do Wilsona, podnosząc jajko i tłumiąc uczucie trwogi, które nęka mnie od tamtego idiotycznego wypadku w Davos: że znów spadnę, że nie jestem dłużej w stanie zaufać swojemu zdradzieckiemu ciału. „Nie chcę już tak ogromnej odpowiedzialności”, powiedziałem. „Dziewczyny się mną opiekują. Nic nie sprawia im większej przyjemności niż cackanie się ze starym ojczulkiem”.

– Krótko mówiąc – stwierdził Peter z mocnym wiedeńskim akcentem – „przekształcił pan swoje córki w matkę!”, jak powiedział Freud do biskupa na rogu Heimatstrasse i Wanderlust.

– Podszedłem do najbliższego okna, otworzyłem je – ciągnął Dunbar – i śmignąłem jajko w dal. „Zrobię komuś prezent”, powiedziałem. „O ile nie rozbijesz mu czaszki”, powiedział Wilson. „Głowy są kruchsze od złota”.

– Och, jakież mądry ten Wilson! – zauważył Peter.

– „Zdążylibyśmy już usłyszeć wrzask”, uspokoilem go, siadając za biurkiem. „Ludzie chętniej ukrywają radość niż ból. Może też byś chciał takie? Mam tyle tych ruskich świecidełek, że mógłbym zrobić z nich

omlet. Proszę”. Otworzyłem szufladę i rzuciłem mu jajko. Wilson, który od lat bawił się ze mną i moją rodziną w rzucanie piłki, począwszy od tamtego pierwszego niedzielnego obiadu, gdy zastał nas grających w baseball w ogrodzie jak normalna rodzina (czy raczej jak rodzina grająca normalną rodzinę), zręcznie złapał błyskotkę, zerknął na koronkę z maleńkich diamencików, którą pokryta była jej karmazynowa powierzchnia, i bez słowa odłożył jajko na stolik obok fotela. Toczyło się przez chwilę i znieruchomiło niepewnie obok pustej filiżanki z miśnieńskiej porcelany, z której Wilson wcześniej pił kawę.

– Podobają mi się te detale, skarbie – powiedział Peter tonem rozemocjonowanego reżysera teatralnego. – Naprawdę mi się podobają.

– „Powinieneś przynajmniej zachować sobie pakiet udziałów”, poradził Wilson. „Od razu też uprzedzam, że nie będzie ci wolno zatrzymać Global One. Osoby prywatne nie mogą mieć jumbo jetów”. „Nie będzie mi wolno?”, zagrzałem. „*Wolno?*”. Czy ktoś ośmielił się nie spełnić życzeń Dunbara? Czy ktoś ośmielił się nie spełnić jego zachcianek?

– Tylko Dunbar! Któż by inny – powiedział Peter. – Tylko on ma taką władzę. Lub miał taką władzę. Albo miewał taką władzę.

– Zażadam, by był to warunek przepisania firmy na moje córki! Klnę się na Boga, że postawię na swoim!

Rozległo się pukanie do drzwi i Dunbar zamilkł momentalnie. Przez jego twarz przemknął wyraz popłochu.

– Szybko! – Peter gwałtownie odsunął się na bok. – Pamiętaj, staruszkule: udawaj, że bierzesz prochy, ale ich nie połykaj – szepnął. – Jutro wielka ucieczka, pryskamy z więzienia.

– Tak, wielka ucieczka – szepnął Dunbar, po czym zawołał wielkopańskim tonem: – Wejść!

Peter zanucił temat muzyczny z filmu *Mission: Impossible* i puścił do niego oko. Dunbar starał się odpowiedzieć mu tym samym, ale poczuł, że nie ma władzy nad swoimi powiekami z osobna, mrugnął więc kilka razy obojgiem oczu.

Do pokoju weszły dwie pielęgniarki, pchając wózek zastawiony buteleczkami i plastikowymi kubeczkami.

– Dzień dobry, panowie – powiedziała starsza z pielęgniarek, siostra Roberts. – Jak się dziś czujemy?

– Czy kiedykolwiek przyszło pani do głowy, siostrze Roberts – spytał Peter – że tego, co się w nas dzieje, a tym bardziej między nami, nie da

się sprowadzić do pojedynczej emocji?

– Znam te pana numery, panie Walker – odparła siostra Roberts. – Czy byliśmy na dzisiejszej terapii grupowej?

– Byliśmy na dzisiejszym spotkaniu i z przyjemnością donoszę, że wypełniło nas ciepłutkie poczucie koleżeństwa z naszymi koleżeńskimi kolegami.

Siostra Muldoon nie mogła powstrzymać się od chichotu.

– Nie prowokuj go – powiedziała siostra Roberts i westchnęła z niezadowoleniem. – Nie będziemy już więcej uciekać do pubu?

– Za kogo pani mnie ma? – uniósł się Peter.

– Za dokuczliwego alkoholika – odparła sarkastycznie pielęgniarka.

– Jakaż siła zdołałaby skłonić kogokolwiek do opuszczenia tego sławnego urokliwego zakątka? – Peter wrócił do teatralnego tremolo. – Tej oazy naturalnych uspokajaczy, tej doliny, przez którą mleko ludzkiej dobroci płynie niczym jedwabista rzeka, lecząc znękané umysły i tak już sytej klienteli?

– Już my mamy na pana oko – mruknęła siostra Roberts.

– Tu, w Schloss Meadowmeade – Peter przeobraził się w niemieckiego Kommandanta – poziom bezpieczeństwa wynosi dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek dziewięć procent! Tej jednej dziesiątej brakuje nam wyłącznie dlatego, że zamknęłyście jednego z waszych oficerów na całą noc, gdy siedział na okiennym parapecie, i odmroził sobie palec!

– Dość już tych bzdur! – powiedziała siostra Roberts. – Co ten wazon robi na podłodze? Siostró Muldoon, proszę go odstawić na miejsce, a potem odprowadzić pana Walkera do jego pokoju. Pan Dunbar musi zażyć popołudniowego odpoczynku. Czas się pożegnać i pozwolić mu na chwilę ciszy i wytchnienia.

– Na razie, partnerze – powiedział John Wayne, puszcżając oko do Dunbara.

Dunbar odmrugnął kilkakrotnie obojgiem oczu na znak, że zrozumiał.

Gdy siostra Muldoon wyprowadziła Petera, siostra Roberts wtoczyła wózek do pokoju sypialnego. Dunbar poszedł za nią.

– Odnoszę wrażenie, że pan Walker nie ma na pana dobrego wpływu – stwierdziła pielęgniarka. – Przez niego jest pan nadmiernie pobudzony.

– Tak – potwierdził Dunbar z pokorą – ma pani zupełną rację, siostró. Jest nieco natrętny. Czasem mnie trochę przeraża.

– Wcale się nie dziwię, skarbie. Szczerze mówiąc, nigdy nie lubiłam tych *Wielu twarzy Petera Walkera*; ilekroć trafiłam na to w telewizji, zmieniałam kanał. A takiego na przykład Danny’ego Kaye’a mogłam oglądać codziennie. To były bardziej niewinne czasy. Albo Dick Emery. Ten to umiał mnie rozśmieszyć! – mówiła siostra Roberts, spulchniając poduszki, podczas gdy Dunbar siedział na skraju łóżka, istne uosobienie otepiałego starca.

– A teraz pora na popołudniowe tabletki. – Pielęgniarka wzięła dwie buteleczki i wyłuskała plastikowy kubeczek ze stosiku stojącego w rogu tacy. – Jedną milutką zielono-brązową, od której robi nam się ciepło i przytulnie – objaśniała językiem na tyle prostym, by nawet biedny stary Dunbar mógł zrozumieć – a potem dużą białą, która wybije nam z głowy niemądre myśli, jakoby nasze córki nas nie kochały, choć przecież płacą za to, byśmy mogli tu, w Meadowmeade, zażywać długich wakacji i zasłużonego odpoczynku po wielu latach bycia niezmiernie zajęтым i niezmiernie ważnym człowiekiem.

– Ja wiem, że one mnie kochają, naprawdę. – Dunbar wziął kubeczek z tabletkami. – Po prostu jestem skołowany.

– Ależ oczywiście – powiedziała pielęgniarka. – Dlatego tu jesteś, skarbie: żebyśmy mogli ci pomóc.

– Mam jeszcze jedną córkę... – zaczął Dunbar.

– Jeszcze jedną córkę? – spytała siostra. – Oj, chyba muszę porozmawiać z doktorem Harrisem o zwiększeniu dawek.

Dunbar wrzucił tabletki do ust i pociągnął łyk wody ze szklanki wręczonej przez pielęgniarkę. Uśmiechnął się z wdzięcznością, położył na łóżku i nie mówiąc już ani słowa, zamknął oczy.

– No, a teraz się ładnie zdrzemniemy – powiedziała siostra Roberts, wytaczając wózek z pokoju. – Słodkich snów!

Gdy tylko zamknęły się drzwi, Dunbar otworzył szeroko oczy. Usiadł, wypluł tabletki w dłoń, po czym dźwignął się z łóżka i powłócząc nogami, wrócił do pokoju dziennego.

– Potwory – mruknął. – Sępy, które rozszarpują mi serce i wnętrzności.

Wyobraził sobie rozczochrane pierzaste łby sępów, usmarowane krwią i flakami. Podstępne, zdradzieckie zołzy, które zdeprawowały jego osobistego lekarza – człowieka upoważnionego do oględzin jego ciała, pobierania próbek krwi i moczu, badania prostaty, świecenia latareczką na jego wrażliwe migdałki... to nie do pomyślenia, po prostu nie do

pomyślenia! – i zmieniły go w swojego *aż nazbyt* osobistego ginekologa, swojego alfonsa, swojego kopulatora, swój węzowy wibrator!

Drżącymi palcami Dunbar wrzucił tabletki do wazonu.

– Sądźcie, że uda wam się wykastrować mnie swoimi chemikaliami, co? – powiedział. – No to lepiej miejcie się na baczności, bo wracam po swoje. Jeszcze nie jestem spisany na straty. Jeszcze się odegram. Jeszcze... Nie wiem, co jeszcze zrobię... Ale jeszcze...

Nie przychodziły mu do głowy właściwe słowa, nie przychodziło żadne postanowienie, ale wściekłość wzbierała w nim, aż zaczął warczeć jak wilk zbierający się do ataku. Warkot narastał w nim z wolna, nie znajdował ujścia. Dunbar uniósł wazon nad głowę, chciał rąbnąć nim w okno swojej celi, lecz zastygł bez ruchu. Nie potrafił tego zrobić, nie umiał też go odstawić – wszelkie działania udaremniała tocząca się w jego wnętrzu wojna wszechmocy z niemocą, trzymająca w klinczu ciało i umysł, daleka od jakiegokolwiek rozstrzygnięcia.

– No, ale dlaczego nie możesz mi powiedzieć, gdzie on jest? – dopytywała się Florence. – Przecież to także mój ojciec.

– Ależ oczywiście, że ci powiem, kochana – odparła Abigail chrapliwym głosem, w którym pobrzmiwał kanadyjski akcent przykryty grubą polewą angielskiego wykształcenia. Przytrzymując ramieniem słuchawkę telefonu, zapaliła papierosa. – Po prostu w tej chwili nie mogę sobie przypomnieć, jak się to przekłete miejsce nazywa. Obiecuję, że sprawdzę i każę komuś napisać ci to w e-mailu.

– Wilson aż tak bardzo się martwił o Henry’ego, że pojechał za nim do Londynu – powiedziała Florence. – A gdy Henry go zobaczył, od razu wywalił go z pracy. Po czterdziestu latach...

– Wiem. Czy to nie okropne? – Abigail zapatrzyła się bezmyślnie przez okno sypialni w oświetlone słońcem wieżowce Manhattanu. – Tatuś zrobił się bardzo mściwy.

– Wilson mówił, że nigdy dotąd nie widział go tak rozjuszonego. Wykrzykiwał coś do przechodniów na Hampstead High Street, po tym, jak przysłałaś mu jakąś opinię psychiatryczną. Bankomaty zatrzymały mu wszystkie karty kredytowe, a gdy się okazało, że telefon też ma odłączony, tak się wściekł, że cisnął go pod przejeżdżający autobus. Nie rozumiem, jak mogło do tego dojść.

– Och, przecież wiesz, jaki to raptus.

– Nie o to mi chodzi. Nie rozumiem, w jaki sposób jego karty i telefon...

– Kochana, on dostał kompletnego hyzia. Policja znalazła go w Hampstead Heath, siedział tam w wydrążonym pniu drzewa i gadał do siebie.

– Gdyby każdy, kto gada sam do siebie, miał lądować w szpitalu psychiatrycznym, na świecie brakłoby ludzi do opieki.

– Teraz już naprawdę zaczynasz mnie wnerwiać. Doktor Bob uznał, że tatuś ma poważny epizod psychotyczny – powiedziała Abigail, z uśmiechem delektując się ironiczną sytuacją, że w chwili, gdy wspomina o doktorze Bobie, on leży obok niej. Bob uniósł oba kciuki na znak uznania, że opanowała fachową terminologię. – A teraz przebywa

w bezapelacyjnie najlepszym i najbardziej komfortowym sanatorium w Szwajcarii. Ech, no nie mogę sobie przypomnieć jego nazwy, mam ją na końcu języka. Ale jeśli mam być szczerą, kiedy tylko zobaczyłam ich stronę internetową, sama niemal miałam ochotę się tam wybrać. Tam jest jak w niebie! Przepraszam, że się zirytowałam. To nieprawda, że my dwie kochamy tatusia mniej niż ty. Przeciwnie, żyjemy jego sprawami dłużej niż ty, można więc powiedzieć, że kochamy go bardziej. Na zasadzie akumulacji przychodu. A mówiąc poważnie, rynki wciąż są przekonane, że to on rządzi trustem, więc jeśli rozejdzie się wieść, że Henry'emu Dunbarowi poplątało się w głowie, jutro może się okazać, że wartość naszych akcji spadła o miliard dolarów, a pojutrze o kolejny. Wystarczy jedna plotka.

– Nie obchodzi mnie wartość akcji. Chcę się tylko upewnić, że nic mu nie jest. Jeżeli ma kłopoty, chcę mu pomóc.

– Och, jakie to szlachetne z twojej strony! – powiedziała Abigail. – Niektóre z nas pomagały mu już wcześniej, mianowicie w kierowaniu firmą Dunbar Trust, bo właśnie tym, jeśli tego nie zauważyłaś, tatuś zajmował się przez całe nasze życie. Wiem, że wolałaś nie tykać tej „brudnej walki o władzę”, zostać artystką i wychowywać dzieci w „zdrowym psychicznie środowisku”. Gdzieżbyś miała zajmować się czymś tak prostackim jak ceny akcji! Przynajmniej póki własne udziały co miesiąc zapewniają ci wpływy na konto.

– Och, przestań truć, Abby. Chcę się z nim tylko zobaczyć, to wszystko. Proszę, przyślij mi jak najszybciej e-mailem adres tego sanatorium.

– Ależ oczywiście, kochana. Nie ma sensu się kłócić, to zbyt... O, rozłączyła się – powiedziała Abigail i cisnęła telefon na nocny stolik. – Boże, ta dziewczyna działa mi na nerwy. – Wśliznęła się z powrotem do łóżka, pozwalając, by szlafrok zsunął się z niej na podłogę. – Czasem mam ochotę własnoręcznie ją ukatrupić.

– Nie robiłabym tego – odezwała się Megan, leżąca po drugiej stronie doktora Boba, niebezpiecznie znudzona. – Lepiej wynająć zawodowca.

– Myślisz, że mogłybyśmy odliczyć to sobie od podatku? – spytała Abigail. – Jako „usługę profesjonalisty”?

Megan, która obnosiła się ze swoim nadąsaniem, tym razem pozwoliła sobie na uśmiech.

– Dziewczęta! – zawołał doktor Bob z udawanym przerażeniem. – Przecież to wasza siostra.

- Przyrodnia – poprawiła go Megan.
- Byłybyśmy w pełni zadowolone, gdybyś usunął jej chirurgicznie tę część, która nie jest z Dunbarów. Prawda, Meg?
- Tak, to byłby rozsądny kompromis – stwierdziła Megan.
- Po matce ma długie nogi.
- I oczy.
- Tak czy owak, musimy ją przetrzymać jeszcze tylko pięć dni. Po czwartkowym zebraniu będziemy miały za sobą cały zarząd. Najwyższy czas pozbawić tatusia stanowiska „prezesa niewykonawczego”. Co za bzdurna funkcja. Zupełnie jakby ktoś się domagał niemokrej wody.
- Bardzo mi się podobał twój e-mail – powiedziała Megan z nagłym ożywieniem. – „Nie dostałaś ostatniego memorandum? TATUSZ ZAMIERZA ŻYĆ WIECZNIE”.
- Wiem, że nie powinnam się z tego śmiać – powiedziała Abigail – ale gdy sobie wyobrazę, jak on idzie po Hampstead High Street i wrzeszczy: „Ma być po mojemu! Ma być po mojemu!”...
- To najlepsze podsumowanie jego inteligencji emocjonalnej – powiedziała Megan. – Wrzasnąć „ma być po mojemu” i albo dopiąć swego, albo kogoś wywalić. Pamiętasz, jaki miał wyraz twarzy, gdy powiedziałyśmy, że nie wyślemy mu Global One do Londynu?
- „Po co ci jumbo jet?”, spytałam. „Możesz wziąć któregoś z gulfstreamów, są o wiele przytulniejsze”. Myślałam, że dostanie zawału.
- „Gulfstreamów?” – powiedziała Megan, przedrzeźniając ojca jak rozkapryszone dziecko. – „Ty mnie chyba z kimś mylisz! Za kogo ty mnie bierzesz? Za jakiegoś zwykłego bogacza?”.
- Zawsze powtarzał, że w interesach nie wolno kierować się sentymentami, i my teraz po prostu robimy to, czego nas nauczył – stwierdziła pokornie Abigail. – On z całą pewnością nie kierował się sentymentami, gdy walcząc o prawo do opieki nad nami, zamknął mamusię w psychiatryku. Niech teraz sam skosztuje własnego lekarstwa. I twojego – zwróciła się do doktora Boba, jak gdyby nie chciała, by poczuł się odtrącony. – Co ty właściwie mu dałeś?
- Nieswoisty destymulant. Miał sprawić, że będzie bardziej podatny na sugestie, czyli w niekorzystnych sytuacjach stanie się bardziej paranoiczny – odparł doktor Bob, mając nadzieję, że w pokoju nie ma podsłuchu.

– Swoją drogą, to żałosne, że tak niewiele trzeba. Gdzie twoje wewnętrzne zasoby, Dunbar? – powiedziała Megan szyderczo. – Zabrać forszę, telefon, samochód, doradców, poprosić zaprzyjaźnionego psychiatrę o zadanie kilku zdecydowanych pytań, dodać szczyptę sztucznie wywołanej paranoi i proszę: tyle wystarczyło, by zaczął skomleć i wczłogał się do pustego drzewa w Hampstead Heath.

– I tak miał szczęście, że znalazł puste drzewo – powiedziała Abigail tonem niani napominającej dziecko, by przestało narzekać i doceniło dobre strony swojego położenia.

– Najlepsze jest to, że wywalił najbardziej lojalnego sojusznika – stwierdziła Megan. – To już przechodzi ludzkie pojęcie. Miałybyśmy poważny problem z pozbyciem się Wilsona, natomiast z żalem przyjąć ostatnią rozsądną decyzję ojca i skreślić jego adwokata z listy członków zarządu to zupełnie co innego. Istne spełnienie marzeń!

– No cóż – powiedział doktor Bob, pragnąc zakończyć rozmowę o upadku swojego byłego pacjenta – ja tylko chcę powiedzieć, że jestem najszczęśliwszym mężczyzną na świecie.

Zaczął wybijać rytm na podniesionym udzie i zanucił piosenkę z filmu *Kabaret*, która uporczywie chodziła mu po głowie:

– Bidli di di di, dwie panie! Bidli di di di, dwie panie! Bidli di di di, i tylko jeden pan, ja!

– Błagam, przestań śpiewać tę okropną piosenkę – powiedziała Megan. – Nasz wygodny *ménage à trois* nie potrzebuje ilustracji muzycznej.

– Racja – potwierdziła Abigail, udając, że gasi papierosa w wymyślonej popielniczce na piersi Boba, a potem zmienia zdanie i robi to w rzeczywistej popielniczce na stoliku.

– Jesteście naprawdę dobrane – stwierdził Bob. – Mężczyzna może poczuć się przy was zagrożony.

– Przecież lubisz czuć się odrobinę zagrożony, nie wypieraj się. – Abigail chwyciła jego sutek i przekręciła go mocno.

Doktor Bob wstrzymał oddech i zamknął oczy.

– Mocniej! – jęknął.

Megan gorliwie dołączyła do zabawy, wbijając zęby w drugi sutek.

– Za mocno! – krzyknął Bob. – O Jezu!

Megan ze śmiechem podniosła na niego wzrok.

– O Jezu! – powtórzył Bob, wyslizgując się pomiędzy wygiętych jak nawiasy ciał obu kobiet.

– Mięczak – powiedziała Abigail.

– Przepraszam was na chwilę, muszę sobie zszyć sutek. Nie chcę skończyć jako jedyny mężczyzna w Ameryce z niezamierzonym przeszczepem piersi.

Bob chwycił swoją lekarską torbę, która wyglądała raczej jak luksusowa walizeczka, i nago popędził do łazienki. Gdy chwilę później oglądał w lustrze ranę na piersi, widział wszystko w dziwnym niebieskim odcieniu (delikatny efekt uboczny viagry), a twarz miał mocno zarumienioną (wyraźniejszy efekt uboczny viagry). Nienasycone siostry wysysały z niego wszystkie siły. Spośród efektów ubocznych viagry najbardziej obawiał się priapizmu.

Na widok zawartości swojej torby natychmiast odzyskał poczucie bezpieczeństwa, tak bardzo mu w tej chwili potrzebne. W górnej części torby znajdowały się buteleczki z preparatami do wstrzykiwania, przypinane skórzanymi uchwytyami na rzepy: ketaminą, diamorfiną oraz tym, czego potrzebował w tej chwili, czyli chlorowodorkiem lidokainy – środkiem znieczulającym, koniecznym podczas zszywania nadgryzionego sutka. Wyjął buteleczkę lidokainy ze środkowego uchwytu w drugim rzędzie i postawił na brzegu wanny. Na niższej półeczce torby znajdował się zestaw narzędzi: skalpele, retraktory, kaniule, piłka do cięcia kości, stetoskop, klemy naczyniowe i wiele innych, każde w dopasowanej przegródce wyściełanej purpurowym aksamitem. Bob uniósł tę półeczkę i odsłonił najniższą, z ciasnym szeregiem leków w identycznych cylindrycznych pojemniczkach pomarańczowej barwy. Wysypał dwie tabletki percocetu i połknął je. Pod wpływem impulsu, chcąc zneutralizować narkotyczne działanie środka przeciwbólowego i zachować pełną przytomność, zażył też deksedrynę. Przy siostrach Dunbar nie można być oszołomionym.

Wstrzyknąwszy sobie lidokainę w mięsień piersiowy, Bob otworzył specjalną przegródkę walizeczki i wyjął mocne okulary ze szklami w kształcie półksiężyców. Zapalił lampki wokół powiększającego lusterka do makijażu i w ich jasnym świetle przystąpił do oględzin rany. Wykonanie operacji na sobie samym wymagało nie lada zręczności: musiał rozewrzeć ranę kleszczykami, a potem zszyć krawędzie, posługując się igłotrzymaczem i czarną nicią. Jego umiejętności i doświadczenie szybko zaowocowały rzędkiem pięknego ściegu, z jednym drobnym kawałeczkiem nici sterczącym na końcu szwu.

Bob nie mógł się nadziwić nikczemności Megan. To ją powinno się zamknąć w psychiatryku, nie jej ojca. Mógł wyobrazić sobie (mgliście) przyszłość u boku Abigail, pomijając to, że była już trochę podstarzała i absurdalnie zmanierowana, jak przystało na kogoś, kto w młodości zanadto przesiąkł snobistyczną atmosferą elitarniej brytyjskiej szkoły z pensjonatem. Abigail na co dzień bywała amoralna, niekiedy konwencjonalnie moralna, a często oportunistycznie niemoralna – czyli w sumie normalna, tak jak on. Megan natomiast była pieprzoną psychopatką; okazywała uczucia w taki sposób, że powinno się ją zamknąć w szpitalu, i to odpowiednio wyposażonym, bo tylko taki mógł sobie z nią poradzić. Bob wiedział, że prędzej czy później musi się pozbyć ich obu. Na razie jednak przyjął łapówkę, na którą składało się miejsce w zarządzie, honorarium w wysokości sześciu i pół miliona dolarów oraz opcja na zakup pół procenta akcji Dunbar Trust. Była to cena za wystawienie zaświadczenia, że osiemdziesięcioletni staruszek w sztucznie wywołanym stanie pobudzenia nie może już kierować jednym z najbardziej rozbudowanych imperiów biznesowych na świecie. Niezły układ. Bob już od dwunastu lat pomału gromadził udziały: dostawał je od Dunbara w prezencie na Boże Narodzenie, inwestował w nie również wszystkie oszczędności.

Rozległo się pukanie do drzwi łazienki. Doktor Bob sięgnął po rolkę plastra, odruchowo szukając dodatkowej ochrony.

– Mogę wejść? – spytała Megan cicho, niemal przepraszająco.

– Wejdz. – Bob pospiesznie uciął długi kawałek plastra.

Megan weszła do łazienki i pocałowała go w ramię.

– Przepraszam. Wiem, że trochę przesadziłam.

– Wybaczam ci.

Megan leciutko przesunęła paznokciami po jego klatce piersiowej w dół, aż po kość biodrową. Viagra znów zaczęła działać.

– Tutaj. – Megan usiadła na skraju marmurowego blatu i owinęła się nogami wokół jego bioder. – Weź mnie tutaj.

Bob odłożył plaster i chwycił ją za tylne części ud, tuż nad kolanami. Megan opuściła swoje silne nogi, przyciskając mu ręce do blatu i unieruchamiając je, a potem błyskawicznym ruchem, godnym drapieżnego ptaka, wgrzyła się ostrymi zębami w ranę na jego piersi.

– Mam cię! – zaśmiała się triumfalnie.

Bob odskoczył do tyłu, uwalniając ręce.

– Ty wściekła suko! – wrzasnął.

– Nie mów tak do mnie! – upomniała go Megan. – Bo wypatroszę cię jak rybę.

Bob policzył do dziesięciu, tak jak często nadaremnie radził Dunbarowi, w nadziei, że pomoże mu to powściągnąć emocje.

– Przepraszam.

– Mam nadzieję, że szczerze. – Megan zeskoczyła z blatu i stanęła przed nim. Chwyliła sterczący koniuszek czarnej nici i pociągnęła mocno.

– A to za wyzwiska.

– Najzupełniej zasłużyłem – przytaknął Bob. Krew płynęła z otwartej na nowo rany.

– Czas na mnie, gołąbeczki. – Abigail zajrzała do łazienki. – Muszę wracać do mojego upiornego męża.

– A ja do prochów mojego – powiedziała Megan, mijając ją w drzwiach.

– Nie zapomnij, że dziś przychodzisz na kolację – powiedziała Abigail do Boba.

– Jak mógłbym zapomnieć?

Jak mógłby o tym zapomnieć? Cała ich trójka była już nierozłączna, niczym ekipa alpinistów spięta jedną liną o zachodzie słońca na tym samym lodowym urwisku.

– Kim jestem?

– Henrym Dunbarem, to oczywiste – powiedziała siostra Roberts, rozsuwając zasłony.

– Nie pytam o nazwisko, głupia babo – warknął Dunbar. – Chciałbym, żeby ktoś mi powiedział, kim jestem, kim naprawdę jestem.

– Wolałabym, żeby się tak do mnie nie zwracano, jeśli można prosić – odparła pielęgniarka. – Dziś rano odpowiedź na pytanie „kim jestem?” brzmi: wyjątkowo opryskliwym staruchem, który winien jest siostrze Roberts przeprosiny.

– Przepraszam, siostro Roberts – powiedział Dunbar, bo w zmałym umyśle świtowało mu, że tego dnia ma się wydarzyć coś ważnego i trzeba wystrzegać się kłopotów.

– No, teraz lepiej – stwierdziła pielęgniarka. – Jesteśmy tylko ludźmi, każdemu zdarza się czasem wstać lewą nogą z łóżka, prawda?

– Z całą pewnością. Prawie codziennie.

– No dobrze. A teraz śniadanie. Wolimy zjeść je samotnie w pokoju czy podejmiemy dodatkowy wysiłek i udamy się do jadalni, by pogawędzić miło z innymi gośćmi?

– Podejmiemy dodatkowy wysiłek.

– Właśnie to chciałam usłyszeć – odparła siostra Roberts i całym ciężarem swojego ciała zaczęła pchać po grubym dywanie zupełnie niepotrzebny wózek. Dunbar odchylił się do tyłu i uśmiechnął do niej żałościwie.

Z obawy, by poranne tabletki nie zaczęły mu się rozpuszczać pod językiem, Dunbar udał atak kaszlu i zdołał wypluć je do chusteczki. Bez leków czuł się energiczniejszy, ale też bardziej skłonny do złości i wściekłości. Czuł, że trybiki domysłów i pragnień coraz szybciej kręcały mu się w głowie, wytwarzając przy tym coraz więcej energii, nie miał jednak pojęcia, czy zdoła je zatrzymać, nim się zupełnie rozleczą. Nie zniósłby nawrotu tamtej udręki, jaką czuł po wizycie u psychiatry w Hampstead. Wzdrygał się na myśl, że mogłoby wrócić do niego tamto poczucie, że nie istnieje zupełnie nic stałego, że grunt, na którym stoi, to tylko na wpół ułożone puzzle, które za chwilę rozrzuci jakieś okrutne

i niecierpliwe dziecko – a co najgorsze, to on był tym dzieckiem, nikogo prócz siebie nie mógł winić za to, że cały świat go zdradził. Na samym końcu czekało przerażenie; to ono rządziło jego myślami.

– Z tym paskudnym kaszlem dziś nie wychodzimy na zewnątrz – powiedziała siostra Roberts. – Nie rozumiem, po co włożyłeś te buciska, skarbie. Nie wygodniej byłoby w kapciach?

– Znowu się zaczyna – mruknął Dunbar. Nie mógł znieść swego postępującego szaleństwa, ale nieznośne było też postępujące zniewolenie. Potrzebował pomocy Petera, by się stąd wydostać. Jeśli dziś nie ucieknie, być może nigdy już nie opuści tego miejsca; umrze w pokoju pełnym śmierzących lilii, z siostrą Roberts u boku, głaszczącą go po ręce.

– Co proszę, skarbie?

Trzeba trzymać nerwy na wodzy; trzeba być idealnym hipokrytą. Dunbar, słyszący z ostrych sądów, znany z zaskakujących fuzji i przejęć, musi nauczyć się być hipokrytą.

– Nic – powiedział. – Zostanę dziś w pokoju, będę się grzał przy błękitnym ogniu.

– Błękitnym ogniu? – W uszach siostry Roberts zabrzmiało to w podejrzenie pornograficzny sposób.

– Telewizja. Wygląda jak błękitny ogień migoczący w kominku.

– Och. – Siostra westchnęła z ulgą. – To brzmi bardzo krzepiąco.

– To jest krzepiące. Zwłaszcza gdy część kanałów należy do nas, a gdy mamy jakiś przebojowy program, rosną nam dochody z reklam.

– Hmm – powiedziała siostra Roberts, wtaczając wózek do jadalni. – Proszę pamiętać, co mówił doktor Harris: nie ma już potrzeby trapić się interesami, znajdując się w bezpiecznych rękach; jedyne, czego nam teraz trzeba, to cudowny, długi odpoczynek.

Jadalnia była częścią dawnej wiktoriańskiej rezydencji, która stanowiła jądro obecnego sanatorium. Klasyczna tapeta z deseniem Williama Morrisa została starannie skopiowana, a niektóre dębowe stoły nawet były oryginalne, lecz cała jadalnia, choć obszerna, jak to w dużym wiktoriańskim domu, nie spełniała współczesnych wymagań stawianych miejscu, w którym porzuca się ludzi szalonych, starych i umierających – dawne, ciemne pomieszczenie poszerzono więc o olbrzymią oranżerię, dzięki czemu nie tylko poszerzyła się przestrzeń jadalna, ale też powstała jasna, pogodna świetlica, z tapicerowanymi fotelami i kanapami

w krzykliwe roślinne motywy. Liście i kwiaty o amazońskich rozmiarach głosiły triumf sił natury. Spomiędzy tropikalnych zdobień wyłaniały się bambusowe stoliki o szklanych blatach, małe i okrągłe, na których można było postawić szklanekę soku z mango, i nieco większe prostokątne, niczym w poczekalni u dentysty uginające się pod stosami zaczytanych czasopism. Latem dwuskrzydłowe drzwi otwierano na łąkę porośniętą wysoką, kołyszącą się trawą i dzikimi kwiatami, teraz jednak za oknami, w które bębnił deszcz, rozpościerały się jedynie mętne bajorka, zgniecione łodygi i pojedyncze kępy uschłej trawy. Spokojną scenerię przez cały rok – przynajmniej w tych chwilach, gdy nie zasłaniała go mgła, deszcz ani śnieg – dopełniał poszarpany zarys majestatycznego jeziora.

Dunbar rozejrzył się po jadalni w poszukiwaniu Petera Walkera, zarazem starając się nie zdradzić z tym, że szuka towarzystwa tego – jak uważała siostra Roberts – mąciwody, który miał na niego zły wpływ.

– Gdzie usiądziemy? – spytała siostra i, na wypadek gdyby Dunbar stracił umiejętność mówienia, od razu sobie odpowiedziała: – Najbardziej lubimy wspólny stół, prawda? Tam mamy okazję poznać nowych przyjaciół.

Gdy pchała wózek w stronę tej gmatwaniny przypadkowych towarzyskich sytuacji, od której Dunbarowi dotychczas udawało się trzymać z daleka, Henry ujrzał Petera. Stał przy zewnętrznych drzwiach oranżerii, pod zielonym neonikiem „Wyjście ewakuacyjne” – istne uosobienie pragnienia ucieczki z piekielnej agencji matrymonialnej siostry Roberts.

– O proszę, co za szczęście: wolne miejsce obok pani Harrod. – Siostra Roberts wydawała się wręcz zgorzozna tym, że los aż tak uśmiechnął się do Dunbara. Wtoczyła wózek w puste miejsce obok pacjentki, która sprawiała wrażenie bardzo nieszczęśliwej.

– Kompletnie straciłam pamięć – powiedziała pani Harrod z tą samą cierpką pewnością siebie, z jaką kiedyś ubarwiała każdą rozmowę legendarnymi ciętymi ripostami. – Nigdy nie przepraszaj i nigdy się nie tłumacz – dodała z odruchową zjadliwością.

– Zgadza się – odparł Dunbar z roztargnieniem. – To dewiza księgowych.

– Rozmowa może być słoniem indyjskim lub słoniem afrykańskim – mówiła dalej pani Harrod – ale nie jednym i drugim równocześnie.

– Proszę wybaczyć – wymamrotał Dunbar, gdy siostra Roberts wymaszerowała z jadalni, udając się na kolejną farmaceutyczną lub matrymonialną misję – ale właśnie spostrzegłem kolegę.

Podniósł się i odepchnął do tyłu niepotrzebny wózek.

– Nie lubię już przyjeżdżać do Londynu. Czuję się tu jak w obcym kraju – powiedziała pani Harrod. Nagle chwyciła Dunbara za ramię. – Czy ja tu umrę? Czy może pójdę jeszcze dokądś?

– N...nie wiem – odparł Dunbar, gdy pojął, jak otchłanne jest to pytanie.

– Mój ojciec mawiał, że urodził się do służby dyplomatycznej. – Pani Harrod opanowała się na chwilę. – W dzieciństwie pilnował, by jego rodzice nie kłócili się całymi dniami.

Dunbar najdelikatniej, jak umiał, uwolnił się od jej ręki.

– Czy ja tu już kiedyś byłam? – spytała pani Harrod z przeszywającą udręką.

Dunbar oddalił się pospiesznie, nawet nie próbując odpowiedzieć.

– Peter! – Zamachał ręką i ruszył w stronę wyjścia ewakuacyjnego.

– Ach, jesteś, staruszkule! – Peter odwrócił się i udał, że wymierza mu cios w ramię.

– Czy my tu umrzemy? – spytał Dunbar. – Czy pójdziemy jeszcze dokądś?

– Pójdziemy jeszcze dokądś – odparł Peter i ruszył bez wahania. – Do pubu w Windermere, a może w Grasmere, Buttermere, Meremere, nie będę się kłócił o szczegóły. Moja orientacja w miejscowej geografii jest trochę chwiejna, ale tak żarliwie pragnę ją poprawić, że stanę się lepszym poetą jezior niż Wordsworth. Bierzmy płaszcze i szaliki! Wykiwamy naszych klawiszy, wymykając się przez kuchnię.

– Przez kuchnię? – spytał Dunbar, starając się nadążyć za Peterem, który pędził już przez korytarz wyłożony płytkami w wymyślne wzory.

– Po prostu zachowuj się naturalnie – powiedział Peter, tak zręcznie parodiując paniczny strach, że Dunbar od razu zaczął się denerwować.

Odnaleźli swoje płaszcze na numerowanych wieszakach w korytarzu. Olbrzymie czarne palto Dunbara, przytłaczająco ciężkie, z dwoma rzędami guzików i futrzanym kołnierzem, kontrastowało z krótką zieloną kurtką przeciwdeszczową Petera, z podszewką z goreteksu i lśniącem suwakiem. Podczas gdy Dunbar owijał sobie szyję kaszmirowym szalem kilkujardowej długości, Peter szybko obwiązał się arafatką.

– Owszem, przez kuchnię! – oznajmił Peter teatralnym tonem. – Nasz Garry, genialny twórca Sosu Uniwersalnego, którym werniksuje wszystkie nasze dania, bez różnicy, czy z drobiu, czy z ryb, nie wspominając o zupach kremach, wśród których nie odróżniłbyś z zamkniętymi oczyma marchewkowej od porowej, a zatem mój znakomity kolega Garry pozwala mi wymykać się przez kuchnię na zakazanego papieroska. *Po prostu zachowuj się naturalnie* – szepnął nagle.

– Błagam, przestań tak mówić, bo robię się nerwowy – powiedział Dunbar.

– A ja robię się nerwowy na myśl o gotówce. Zabrali mi ją w ramach „leczenia”. Chorego leczenia – Peter znów uruchomił ton teatralny – które udaje leczenie chorych!

– Ja nie mam ani grosza – powiedział Dunbar – a wszystkie karty mi zablokowano.

– Co takiego? – zawołał Peter ze zgrozą. – Przecież jesteś mutlimiliarderem. Nie spodziewałem się, że potrafisz zmajstrować pułapkę na króliki, która pozwoli nam przeżyć w dziczy, albo lotnię, którą wylecimy spomiędzy tych piekielnych gór i pretensjonalnych bajor i wylądujemy na brukowanej uliczce porządnego nadjeziornego miasteczka z szeregiem malowniczych pubów, ale liczyłem na to, że masz gotówkę.

– Mam jedną kartę – powiedział Dunbar, starając się ukryć podniecenie – o której te parszywe złodziejki nie wiedziały: do mojego szwajcarskiego konta.

– Do szwajcarskiego konta! – Peter aż podskoczył. – Z jakim limitem?

– Bez limitu – odparł Dunbar z nagłym przestraszeniem.

– Bez limitu!

– Błagam, przestań to powtarzać!

– Możemy wynająć limuzynę – Peter objął Dunbara za ramię i poprowadził w stronę wahadłowych kuchennych drzwi – i uciec w cholerę z Parku Narodowego Kraina Jezior. Możemy jechać do Londynu! Możemy lecieć do Rzymu i popijać negroni w otoczeniu prastarych ruin!

– Nie chcę ruin – powiedział Dunbar z echem dawnej władczości w głosie. – Chcę odzyskać moje imperium.

– Ależ oczywiście, staruszkule. – Peter wprowadził go do kuchni, nie wypuszczając z uścisku. – Odzyskasz je, zobaczysz.

– Cześć, Peter! – przywitał ich Garry.

– Maestro! Poznaj naszego miejscowego Escoffiera! – powiedział do Dunbara.

– Na fajeczkę, co? – zagadnął Garry, nakładając na srebrne talerze bezkształtne bryły jajeczniczy.

– Próbuję zwalczyć ten zwyczaj, ale zwyczaj zwalcza mnie mocniej.

– W porządku – odparł Garry – ale najpierw zrób Orsona Wellesa.

– Orson Wellesa? – Peter perfekcyjnie wcielił się w wielkiego aktora. – Doprawdy nie wiem, o czym ty mówisz. – Zrobił dwa chwiejne kroki wstecz, rozglądając się na boki, jak gdyby Orson Welles mógł czaić się gdzieś obok, wreszcie oparł się ciężko o stalowy blat. – Nie pytaj mnie, co chciałbym zjeść – przemówił z intonacją Wellesowskiego Otella, przepojoną miłością i żądzą zemsty – skoro wiesz dobrze, co *muszę* zjeść. – Urwał na chwilę, po czym wykrzyknął głosem ciężkim od zgryzoty: – Grillowaną rybę!

– Grillowaną rybę! – zachichotał Garry. – To mnie zawsze rozbraja.

– Orson Welles nie skosztowałby twoich pysznych sosów – powiedział Peter – bo był na diecie. Słowa, które przytoczyłem, wypowiedział kiedyś do kelnera w Los Angeles, gdy jadł obiad z Gore'em Vidalem.

– No proszę, kawał historii!

– Zdradzę ci drobny sekret, Garry: wszystko jest historią. Nim się spostrzeżesz, że coś się zdarzyło, to się już zdarzyło i minęło. Słynna oszustka o imieniu Teraźniejszość stale znika w poznawczej szczelinie. Trzeba uważać, bo szybko ucieka. Proszę wsiadać! – zawołał tonem konduktora dającego znak do odjazdu.

– Błagam, nie mów tak – jęknął Dunbar, opierając się ciężko o blat.

– No dobra – powiedział Garry – idź, zapal sobie, ale jak wrócisz, masz zrobić Leonarda di Caprio.

– O, to słony podatek mi narzuciłeś – powiedział Peter, prowadząc oszołomionego Dunbara ku tylnym drzwiom.

– Sukces kosztuje, no nie?

– Umowa stoi! – zawołał Peter, naciskając klamkę.

– Nie daj się oszukać – powiedział Dunbar. – Jeśli sobie wszystko dobrze zorganizujesz, nie musisz płacić więcej niż standardowe siedem procent.

– Być może – powiedział Peter, zapinając kurtkę, bo w progu uderzyło w nich zimne powietrze – ale jeśli się zdezorganizuję, na przykład

w wypadku samochodowym, wolałbym trafić do szpitala, który jest szpitalem w więcej niż siedmiu procentach.

– Czy mamy zaufanego szofera? – spytał Dunbar, w którego wyobraźni słowa „wypadek samochodowy” wytworzyły stosownie makabryczną scenę. Ujrzał swoje krwawiące ciało wśród poskręcane go metalu i rozsypanych okruchów szkła, a obok ratowników przeglądających z dezaprobatą jego rozliczenia podatkowe: nie oddał, ile trzeba, fiskusowi, nie wywiązał się ze swojej części umowy społecznej, nie wypłacił się dostatecznie i za to zostawia go, pozwolą wykrwawić się na śmierć.

Peter położył palec na ustach i zmarszczył brwi.

Dunbar nagle przypomniał sobie, co właściwie robią. Wcześniej odpłynął gdzieś myślami. Skąd przyszedł mu do głowy szofer? Mało brakowało, a wszystko by zepsuł. Poczł się jak dureń, skończony dureń. Jego matka marszczyła brwi tak samo jak Peter; wystarczało jej to, żeby dopiąć swego. Dunbar pomyślał sobie, że zupełnie już zapomniał, co znaczy wstyd, póki tarapaty, w jakie popadł, nie otworzyły w nim na powrót tych starych szybów, dawno już zasypanych rumowiskiem władzy i pieniędzy. Widok Petera marszczącego brwi tak mocno wraził mu się w pamięć, że Dunbar zapragnął stać się niewidzialny, jak gdyby tych kilkadziesiąt lat, podczas których stawał się coraz bardziej widoczny, coraz znacniejszy, coraz bardziej stawał się Henrym Dunbarem, jego nazwisko w coraz większym stopniu stawało się marką handlową, jak gdyby tych kilkadziesiąt lat jedynie tłumilo w nim coraz mocniejsze pragnienie, by stać się niewidzialnym. Co się z nim działo? Jak mógł się aż tak zapomnieć? Miał tak kruche i niepewne poczucie swojego „ja”! W każdej chwili mogło się rozpląnąć, niczym akwarela na deszczu.

– Przepraszam, przepraszam – powiedział, bojąc się, że Peter nie pozwoli takiemu staremu durniowi iść ze sobą. – Przepraszam. Mogę iść z tobą? Mogę?

– Oczywiście, że możesz, staruszkę – odparł Peter. – Po prostu nie chcę, żeby ktoś się zorientował, co knujemy. Oni nie lubią, gdy ktoś się wypisuje przed terminem z ich łagru. Jezus, jak zimno! Przydałoby się mieć samochód i zaufanego szofera, ale niestety musimy się trochę przespacerować. Kumbria w zimie... Ludzie zjeżdżają się tutaj, żeby oglądać burze gradowe. Zostało już tylko miejsce stojące na szczycie Scafell Pike.

Minęli gigantyczne różnokolorowe kontenery na śmieci i zmierzali w stronę leśnej drogi, która pozwalała na dyskretną ucieczkę, bo dochodziła do głównej drogi dojazdowej w bezpiecznej odległości od sanatorium. Na skraju dziedzińca stał zaparkowany pod murem gospodarczy quad. W stacyjce tkwiły kluczyki.

– Jakież mocarne są Twoje myśli, o Wielki! – zakrzyknął Peter z patosem. – Na początku była Myśl i Myśl była z Dunbarem. I Dunbar pomyślał „samochód”, i stał się samochód, i ujrzał Dunbar, że samochód był dobry.

– Naprawdę ja to zrobiłem? – spytał Dunbar z niedowierzaniem, gramoląc się na siedzenie obok Petera. – Ale co będzie, jeśli pomyślę coś niedobrego?

– Nie fraszuj się, Henry, ten system nie działa idealnie: nie zmaterializowałeś na przykład zaufanego szofera. Ja nim nie jestem, nikt nigdy nie spotwarzył mnie takim określeniem, zwłaszcza że często jeżdżę pod wpływem alkoholu, co zresztą, szczerze mówiąc, mam zamiar zrobić ponownie jeszcze dziś.

Silnik zapyrkotał hałaśliwie i quad ruszył w stronę lasu. Gdy podskakiwali na wąskiej, błotnistej ścieżce, Peter wcielił się w samochodowego maniaka i przekrzykując ryk silnika, z chłopięcym entuzjazmem wyrzucał z siebie potoki danych technicznych. Dunbar nie słuchał go, bo rozmyślał nad swoimi wyjątkowymi zdolnościami. Zawsze podejrzewał, że ma takowe, a teraz, gdy zmaterializował dokładnie taki pojazd, jakiego potrzebowali, by przedostać się przez pustkowie, po raz pierwszy stał się tego zupełnie pewien. Czuł, że wzbiera w nim przeznaczenie, że przepływa przez całe jego ciało, od stóp do głowy, niczym prąd elektryczny. Zamknął oczy i na chwilę zupełnie się rozpogodził. Jeszcze da się wszystko odzyskać! A gdy znów będzie potężny, ukarze niegodziwe córki i przepisze swoje imperium na Florence. Zawsze wiedział, że powinien kochać swoje dzieci jednakowo, nie umiał jednak ukryć, że to ona budziła w nim najserdeczniejsze uczucia. Prócz urody odziedziczyła po matce rozbijającą zdolność do współczucia. Wystarczyło, że go wysłuchała, i od razu umiała rozwiązać i rozwikłać supły, w które się zaplątał. Nie wyćwiczyła tej umiejętności świadomie, było to zjawisko naturalne, jak to, że lód rozpuszcza się w określonej temperaturze. Pomijając jej zalety, Dunbar kochał Florence po prostu dlatego, że była córką Catherine, a Catherine była wielką

miłością jego życia, miłością – a przynajmniej obrazem miłości – unieśmiertelnioną przez śmierć, zabezpieczoną przed rutyną i rozkładem, przed działaniem owych przyziemnych sił, które sprawiają, że ludzie najpierw się podziwiają, potem już tylko się tolerują, a jeszcze później nawzajem irytują. Teraz, w chwili jasności, Dunbar pojął, że gdy Catherine zginęła w wypadku samochodowym, desperacko szukał bliskości Florence, być może tym mocniej, im mocniej ona pragnęła niezależności i wystrzegła się wszelkich związków z jego interesami. Zarazem jednak odbierał tę postawę jako odrzucenie i kolejną stratę; to przekonanie podsycali w nim pozostałe córki, które zawsze miały mu za złe, że faworyzuje Florence, i nie szczędziły wysiłków, by mu się przypodobać, naśladowując jego bezwzględność i żądzę władzy. Przekonały go, by odebrał Florence jej udziały i przekazał im, lojalnym córkom, które szanują jego osiągnięcia i mogą przejąć jego schedę. Ależ był zaślepiony! Dopiero teraz dostrzegł, że właśnie Florence miała najwięcej uporu i dumy: po prostu odwróciła się do niego plecami i nie zmieniła tej decyzji.

Quad zwolnił niespodziewanie. Dunbar ze zdziwieniem otworzył oczy i ujrzał, że pośrodku ścieżki, obok omszałego skalnego występu, stoi pani Harrod i macha do nich. Peter musiał się zatrzymać.

– Czy to taksówka? – spytała pani Harrod, podchodząc do wozu od strony Petera.

– Ursula! – zawołał Peter. – Dokąd się wybierasz?

– Chcę do domu.

– My też tam jedziemy! Masz czym zapłacić?

– Mam zaskórniaki. – Pani Harrod wyciągnęła z kieszeni płaszcza pamiętą kopertę. Były w niej trzy pięćdziesięciofuntowe banknoty.

– Dokładnie tyle, ile trzeba! – Peter wcisnął kopertę do kieszeni marynarki. – Wskakuj na pokład.

– Nie możemy jej zabrać – szepnął Dunbar. – Ona zupełnie ześwirowała.

– Oj, Henry, Henry – powiedział Peter z naganą w głosie. – Znajdujemy się w części świata znanej z „nienazywanych i zapominanych czynów dobroci i miłości”¹. Tak czy inaczej, gdy już wyruszysz w rejs statkiem głupców, nigdy nie zabraknie ci pasażerów!

– Ale za to zabraknie miejsca. – Dunbar niechętnie przesunął się na kanapie.

– Oho! – powiedział Peter. – Otóż i drogowskaz. – Wskazał tablicę, na której widniały jedynie słowa „PLUMDALE (ŚCIEŻKA TYLKO DO JAZDY KONNEJ)”. – Nasza maszynka da sobie radę na ścieżce do jazdy konnej, za to nasi klawisze nie będą w stanie nas ścigać swoją niezdarną karawaną zwykłych samochodów.

Gdy quad z rykiem silnika skręcił w kolejną ścieżkę, nastrój Dunbara nagle, bez żadnego ostrzeżenia, się obniżył. Uciekinier uzmysłowił sobie, że nie może polegać na Peterze, który wyskoczył po prostu na kolejną pijacką eskapadę, a jeszcze mniej na pogrążającej się w demencji pani Harrod. Będzie musiał uciekać samotnie. Nagie drzewa, z czarnymi gałęziami sterczącymi histerycznie na wszystkie strony, wyglądały jak ilustracje ośrodkowego układu nerwowego spustoszonego przez chorobę – anatomiczne szkice ludzkiego cierpienia wyrysowane na zimowym niebie.

Florence przyglądała się rozmigotanym wodotryskom wystrzelającym z fontanny w Central Parku, nie była jednak zafascynowana ich niewyczerpaną energią, raczej zahipnotyzowana siłą grawitacji, która po chwilowym rozkwicie ściągała je w dół, niczym srogi ojciec podcinający skrzydła swojemu dziecku burkliwym gderaniem. Rozsunęła drzwi i wróciła z tarasu do salonu. Wcześniej wyszła na zewnątrz, by odetchnąć od zaduchu mieszkania, teraz uciekła do środka przed chłodem. Za chwilę znów będzie jej zbyt gorąco. Nic nie było jak należy, nic nie mogło uleczyć jej niepokoju. Zaalarmowana rozmową z Abigail, przyleciała prosto do Nowego Jorku, by spytać obie siostry prosto z mostu, gdzie ukryły ojca, one jednak wymknęły się tuż po jej przylocie i nie odpowiadały na wiadomości. W mieście został tylko Mark, zdystansowany, choć pełen poczucia winy mąż Abigail. Florence zadzwoniła do niego poprzedniego wieczoru, Mark jednak nie miał pojęcia, gdzie może być Dunbar ani nawet dokąd wyjechała Abigail.

– Jedyne, co mi wyjawili – powiedziała mu – to że Henry jest w jakiejś klinice w Szwajcarii.

– No to przynajmniej jeden kraj możesz wykluczyć – stwierdził Mark z czymś, co miało być pustym śmiechem, ale dawało się sklasyfikować najwyżej jako pomruk. – Abigail łąze jak najęta, nawet gdy nie ma potrzeby. Jak dobrze wiesz, uważa mówienie prawdy za oznakę słabości. Prawda jest w sumie dość prosta: Henry albo jest w Szwajcarii, albo nie, kłamanie jest natomiast potencjalnie nieskończone, oddała więc jedyną groźbę, jakiej twoje siostry się boją, czyli monotonii.

– Chyba masz rację.

– Zresztą sama wiesz, o czym mówię. Pamiętasz, jak byłyście małe i Abigail kiedyś podcięła bieguny twojego konika, żeby trzasnęły, gdy będziesz na nim hasać, a po nich, żeby trzasnął twój kark?

– Było jej wtedy ciężko, moja matka jeszcze żyła, a jej...

– Jesteś zbyt wielkoduszna – wtrącił Mark. – Ja żyję z nią na co dzień. Gdy pierwszy raz opowiedziała mi tę historię, sądziłem, że chce się pochwalić swoją szczerością lub pokazać, że wreszcie poradziła sobie

z trudnym dzieciństwem, teraz jednak widzę, że jest inaczej: chciała się po prostu pochwalić, że już w dzieciństwie zdradzała oznaki wielkości.

– Czemu ty właściwie ciągle z nią jesteś?

– Ze strachu. To ona musi to skończyć. Jeżeli ja od niej odejdę, znajdzie sposób, żeby mnie zniszczyć.

Florence nie wiedziała, co powiedzieć. Rozmowa zakończyła się ostrożną obietnicą Marka, że pomoże jej, o ile będzie w stanie zrobić to tak, by też nie wylądować w „sanatorium”.

Słyszając w takim kontekście słowo „sanatorium”, sowiecki eufemizm dla brutalnego uwięzienia, Florence pożałowała, że w ogóle zadzwoniła do swojego szwagra pantoflarza. Od chwili zniknięcia ojca nabierała nieznośnej pewności, że jeśli Henry umrze, nim zdążą się pojednać, z ich wzajemnej relacji zapamięta głównie rozczarowania i dezaprobatę, podobne do wodotrysków nieuchronnie spadających do parkowej fontanny. Do ubiegłego roku ojciec kochał ją do szaleństwa, co pozwalało jej ufać, że zawsze już będzie rozstrzygał wszystko na jej korzyść, a przeciw jej siostrze, przeciw członkom zarządu, przeciw swoim przyjaciołom i doradcom oraz przeciw czterdziestu tysiącom swoich pracowników, lecz gdy oznajmiła, że nie chce mieć nic wspólnego z rodzinnymi interesami i woli wyjechać z Benjaminem i dziećmi do dzikiego Wyoming, by prowadzić tam proste, skromne życie, Dunbar dostał jednego ze swoich słynnych napadów wściekłości, wyrzucił ją z zarządu, wykreślił z testamentu i złośliwie wykluczył jej dzieci z trustu. Jej brak zainteresowania odebrał jako osobistą zniewagę, a także oznakę niedojrzałości – cechę, którą z czasem wyrugowałyby z niej panujące w truście pyszne przekonanie, że imperium medialne Dunbara nie obserwuje historii, tylko ją tworzy. Florence zdawała sobie sprawę, że historii nie da się sprowadzić do tego, co w beztrosko tendencyjny sposób przekazują serwisy informacyjne, ale nie to przyczyniło się do zapaści jej stosunków z ojcem. Rozumiała, że Henry potraktował ją tak surowo dlatego, ponieważ wybijając się na niezależność, odrzuciła nie tylko jego schedę, ale i wyznaczoną jej rolę ocalałej części swojej matki. Tę niezależność Florence była w stanie zachować głównie dzięki temu, że wcześniej ojciec ją uwielbiał, z drugiej jednak strony człowiek tak zaborczy jak on nie mógł zaakceptować jej pragnienia autonomii, podobnie jak nie mógł nie uznać zachłanności jej sióstr jako wyrazu miłości.

Gdy zginęła jej matka, Florence miała szesnaście lat. Potem jeszcze przez długi czas czuła, że jej własne istnienie lojalnie krąży i zacieśnia się wokół nieobecności matki. Śmierć Catherine w niekontrolowany sposób nabierała coraz większego znaczenia; po pewnym czasie Florence umiała nią wyjaśnić dosłownie wszystko, włącznie z nastrojami nauczycieli, smakiem jedzenia i kolorem trawy. Po roku kompletnego odrętwienia pamięć o matce zaczęła pojawiać się w jej snach oraz w rozmowach z ludźmi, którzy znali Catherine i pamiętali jej opowieści, gesty, dobór słów. Matka powróciła do życia w umyśle córki. Henry nigdy czegoś takiego nie przeżył, zachował zmarłą żonę w znieruchomiałym, wyidealizowanym wspomnieniu, córce zaś wyznaczył zadanie podtrzymania tych cech Catherine, które podziwiał. Do takich właśnie działań był nawykły: do fuzji i przejęć, do zleceń i upoważnień, do zmian marki i wizerunku. Osoba Florence została poddana fuzji z duchem Catherine oraz przemianowana na jego wierną towarzyszkę, najlepszą przyjaciółkę, dobrotliwą kobietkę i prawowitą następczynię, zależnie od tego, co dyktowała mu jego psychika. Gdy wreszcie Florence pokazała mu, że mąż jest dla niej ważniejszy niż ojciec, a następne pokolenie ważniejsze niż poprzednie, wiedziała, że Henry uzna to za bezduszny nakaz pogodzenia się z nieodwracalnym odejściem Catherine. Znając jego temperament, nie zdziwiła się, że zgryzotę obrócił w furję. Nie spodziewała się jednak, że później tak uparcie będzie odmawiał pojednania i że któreś z nich może po prostu umrzeć, nim do niego dojdzie.

Już wtedy, gdy na nią wrzeszczał, gdy obrzucał ją wyzwiskami, których nigdy by mu nie wybaczyła, gdyby nie to, że od dawna traktowała jego napady jako objawy niegroźnej słownej epilepsji, Dunbar wiedział, że nie ma takiej władzy, by skazać ją na ubóstwo, na jakie zasłużyła. Według jego standardów Florence była wprawdzie nędzarką, ale i tak miała dość pieniędzy, by nie zależeć od niego finansowo. Nowojorskie mieszkanie już wcześniej było jej własnością, do tego odziedziczyła fortunę matki (którą to fortunę – o czym jej przypomniał, przeklinając swoją nieopatrzną hojność – Catherine tak naprawdę zawdzięczała jemu, bo właściwie zawdzięczała mu *wszystko*), była też beneficjentką satelickiego trustu, który Dunbar ufundował dla swoich dzieci i którego, jak stwierdził Wilson, nie miał prawa zlikwidować ani nie mógł wykluczyć z niego

Florence. Gdy zażądał zwrotu swoich akcji, oddała mu je bez protestu, nie żądając zapłaty – upokorzyła go swoją wielkodusznością.

Florence rozsunęła drzwi i wyszła z powrotem na taras. Dziwiła się sobie, że jest aż tak przewidywalna, i zastanawiała się, czy na pewno robi wszystko, co przewidziała, by udowodnić swoje racje. Przez większą część nocy nie mogła spać, patrzyła tylko, jak wskazówki zegara pełzną w stronę godziny, o której będzie mogła wreszcie zadzwonić do Wilsona. Skutecznie ochraniał ją od ponad roku, równocześnie pozostając najbliższym sojusznikiem jej ojca, lecz po tym, jak Dunbar go zwolnił, wyprowadził się z żoną i rodziną do swojej wakacyjnej rezydencji w pobliżu Tofino na wyspie Vancouver, a tam w tej chwili było jeszcze za wcześnie na rozmowę. Florence obliczała właśnie, jak długo jeszcze będzie musiała poczekać, gdy nagle zadzwonił telefon. Na ekranie pojawiło się nazwisko Wilsona.

– Wilson! Właśnie myślałam sobie, że chyba jeszcze za wcześnie, by do ciebie zadzwonić.

– Miałem to zrobić już parę godzin temu. Gdy wczoraj wieczorem dowiedziałem się, że Henry przepadł bez śladu, tak się zmartwiłem, że nie mogłem zmrużyć oka.

– Domyślasz się, gdzie może być?

– Moi praktykanci obdzwaniają prywatne szpitale i kliniki w całej Europie i Ameryce Północnej, podając jego nazwisko oraz zmyślane pseudonimy, jakich używa w hotelach, gdzie zatrzymuje się incognito. Ale na razie nic.

– Czy mogę się na coś przydać?

– Zostały tylko cztery dni do rozstrzygającego zebrania zarządu. Dzwoniłem do paru osób, ale wygląda na to, że twoje siostry zapewniły sobie poparcie większości. Znaczna część zarządu to rozsądni ludzie, wybrani przez Henry'ego z moją pomocą, ale widzieli już najważniejszy dokument, przed którego podpisaniem ich ostrzegałem, oddający całą realną władzę w ręce Abby i Megan. Znają już także raport doktora Boba, którym twoje siostry zamierzają się posłużyć, by uzasadnić pozbawienie Henry'ego stanowiska prezesa niewykonawczego. One chcą całkowicie wykluczyć go z gry. Henry wciąż ma wielkie wpływy, wystarczyłoby, żeby przyszedł na zebranie, a zarząd na pewno starałby się mu przypodobać, mimo że Henry nie ma już żadnej realnej władzy.

– Jeżeli jest niezdolny do prowadzenia swoich spraw, powinien je przejąć jego adwokat. Jestem pewna, że wyposażył cię w takie uprawnienia.

– Owszem, ale tylko pod warunkiem, że jestem zatrudniony, a twój ojciec naprawdę mnie wylał. Możesz się domyślić, kto zajął moje miejsce.

– Ale czy nie moglibyśmy argumentować... – zaczęła Florence, ale Wilson przerwał jej:

– To na nic. Nawet gdybym odzyskał prerogatywy, twoje siostry zwolniłyby mnie chwilę później, gdy tylko zarząd uznałby ich stanowisko.

– Mój Boże, wygląda na to, że wszystko przewidziały.

– Tak, to niesamowite. Nikt lepiej niż twój ojciec nie rozumiał, czym jest władza. Przez ostatnie czterdzieści lat działał na wszystkich kontynentach, a co najmniej przez połowę tego czasu miał taką władzę, że mógł nagłośnić, przeinaczyć lub wyciszyć dowolne wydarzenie, dotrzeć do każdego światowego przywódcy, z jakim tylko miał ochotę porozmawiać, mógł wpływać na wyniki wyborów, niszczyć swoich wrogów. Aż któregoś dnia obudził się i stwierdził, że zamiast mieć to wszystko, woli pobawić się zabawkami. Byłem tym zdumiony, bo nigdy dotąd nie imponowały mu głupstwa, ale cokolwiek namieszało mu w głowie, na pewno nie usprawiedliwia to porwania, upokorzenia i...

– I czego jeszcze?

– Sam nie wiem. Nie wiem, do czego Abby i Megan są zdolne, ale wiem, że nigdy nie widziałem twojego ojca tak przerażonego jak tamtego dnia w Hampstead. Miał atak najprawdziwszej paniki. Bał się nieba, bał się światła. Zachowywał się, jakby miał agorafobię, on, który kupił sobie w Nowym Meksyku ranczo o powierzchni miliona akrów, bo uwielbiał bezkresne niebo.

– Czuję się tak, jakby alarm przeciwpożarowy wyrwał mnie ze snu – powiedziała Florence. – Jak gdybym żyjąc spokojnie z Benjaminem, oddawała się tylko kosztownej fantazji, a tymczasem moje siostry przejęły trust i porwały mi ojca.

– Może pora już włożyć zbroję Dunbarów.

– Och, ja już ją włożyłam, możesz mi wierzyć, i nie zdejmę jej, póki on nie będzie bezpieczny.

– Widzę tylko jeden ich słaby punkt i jedną możliwość strzału w ciemno. Słaby punkt to Mark. Nie jest do końca pozbawiony sumienia, poza tym nabrał ogromnej pogardy do Abby. Być może są rzeczy, których

nie zdradziłby byłemu adwokatowi swojego teścia, a mógłby je zdradzić ukochanej szwagierce.

– Zapomnij. Dzwoniłam już do niego. Jest zbyt przestraszony.

– Ale może warto by spędzić z nim parę godzin i posłuchać, co ma do powiedzenia. Pewnie nie jest zdolny zadziałać przeciwko Abby wprost, ale wiem, że czuje się bardzo rozdarty, może podsunie ci jakieś wskazówki.

– A strzał w ciemno?

– Pamiętasz Jima Sage’a, pilota Global One?

– Jasne. Próbował uczyć mnie latać.

– Jeśli polecili samolotem, to przynajmniej wie, gdzie wylądowali. Być może ci powie. Chyba że Abby i Megan mu zabroniły. Ale może nie przewidziały, że zajdziesz je od tej strony. Wyślę ci zaraz jego numer telefonu.

– Dobrze, zadzwonię do niego, gdy tylko skończymy rozmawiać.

– Dziś wieczorem przylatuję do Nowego Jorku. Leci ze mną Chris. Henry zawsze był dla niego dobrym chrzestnym, chłopak chce pomóc. Za dwadzieścia minut przylatuje wodnosamolot i lecimy do Vancouver. Muszę się pakować i ruszać na molo.

– Dziękuję ci za to, co robisz, Charlie. Po tym, jak cię Henry potraktował, mogłeś po prostu odejść na emeryturę.

– Moja żona uważa, że powinienem, ale chyba nie jestem jeszcze gotów na to, by siedzieć tutaj i przyglądać się sztormom, a w przerwach oglądać turystów snujących się szlakiem miejsc światowego dziedzictwa UNESCO. Zamierzam odzyskać dla twojego ojca stanowisko i zawalczyć o godziwe przekazanie majątku, takie, które zabezpieczy prawa czterdziestu tysięcy pracowników trustu. A jeśli mam być zupełnie szczery, nie chcę też przyglądać się z założonymi rękoma, jak twoje siostry wygrywają.

Po rozmowie z Wilsonem Florence poczuła, że przechadzanie się w tę i z powrotem po tarasie już nie wystarcza, musiała zejść do parku, by zwalczyć w sobie niepokój i zastanowić się, jak dalece powinna zaangażować się w rodzinną politykę, z której tak skwapliwie wycofała się ledwie rok wcześniej. Wyglądało na to, że nie ma sposobu, by zapewnić ojcu bezpieczeństwo, nie wikłając się w wojnę z siostrami, nie naciskając na niezdecydowanego szwagra, nie próbując wpłynąć odpowiednimi argumentami na zarząd. Lecz mimo wszystko powiedziała Wilsonowi prawdę: już włożyła zbroję Dunbarów, już prowadziła tę

wojnę – a była to decyzja tym donioślejsza, że przebiła się przez jej na pierwszy rzut oka łagodną naturę, niczym rzeka, która zaczyna się niepozornie, jako zwykły strumyk wypływający ze stoku wzgórza po zimowych deszczach, a potem tak się rozrasta, że zmiata ze swej drogi głązy i przewraca drzewa.

Żwirowe ścieżki Central Parku o krzywiznach równie bezlitosnych jak kąty proste w siatce okolicznych ulic irytowały ją w sposób, który jej rodzina i przyjaciele uznaliby pewnie za nieoczekiwany. Wijąc się łagodnie, starały się jej wmówić, że jest na urlopie, zmuszały do niespiesznej, relaksującej przechadzki, zupełnie odmiennej niż praktyczne, nieefektywne chodzenie, mające służyć pokonaniu najkrótszej odległości między dwoma punktami. Florence nie miała jednak ochoty na urokliwe spacerowanie, nie chciała, by cokolwiek skłaniało ją do relaksu i kazało jej cieszyć się chwilą; pragnęła jak najszybciej dotrzeć do celu, pragnęła działać, chronić swego ojca. Przeszła na przełaj przez trawnik, wyznaczając własny kurs. Po drodze odebrała e-mail od Wilsona z numerem Jima Sage'a i zadzwoniła do niego.

– Halo?

– Jim? Tu Florence. Florence Dunbar.

– Cześć, Florence! Miło słyszeć twój głos – powiedział Jim z czułością. – Co mogę dla ciebie zrobić? Czyżbyś jednak postanowiła, że chcesz nauczyć się latać?

– Tak, skąd się domyśliłeś? – zaimprovizowała Florence. – Wczoraj okropnie wymęczyłam się w podróży i przypomniałam sobie, że kiedyś namawiałeś mnie, bym wyrobiła sobie licencję. Masz trochę czasu? Jestem teraz w Nowym Jorku. Może byśmy się umówili?

– Z wielką chęcią, Florence, ale niestety jestem teraz w Manchesterze i nie wiem, kiedy będziemy wracać. W porównaniu z panem Dunbarem twoje siostry dość spontanicznie wybierają trasy przelotów.

– W Manchesterze? A cóż one tam robią?

– Nie mam pojęcia. To nie moja rzecz. Powiem ci tylko, że jest tu bardzo ciemno i ponuro.

– No nic, w takim razie odezwij się, gdy wrócisz. – Florence chciała jak najszybciej skończyć rozmowę, w nadziei, że zdoła jeszcze połączyć się z Wilsonem, nim ryk silników starego wodnosamolotu uniemożliwi rozmowę.

– Umowa stoi – powiedział Jim.

Florence rozłączyła się i natychmiast wybrała numer Wilsona.

– Florence! – odezwał się Wilson, przekrzykując chłopot wody. – Właśnie wsiadam do samolotu.

– Manchester! – powiedziała. – Przed chwilą rozmawiałam z Jimem. Powiedział, że tam właśnie wylądowali. Każ swoim praktykantom zawęzić poszukiwania do Anglii, i to do rejonów bliżej Manchesteru niż Londynu.

– Jasne! Dobra robota. Pilot już zaczyna zapuszczać silniki, ale Chris chce jeszcze przesłać ci pozdrowienia.

– Prześlij mu moje – odparła Florence i po raz pierwszy od kilku dni pozwoliła sobie na uśmiech.

Bar King's Head oddzielony był od brzegu jeziora Merewater trawnikiem ze sterczącym pośrodku flagowym masztem. Dunbar, który przyglądał się masztowi przez wykuszowe okno baru, miał wrażenie, że linka z trudem utrzymuje łopoczącą flagę z krzyżem świętego Jerzego. Szarpiący ją ze świstem nadbrzeżny wiatr marszczył także czarne wody jeziora, pokrywał je nerwowymi białymi falami, pędzącymi pospiesznie w stronę wąskiej kamienistej plaży u podnóża hotelu. Wzdłuż przeciwnego skraju trawnika bujał się ciężki czarny łańcuch, rozpięty między grubymi białymi słupkami; jego kolor korespondował z barwą wody oraz nietkniętego guinnessa w szklance stojącej na stoliku. Spojrzenie Dunbara wędrowało w tę i z powrotem od jeziora do szklanki, od szklanki ku jezioru, a po drodze trafiało jeszcze na łańcuch. Dunbar wyobraził sobie, że potyka się o niego i spada na skały – jego cenny, zawodny mózg wylewa się z rozbitej czaszki, fale liżą go łapczywie, a krew ma barwę krzyża na fladze chłostanej i marszczonej przez wiatr.

Chwycił się krawędzi stołu, żeby się opanować. Za dużo tych niepokojących podobieństw między rzeczami; trzeba wziąć się w garść i utrzymać każdą z nich na właściwym miejscu: jezioro w jeziorze, piwo w szklance, krew w ciele.

– Jeszcze jedną kolejkę! – zawołał Peter dziarsko, wstając od stolika.

Pani Harrod upiła ledwie łyżeczek swojego wina z korzeniami, Dunbar nawet nie tknął guinnessa, Peter natomiast już wysuszył swoją szklankę, zdążył też wypić trzy duże whisky, choć wcześniej udawał, że zamawia po jednej dla każdego.

Roztaczając cały swój urok, przemówił do barmana:

– Poprosimy jeszcze po jednej dużej famous grouse i dwa guinnessy. Nasza koleżanka jeszcze pracuje nad swoim winem.

Zamówił także kanapki. Kładąc na ladzie pięćdziesiętofuntowy banknot, poklepał go, trochę po to, by podkreślić gotowość zapłaty za to zuchwałe zamówienie, a trochę dlatego, że w głębi duszy nie miał ochoty rozstać się z tymi pieniędzmi. Była to już druga pięćdziesiątka pani Harrod, pozostała jeszcze tylko jedna. Owszem, zostanie jakaś reszta z tej drugiej, ale już najwyższy czas skłonić Dunbara, by sprawdził tę swoją

szwajcarską kartę kredytową. Jeśli się okaże, że nie działa, trzeba się ulotnić i w pojedynkę poszukać sklepu monopolowego, zamiast szastać pieniędzmi w barach. Peter czuł, że musi się porządnie upić. Znalazł się już w tym właśnie punkcie swego pijackiego cyklu: chciał się poczuć zamroczony, odgrywać improwizowane scenki przed zdumionymi nieznanymi, a potem ocknąć się sponiewierany w jakimś niepojętym miejscu, w mieście, którego nie zna, w pokoju, którego nie rozpoznaje – jeśli nie wolny, to przynajmniej mocno zdezorientowany.

– Przyniosę wszystko do stolika – powiedział barman uprzejmie.

– Ja wezmę whisky – zaproponował usłużnie Peter.

Wróciwszy na miejsce, wlał trzy podwójne kolejki do swojej szklanki.

– Zawsze gardziłem imperialnymi jednostkami miar – stwierdził. – Jeśli dotrzemy do muzeum Beatrix Potter, które, o ile mi wiadomo, znajduje się kusząco niedaleko stąd, pewnie zobaczymy tam śliczny naparsteczek zawierający „jednostkową” ilość whisky zgodną z tym systemem, starannie odmierzoną tak, by mogła ją wypić nowo narodzona wiewiórka lub skąpa mysz orzesznica.

– Ojej, uwielbiam Beatrix Potter! – powiedziała pani Harrod. – Idźmy tam.

– To dopiero będzie strzał – powiedział Peter głosem Johna Wayne’a, podnosząc do ust potrójną porcję whisky. Wychylił ją jednym haustem i odstawił pustą szklaneczkę. Porcja nie zrobiła na nim wielkiego wrażenia, ale nie był też rozczarowany.

– Czy to wzgórze nie wygląda jak świąteczny pudding – pani Harrod wskazała na krągłe wzniesienie na drugim brzegu jeziora – posypany po wierzchu cukrem pudrem?

– Zaraz, zaraz – odezwał się Dunbar, który poczuł, że porównanie pani Harrod na powrót wpycha go w krąg niepokojących skojarzeń.

– Rzeczywiście – stwierdził Peter. – Z tymi zrudziałymi kępami paproci i śniegiem na szczycie... Z całą pewnością masz oko do gigantycznych puddingów, Ursulo! Czy ktoś ci już to kiedyś mówił?

– Nie, nigdy – przyznała pani Harrod wstydliwie.

– Ale tak jest – potwierdził Peter.

– Słuchajcie mnie! – przerwał im Dunbar, starając się rozdrażnieniem zamaskować lęk. – Nie idziemy do żadnego pieprzonego muzeum Beatrix Potter ani nie będziemy wspinać się na żaden świąteczny pudding.

Wynajmiemy samochód, pojedziemy do Londynu i spróbujemy opanować sytuację.

– Bezapelacyjnie, staruszkule – powiedział Peter uspokajająco, po czym wziął od niego szklanekę z piwem i opróżnił jednym łykiem połowę zawartości. – Pozwól, że wyjmę ci je z rąk, zanim zrobi się ciepłe i bez smaku. Świeża kolejka jest już w drodze, czas pozbyć się poprzedniej. – Opróżnił szklanekę i zamląkał teatralnie. – Musimy się dowiedzieć, czy działa ta twoja szwajcarska karta, żebyśmy mogli złożyć taksówkarzowi propozycję nie do odrzucenia.

– Nie mów tak głośno o mojej karcie – syknął Dunbar, nachylając się nad stolikiem. – To tajne konto.

– Przy Ursuli twój sekret jest bezpieczny.

– Jaki sekret? – spytała pani Harrod. – O czym myśmy rozmawiali?

Peter uśmiechnął się do Dunbara bez troski, stary nie był jednak udobruchany.

– Swoją drogą, Ursulo, czy twoje zaskórniaki nie wymagają uzupełnienia? – spytał Peter. – Henry i ja idziemy do bankomatu, możemy też wypłacić trochę dla ciebie.

– Zabrali mi kartę, bo nie mogłam spamiętać PIN-u.

– Łajdaki – stwierdził Peter. – Nieczułe potwory.

– Czy twoje córki też zabrały ci karty? – spytał Dunbar panią Harrod.

– Nie, bank mi ją zabrał – odparła – ale to nawet było rozsądne: kto wie, co bym z nią nawywijała.

Gdy barman przyniósł jedzenie i piwo, Peter miał pokusę, by zamówić jeszcze więcej whisky, ale zwalczył ją, spytał tylko, gdzie jest najbliższy bankomat.

Razem z Dunbarem pochłonęli szybko swoje kanapki.

– Przestałam już jeździć do Londynu – stwierdziła pani Harrod. – Jest tam zupełnie jak w cudzoziemskim mieście.

– No cóż, w takim razie ucieszy cię wieść, że nie będziemy cię tam dziś ciągnąć – powiedział Dunbar oschle.

Peter usiadł obok pani Harrod i wziął ją za rękę.

– Posiedź tu sobie, Ursulo, póki nie wrócimy z gotówką. To potrwa chwilę.

– Gdzie my jesteśmy? – spytała pani Harrod.

– W King's Head – odparł Dunbar. – Jesteśmy w King's Head.

– Będziesz to pił? – Peter wskazał na jego szklanekę.

– Nie, możesz wypić – odparł Dunbar niecierpliwie. – Widzę, że dobrze ci wchodzi.

– Ależ mnie okropnie suszy! – powiedział Peter z mocnym irlandzkim akcentem. – W moim wzburzonym umyśle szaleje pożar i tylko jedna rzecz na tym smutnym świecie może go ugasić.

– Oj, biedaku – powiedziała pani Harrod – potrzebujesz fachowej pomocy.

– No cóż, ten oto doktor Guinness sprawił – Peter puścił do niej oko – że czuję się już znacznie lepiej, uprzejmie dziękuję.

Na głównej ulicy Plumdale znajdował się tylko jeden bank, kilkaset jardów od King's Head, tuż za zakrętem. Były tam dwa bankomaty, w środku i na zewnątrz.

– Wejźmy do środka, będzie cieplej – powiedział Peter.

– Mogą mieć kamery.

– Tak, a twoje córki na pewno siedzą przed telewizorem i oglądają Telewizję Bankomatową Northern Rock – stwierdził Peter autorytatywnie.

– Tego się właśnie obawiam.

– Rozumiem. No dobrze, zostaniemy na ulicy, gdzie nie ma kamery, nie zwracając uwagi na wiatr tnący z siłą rzeźnickiego topora oraz czarne chmury, które przepychają się, żeby jak najszybciej lunąć deszczem.

Dunbar opatulony w palto z futrzanym kołnierzem był niewrażliwy na te meteorologiczne pogroźki. Gdy wyjmował z portfela swoją szwajcarską kartę, wyglądało to tak, jakby wchodził w trans. Włożył kartę do szczeliny bankomatu z namaszczeniem, jakiego Peter dotąd u niego nie widział. Z jeszcze większym dostojeństwem wykonywał kolejne polecenia bankomatu i wstukował swój PIN, zasłaniając go przed wścibskim spojrzeniem Petera, ale i tak do swoich pełnych rozmiarów urósł dopiero wtedy, gdy polecił bankomatowi wypłacić pięćset funtów, a ten odpowiedział szelestem banknotów odliczanych przez automat – dopiero gdy posiadał pieniądze, których potrzebował i z którymi w oczach świata i we własnej ocenie był nierozzerwalnie związany. Peter miał wrażenie, że ogląda balon rozdymający się nad płomieniem gazowego palnika, zmieniający się ze sterty pomarszczonej tkaniny w ogromną kulę, która rwie się do góry, ciągnąc przywiązaną do ziemi gondolę.

– Udało się! – Dunbar wyciągnął banknoty z błyszczących zębów maszyny.

– Wybornie. – Peter klasnął w dłonie i zaczął podskakiwać, jak gdyby sam zmienił się w balon, który przed chwilą sobie wyobraził. – Spróbuj jeszcze raz! Jesteśmy trzysta mil od Londynu. Kto wie, ile policzą sobie za wynajem limuzyny na tak długą podróż?

– Jakieś dwa, trzy funty za milę.

– No widzisz, potrzebujemy dwa razy więcej gotówki. Za tyle, ile masz, dojedziemy najwyżej do Birmingham.

– Zapłacę kartą. Nie mam na niej... – zawahał się Dunbar.

– Limitu! Nie masz limitu!

Dunbar zamknął oczy, by odpędzić napastujące go obrazy, to jednak tylko je wzmocniło: pęka linka, astronauta odpada od statku i leci bezwładnie w mroźną ciemność, otoczony gwiazdami tak odległymi, że może w chwili, gdy ich słabe światło odbija się w szybcie jego hełmu, już dawno nie istnieją. Kiedy statek znika mu z oczu, przestają istnieć kierunki, nie ma grawitacji, nie ma żadnej namacalnej powierzchni ani sensownego punktu odniesienia, jedynie nieskończone królestwo pustej przestrzeni – absolutnie obojętne czterdzieści jeden tysięcy dwieście pięćdziesiąt trzy stopnie kwadratowe.

Dunbar poczuł, że Peter obejmuje go za ramię i łagodnie zawraca w stronę bankomatu. Był zbyt wstrząśnięty piekielnym kosmicznym majakiem, by zaprotestować – drżącymi rękami wykonał kolejne etapy operacji i nawet nie próbował powstrzymać Petera, gdy ten wyciągał ze szczeliny bankomatu plik dwudziestofuntówek i wciskał do własnej kieszeni.

– Nie martw się, staruszkule – powiedział Peter, prowadząc go z powrotem ulicą. – Jesteśmy gotowi do drogi. Teraz wrócimy do hotelu i zamówimy najlepszą limuzynę, jaką mają do zaoferowania w Plumdale. Może będzie to samochód z barkiem i mnóstwem miejsca na nogi, może z małym basenem lub chociaż z przenośną wanną, tak czy owak śmigamy do Londynu, w Wielki Smog, do stolicy świata!

Gdy skręcili za róg, Peter nagle wyciągnął rękę i uderzył oszołomionego Dunbara w pierś.

– Cofnij się! Cofnij się! Przed King's Head stoi mikrobus z Meadowmeade. Pewnie wzięli już biedną Ursulę na tortury, by wy badać, co wie. Biorąc pod uwagę jej zaniki pamięci, może nic by nam nie groziło... gdybyśmy nie spytali barmana o najbliższy bankomat! W nogi, na litość boską!

Peter popędził chodnikiem, minął bank i wbiegł w najbliższą przecznicę. Dunbar ruszył za nim, ale gdy skręcili w Merewater Lane, zaczął błagać, żeby zwolnili.

– No dobra – powiedział Peter – nie spiesz się. Kieruj się po prostu w dół, w stronę jeziora. Tam nie dojadą samochody, a ja pójde przodem i rozejrzę się, czy da się jakoś uciec na piechotę. Bo inaczej siostra Roberts urządzi sobie dzisiaj wesołe miasteczko: będzie rzucać w nas strzałkami z usypiaczem przez otwarte okna furgonetki.

– Nie mów tego, błagam! – jęknął Dunbar. – Ja już to widzę.

– Nie martw się, staruszk, znajdziemy jakąś drogę. Może powinniśmy zakraść się z powrotem do King's Head i przenocować tam do jutra. To ostatnie miejsce, gdzie będą nas szukali, skoro przed chwilą wyszli stamtąd z pustymi rękoma!

Nim Dunbar zdążył zgłosić oczywiste obiekcje wobec tego pomysłu, Peter ruszył naprzód alejką ze spieszną misją odkrywczą. Żaden z nich nie miał telefonu. Aparat Dunbara zmiażdżyły koła londyńskiego autobusu, Peter zaś, po kilku uporczywych próbach ucieczki, zgodził się oddać swój do depozytu – tylko pod tym warunkiem pozwolono mu zostać w Meadowmeade, a to z kolei było warunkiem podpisania kontraktu na kolejną serię programu *Wiele twarzy Petera Walkera*. Gdyby tylko Dunbar miał telefon, od razu zamówiłby taksówkę. Panował już nad wszystkim. Znajdowali się w Plumdale, na Merewater Lane. Może nie był szybki, ale praktyczny oraz silny jak byk. Kanadyjską część swojej zimy zawsze spędzał na nartach biegowych, a kanadyjską część lata pływając na długie dystanse we własnym jeziorze, sporo większym niż to, które rozpostarło się przed jego oczyma, gdy dotarł do końca zaułka.

– Tędy, Henry! – Peter wychylił się z jakiejś furtki. – Szybko, ukryjmy się, nim dopędzą nas klawisze.

Dunbar pospiesznie wszedł przez furtkę i ruszył ścieżką za swym podekscytowanym towarzyszem.

– Jest idealnie – powiedział Peter. – Obejrzałem mapę przyklepioną do jakiegoś drzewa: znajdujemy się na publicznej ścieżce biegnącej naokoło jeziora. Nigdy nas tu nie znajdują; ścieżka biegnie wśród drzew i co chwila się rozwidla. Gdybyśmy stąd ruszyli w stronę wzgórz, zanadto rzucalibyśmy się w oczy, ale na drugim brzegu jeziora będziemy mogli wspiąć się na przełęcz, która zaprowadzi nas do sąsiedniej doliny.

Dunbar mruknął przytakująco. Skupił się na równomiernym kroku, starał się oszczędzać energię, nie chciał się rozpraszać na gadaninę o domysłach, był całkowicie pochłonięty jednym celem: dotrzeć do Londynu i odzyskać kontrolę nad trustem. Jego ciało miało w sobie rozsądek, którego w ostatnim czasie brakowało całej reszcie; czuł, że jest uparte i uwaga tego ciała zaczyna skupiać się wyłącznie na wąsko wytyczonym celu. Tego właśnie potrzebował, by zwalczyć w sobie niedopuszczalne poczucie, że naokoło nie ma żadnych granic. Nie wolno mu było o tym myśleć! Jednak aby wiedzieć, że nie wolno nam o czymś myśleć, trzeba o tym pomyśleć. Przez całe życie Dunbar zawsze w danym momencie skupiał się, jak powiedzieliby niektórzy, czy fiksował się, jak powiedzieliby psychologowie, na jednej konkretnej rzeczy czy osobie – umowie, fuzji, kobiecie – nie zastanawiając się, dlaczego to robi; wydawało mu się to po prostu nieuchronne, nieodparte, zrozumiałe samo przez się. Teraz już wiedział, czemu tak było, naprawdę wiedział. Był jak pies, który rzuca się do wody za ciśniętym kijem, lub jastrząb spadający kamieniem w dół, by schwycić wróbla, ponieważ alternatywą była miażdżąca pustka pozbawiona kierunku, pozbawiona domu. Boże, naprawdę wolał o tym nie myśleć. Czy nie pomyślał przed chwilą, że nie chce o tym myśleć? Dlaczego nikt nie zwraca uwagi na jego polecenia? Wszystkie cztery sekretarki porzuciły stanowiska pracy i malują paznokcie, a on krzyczy do telefonu, choć nikt go nie słucha: *Nie chcę o tym myśleć, rozumiecie?*

– Po drugiej stronie jeziora jest też parking – powiedział Peter. – Kto wie, może znajdzie się i automat telefoniczny? Podczas moich samowolnych wycieczek z Meadowmeade odkryłem, że prości wieśniacy zamieszkujący te nadjeziorne strony nie nauczyli się jeszcze demolować publicznych automatów, dlatego niektóre z nich działają, a nawet, uwaga, przyjmują monety!

Peter zabrzczał miedziakami w kieszeni, demonstrując Dunbarowi, że jest doskonale przygotowany na taką ewentualność.

– Niech będzie – stwierdził Dunbar. – Telefon czy przełącz, wszystko jedno. Damy radę.

Maszerował naprzód z takim rozmachem, jak gdyby chciał zmiażdżyć pod stopami swoje wątpliwości. Oschły ton jego ostatniej wypowiedzi sprawił, że rozmowa się urwała. Nie musząc już schylać się przed wiatrem, Dunbar widział między gałęziami i pniami, że przeciwległy,

lepiej osłonięty brzeg jeziora nie jest smagany strzępiastymi falami, wodę pokrywają tam jedynie drobne zmarszczki. Nagle obok ścieżki otworzył się prześwit, tak nieoczekiwanie, że Dunbar mimo woli aż przystanął i zapatrzył się w widoczną w nim czarno-srebrzystą plażę z większymi głazami porozrzucanymi tu i ówdzie z równomiernością godną japońskiego ogrodu. Na drugim brzegu wznosiła się naga góra w brązowym kolorze, z pasmami śniegu na wyższych stokach; przemykające cienie chmur nadawały jej ruchomy marmurkowy deseń. Jak to możliwe, że na tak niewielkiej wyspie, którą dotąd Dunbar kojarzył głównie z urokliwą wiejską scenerią przemykającą za oknami pędzącego samochodu, gdy wracał do Londynu z konferencji w Szkocji czy Walii lub z weekendu spędzonego w wiejskiej rezydencji premiera w Buckinghamshire, istniały również tak dzikie, bezludne pustkowia? Z pewnym trudem, czując, że jego umysł znów popada w odrętwienie, a wzrok gubi się w grze odbłasków na rozedrganej powierzchni jeziora, wrócił na leśną ścieżkę i ponownie poddał się terapeutycznemu rytmowi marszu. Gdy tak szedł przed siebie, lęk ustąpił na tyle, że w jego miejsce zaczęła się zakradać tęsknota za Florence. Było to uczucie nie mniej przejmujące, ale nie dojmująco przykre. Dunbar tak rozpaczliwie pragnął się pojednać z Florence, że gdyby teraz stanęła przed nim, upadłby na kolana i błagał ją o przebaczenie. Dlaczego znalazł się w takim stanie? Lub może powinien spytać: dlaczego nigdy wcześniej nie był w takim stanie? Dlaczego nigdy wcześniej nie zauważał, że życie jest tak poruszające, tak doniosłe? Przez dobre pół godziny głowił się nad tym, czy zbliża się do swego naturalnego stanu, czy przeciwnie, oddala się od własnej prawdziwej natury. Nim zdołał dojść do jakiegokolwiek wniosku, Peter przerwał jego rozmyślenia.

– Golnąłbym sobie.

– Golnąłeś sobie już całkiem sporo – odparował srogo Dunbar.

– Całkiem sporo! – zaprotestował Peter. – A cóż to za jednostka miary? Żądam, by osądził mnie Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości w Hadze za niesporą ilość alkoholu, jaką dotąd wypilem.

– Czy to parking? – Dunbar wskazał otwartą przestrzeń między drzewami.

– Tak! To parking! – zawołał Peter, odzyskując wigor. – Pobiegnę szybciej i poszukam automatu.

– Zaczekaj! – krzyknął Dunbar, ale Peter już popędził w dół ścieżką.

Gdy Dunbar dotarł na miejsce, Peter stał na pustym parkingu przy budce Informacji Turystycznej, wyraźnie przybity.

– Automat zepsuty – powiedział.

– A więc musimy przejść przez przełęcz – stwierdził Dunbar, nie pozwalając sobie nawet na chwilę uzalania się.

– Nie jestem pewien, czy temu sprostam, staruszkule – powiedział Peter.

– Tam jest całkiem stromo, na pewno będzie śnieg, a dalej do Nutting jest jeszcze kawał drogi. Spójrz na mapę. Myślę, że powinniśmy wrócić do King's Head.

Pokazał Dunbarowi szlak wyrysowany na mapce.

– Cztery godziny marszu – powiedział. – Nim dotrzemy na miejsce, będzie ciemno.

– Mam latarkę i szwajcarski scyzoryk.

– Wiem, że uwielbiasz wszystko, co szwajcarskie. Powiem szczerze: nie przejdę takiego kawału drogi, jeżeli się nie napiję. Wezmę taksówkę i odnajdę cię w Nutting.

– Nie weźmiesz. Złapią cię, jeżeli tam wrócisz.

– Ale ty nie rozumiesz...

– Oczywiście, że rozumiem. Znałem mnóstwo pijaków w swoim życiu. Mus to mus, ale uważam, że popełniasz błąd. Tak czy inaczej – Dunbar wyciągnął z kieszeni wełnianą czapkę i włożył ją na głowę – dzięki, że pomogłeś mi się stamtąd wydostać. Bez ciebie nie udałoby mi się to. Zatrzymaj pieniądze, które wzięłeś ode mnie, może pozwolą ci ich wyprzedzić.

– Porządny z ciebie gość, Henry. O wiele porządniejszy, niż się spodziewałem. – Peter uściśnął starego i poklepał nieco zbyt żywiołowo po plecach.

Dunbar postawił kołnierz i bez słowa ruszył w stronę ścieżki biegnącej w głąb lasu po drugiej stronie parkingu.

Po podróży samolotem, kiedy to musiały powściągnąć się przed załogą, Abigail i Megan zajęły apartament królewski w jednym z najlepszych hoteli w Manchesterze i zaprosiły doktora Boba na lunch. Boba czekała ważna rozmowa przez telefon; zależało mu na niej i był gotów stawić czoło jej niebezpieczeństwu, bo wiedział, że siostry dla pobudzenia swoich nienasyconych apetytów będą żądać od niego coraz większych dawek perwersji. Jego ciało, już teraz poharatane bolesnymi rankami i szramami, z odnowionymi szwami na piersi, krzychało o pomstę, a jego sumienie, nieco splamione tym, że zdradził swojego byłego pacjenta, uspokajało go, że w pokrętny sposób zrekompensuje to Dunbarowi, wystawiając do wiatru jego córki.

Bob powiesił na kłameczce tabliczkę „Nie przeszkadzać”, co w tym hotelu znaczyło tyle co „Chyba potrzebuję trochę czasu dla siebie”, usiadł przy biurku i wyjął telefon na kartę. Nie mógł skorzystać z własnego aparatu, bo wiedział, że podsłuchuje go jeden z gorliwych asystentów Abigail. Numeru Steve’a Cogniccentiego wyuczył się na pamięć – nie chciał, by zachował się jakikolwiek ślad jego kontaktów z charyzmatycznym, dbającym o wizerunek prezesem United Communications. Unicom, jak ją powszechnie nazywano, była jedyną korporacją medialną na świecie większą niż Dunbar Trust. Nowojorskie siedziby obu firm, dwa słynne wieżowce przy Sixth Avenue, oddzielone były zaledwie dwiema przecznicami i przeglądały się nawzajem w swoich oknach. Studia Unicomu i Dunbara w Hollywood znajdowały się w równie niekomfortowej bliskości, ale choć obie firmy od lat walczyły o ten sam łup, czyli wyszarpywały sobie stacje telewizyjne i gwiazdy filmowe oraz niszczyły nawzajem swoje lokalne gazety, żadna dotąd nie ośmieliła się wypowiedzieć otwartej wojny, wiedząc, że jeśli przelicytuje, grozi jej samozniszczenie.

Ósma rano w niedzielę to dla większości ludzi zbyt wczesna pora na telefon, Steve jednak powiedział kiedyś Bobowi – co zresztą i tak wiedziały miliony ludzi czytających wywiady z nim w „Wall Street Journal”, „Financial Times” i „Fortune” – że o tej porze kończy swój wyjątkowo rozbudowany trening. Pedałował na stacjonarnym rowerze

zainstalowanym przed monitorem, na którym wyświetlała się wirtualna trasa Tour de France, a na pasku w dole ekranu przesuwały się wiadomości finansowe Bloomburga. Równocześnie dyktował e-maile i memoranda. Podczas jazdy odbierał też telefony od nielicznych szczęśliwców znających któryś z jego prywatnych numerów oraz zaczynał obdzwaniać dyrektorów i redaktorów naczelnych w siedzibach Unicomu na całym świecie, w ślad za słońcem przesuwanym się po niebie. Jego władczy głos najpierw nawiedzał azjatyckie popołudnia, potem europejskie ranki, następnie, gdy kula słońca przemieszczała się już nad Manhattanem, rozbrzmiewał chępliwie na Wschodnim Wybrzeżu, a na koniec roztaczał swoje wizje w Kalifornii. Aktywa, które w jednej rozmowie uznawał za warte wyprzedania, w następnej nabierały maksymalnego potencjału. Czasami po drodze na kolację zdarzało mu się telefonować jeszcze raz do swoich pracowników w Azji – ot tak, dla draki, by tylko zakłócić im jogę bądź poranną kawę i zrugać ich za to, że nic nie robili przez noc.

– Bob! – zawołał Steve, jak gdyby witał najlepszego przyjaciela po długiej i tęsknej rozłące.

– Cześć, dobrze się miewasz? – spytał doktor Bob.

– Dobrze? Miewam się doskonale! – stwierdził Steve. Swój doskonały humor zawdzięczał temu, że sypiał ze specjalnymi słuchaweczkami w uszach, które sączyły mu do głowy motywujące hasła – działały pod poziomem słyszalności, ale wedle gwarancji producenta wstrzykiwały w podświadomość klientów poczucie, że są niezwyciężeni, i bezgraniczną pewność siebie. „Pozwól, by twoje poczucie własnej wartości pracowało również we śnie! Zaslługujesz na największe nagrody, jakie życie ma do zaoferowania!”. Gdy Steve przeczytał te reklamowe hasła na opakowaniu bożonarodzeniowego prezentu od swej ostatniej żony, z początku był sceptyczny, teraz jednak już nie wyobrażał sobie nocy bez zatyczek PowerSleep. Spośród wszystkich pomyłek natury sen uważał za najbardziej skandaliczną, jeszcze trudniejszą do wytłumaczenia niż altruizm. Trzy godziny w ciągu doby – u największych pechowców nawet osiem – podczas których nie da się zarabiać pieniędzy! Przecież jeśli nawet inwestycje zarabiają przez noc, ich sukces jest oparty na minionych decyzjach; nocą nie dzieje się nic nowego, nic zuchwałego, człowiek jest wtedy zamknięty w więzieniu przymusowej bierności i nie może zrobić nic naprawdę agresywnego. Dzięki zatyczkom PowerSleep Steve wiedział

przynajmniej, że podczas snu buduje sobie ego odporne na ataki konkurencji i działanie niekorzystnych wiadomości.

– Co masz dla mnie? – spytał Steve.

– Udało mi się potwierdzić, że Abby i Megan mogą wyjść jedynie o piętnaście procent powyżej ceny rynkowej. Eagle Rock, ich rodzinny fundusz, wysunie ofertę sprywatyzowania Dunbar Trustu w czwartek rano, gdy tylko zatwierdzi ją rada nadzorcza.

– Tylko o piętnaście procent? – Wypowiadane przez siebie krótkie zdania Steve oddzielał sapnięciami, o tyle wybaczalnymi, że pokonywał właśnie stromy pirenejski odcinek Tour de France i wjeżdżał ostro pod górę. – Chcę słyszeć to posiedzenie na żywo. Użyjemy mikrofonu w twoim laptopie.

– Być może podwyższą ofertę o dodatkowe trzy procent – powiedział Bob – ale nie więcej. Jeszcze jedno: Abby i Megan chcą usunąć Dunbara ze stanowiska prezesa niewykonawczego.

– Co takiego? Zamierzają zrobić to wszystko bez jego błogosławieństwa? Ich stronnicy muszą im bardzo ufać.

– Zaangażowały do tego Dicka Bilda.

– To dawny partner męża Megan? Jak mocno jest z nią związany? Był chyba jedynym przyjacielem Victora, zgadza się?

– Zgadza się, ale nie sądzę, by wesoła wdówka miała go w swoim klaserze z kochankami.

– Mogą się przeliczyć – stwierdził Steve.

– Tak czy owak, włączą mnie do zarządu i...

– No, dla nich to na pewno bardzo krzepiące – przerwał mu Steve, biorąc ostry zakręt na wirtualnej górskiej szosie – ale ty czegoś nie łapiesz, Bob: skoro płacę ci za informacje, potrzebuję konkretów. Co najbardziej spędza im teraz sen z powiek?

– Chiny – odparł Bob, zbity z tropu tym nagłym ochłodzeniem tonu.

– Bo straciły układ z Zhou na transmisje satelitarne? Unicom go przejął. Myślisz, że o tym nie wiem? Przecież sam to ustawiłem. Cały rynek już wie, że Dunbar w Chinach kuleje.

– Nie, nie rozumiesz. Zhou odpalił im imponującą rekompensatę. Nie chciał, by którekolwiek z was żywiło urazę wobec Chin. W rachunkach wszystko wygląda świetnie, dziewczyny martwią się właśnie o to, że ta dobra wieść się rozejdzie i ceny akcji pójną w górę, nim dokończą swoją operację.

– No, to już coś – powiedział Steve. – A co zamierzają zrobić ze staruszką?

– Jesteśmy właśnie w Manchesterze...

– W Manchesterze? A który mamy rok, 1850? Po kiego jeździć do Manchesteru?

– Dunbar jest w sanatorium gdzieś w tej okolicy. Chcemy go przewieźć do bezpieczniejszego ośrodka.

– Takiego sześć stóp pod ziemią? – Steve parsknął idealnie odmierzonym śmiechem, ani nazbyt złowrogim, ani nazbyt wesołym. – Nie – dodał, jak gdyby krytykował jakiś błędny plan. – Mam słabość do Dunbara. Zbudował wielkie imperium i dlatego będę musiał je przejąć. Ale przypilnuj, by ten stary pierdoła naprawdę zniknął z pola widzenia, dobrze?

– Jasne – powiedział doktor Bob i dla wzmocnienia pewności siebie połknął adderall, popijając łyżkiem wody. – Jest tylko jedna komplikacja: szuka go też Florence, jego najmłodsza córka.

– A co ona może nam zrobić?

– Może przywrócić Dunbara do gry przed czwartkowym zebraniem.

– Więc co zamierzacie?

– Zabierzemy go do Austrii, do kliniki o podwyższonym poziomie bezpieczeństwa, wyższym niż w tym szacownym brytyjskim przybytku, gdzie siedzi teraz.

– Czy wasz samolot firmowy nie będzie się zanadto rzucał w oczy? – spytał chytrze Steve.

– Dlatego dla zmyłki zostawimy Global One w Manchesterze i polecimy z Liverpoolu wynajętym odrzutowcem. Nawet jeśli Florence odnajdzie samolot, nie pomoże jej to zbliżyć się do ojca.

– Czy ona ma jakieś udziały?

– Nie, Dunbar rozdzielił je między pozostałe siostry, gdy się z nim poróżniła.

– No to dlaczego go szuka? Co to ma być, lojalność upokorzonego? Jakaś odmiana syndromu sztokholmskiego?

– Być może, ale myślę, że ona po prostu kocha ojca.

– Uważasz, że jest szlachetna? Tak to wyjaśniasz? Czy masz pojęcie, jak...

– Przepraszam, że ci przerywam, Steve, ale dostałem wiadomość na drugi telefon. Abby chce mnie natychmiast zobaczyć.

- Trzymają cię na krótkiej smyczy.
- Żebyś wiedział.
- Trzymaj się, przyjacielu! Wytrzymaj do czwartku wieczorem.

Doktor Bob rozłączył się, bo wiedział, że jeżeli natychmiast nie odpowie, Abby pofatyguje się do niego osobiście. Serce mu łomotało, szczypała go skóra, w ustach miał sucho, swędziała go głowa. Rozsypywał się. Jego ciało zmieniało się w zbitkę niekontrolowanych symptomów i rozszalałych efektów ubocznych. Idąc długim korytarzem w stronę apartamentu królewskiego, Bob przypomniał sobie książkę *Okrutne i niezwykle kary*, którą ostatnio czytywał do poduszki. W samolocie skończył rozdział o uczestnikach nieudanego zamachu na króla Jakuba I, których powieszono, ale zanim zdążyli skonać, odcięto ich, żywcem wykastrowano i wypatroszono, a na koniec, zapewne dość pedantycznie, poćwiartowano. Bob był ostatnio wręcz histerycznie zmęczony, tak bardzo, że wewnętrzne strony powiek wydawały mu się wyłożone papierem ściernym, i przez to stał się tak nadwrażliwy, że gdy szedł po chaotycznie wielobarwnym dywanie, zaprojektowanym chyba po to, by nie było widać plam, i przez to wyglądającym, jakby przed opuszczeniem fabryki przeżył każdą wyobrażalną katastrofę, zdawało mu się, że wspina się na szafot zachlapany pozostałościami po wymyślnych torturach. Wreszcie przystanął, oparł się o ścianę i zaszlochał. Rozmyślał właśnie o jednym ze spiskowców, sir Everardzie Digbym, który już po tym, jak kat wyrwał mu serce, uniósł je w górę i krzyknął „Oto jest serce zdrajcy!”, zdołał wystękać: „Łżesz”.

Bob był bliski osunięcia się po ścianie na podłogę. Gdzie podziała się jego duma z udanej zdrady, gdzie ekscytacja zdobytą nagle przewagą? Bob rozpaczliwie szukał w sobie zimnokrwistego łajdaka, tymczasem mógł się zdobyć najwyżej na lament nad niezłomnym katolickim męczennikiem z XVII wieku – jak gdyby opłakiwał coś, co nigdy nie będzie mu dane: poświęcenie dla zasady, dla społeczności, dla idei.

Bob grzmotnął pięścią w ścianę z dziwną niekontrolowaną gwałtownością, jak gdyby nie był to jego własny odruch, tylko ktoś mu to nakazał. Nie miał komu okazać okrucieństwa, wyżył się więc na własnych knykcjach. Ból wytrącił go z żalosego stanu ducha; gdy się wyprostował i ruszył dalej korytarzem, przypomniał sobie, że już w czwartek wieczorem będzie bogaty i niezależny, i to nie dlatego, że się urobił po łokcie czy otrzymał demoralizująco wielki spadek, tylko za sprawą

własnego sprytu, przebiegłości, charyzmy – i dzięki temu, że przekroczył zasady niewolniczej moralności, które ograniczają ludzi mniejszego formatu. Z pieniędzmi przelanymi mu jutro przez Cogniccentiego na konto w szwajcarskim banku, akcjami Dunbara, których wartość po fuzji z Unicomem ulegnie podwojeniu, oraz zapłatą, jaką sprytnie wynegocjował sobie od sióstr Dunbar, będzie mógł wieść co najmniej takie życie, do jakiego przyzwyczał się jako osobisty lekarz miliarderów. Bieżące dochody z inwestycji co prawda mu na to nie wystarczą, ale skoro był bezdzietny i zamierzał w swoim życiu jedynie panować nad sytuacjami, w jakich się znajdzie, nie miał nic przeciwko temu, by do końca życia wydać cały kapitał i umrzeć w długach.

Nim podwójne drzwi na końcu korytarza zdążyły się otworzyć, Bob opanował się trochę, szedł nawet nieco zawadiackim krokiem.

– Gdzieś ty był, do diabła? – spytała Megan.

– Po co się tak nadymasz? – Bob się uśmiechnął. – Spalasz się z niecierpliwości. Lepiej uważaj, bo któregoś dnia możesz ot, tak – pstryknąć głośno palcami przed oczyma Megan – umrzeć na zawał albo udar.

Megan wydawała się zaskoczona i rozdrażniona jego odpowiedzią. Ależ te siostry Dunbar miały żądzę dominacji! Obie były aroganckie, władcze i szorstkie – ta szorstkość nie była jednak ich siłą, za ich władczością nie stał autorytet, a ich arogancja była jedynie niezасłużoną dumą z niezасłużonych dochodów.

– Grozisz mi? – spytała.

– Dobry Boże, skądże znowu, kto byłby na tyle szalony? – Bob zachichotał rozbijającąco. – Twierdzą tylko, że jeśli będziesz stale żyć w stanie takiej niecierpliwości, sama będziesz dla siebie zagrożeniem. Jestem twoim lekarzem, Megan, i wiem, że życie w takim napięciu ci nie służy – dobrotliwym gestem położył jej rękę na ramieniu i zbeształ się w myślach, że postąpił nierozsądnie: przed końcem tygodnia nie wolno było okazywać obu siostrą wrogości i niesubordynacji.

– Sytuacja jest krytyczna, więc trudno mi zachować anielski spokój – odparła Megan ustępliwie. – Tato uciekł z tego durnego sanatorium. Gdy tylko go odnajdziemy, puścimy ich z torbami.

– Nie wątpię – stwierdził Bob, wchodząc za nią do salonu, tam jednak ujrzał Abigail przechadzającą się po pokoju z telefonem przy uchu, więc zachował milczenie.

– Ostrzegam was – mówiła – że będziemy u was dziś o siedemnastej i jeżeli naszego ojca nie będzie w pokoju, w najbliższych dniach przeczytacie w gazetach takie artykuły o Meadowmeade, że zrozumiecie sens słów „czarna propaganda”.

Skończyła rozmowę i ze wściekłym warknięciem cisnęła telefon na kanapę. Bob myślał sceptycznie o tych pogroźkach. Przez wiele lat pracy u Dunbara często słyszał, jak ten na osobności odgrażał się, że zniszczy komuś opinię, nigdy jednak nie słyszał, by stary gwałtownik powiedział to komuś wprost. Groźba powinna być w oczywisty sposób wyczuwalna, ale wyłącznie na zasadzie sugestii. Formułując ją w gniewnych słowach, Abigail ujawniła swoją małostkowość, a do tego popełniła fatalny błąd, bo przyznała, że wiadomości puszczane przez jej firmę w świat są uzależnione od mściwych kaprysów. Bob stwierdził, że właściwie ma nawet obowiązek udaremnić jej plany, choćby po to, by połowa światowych mediów nie działała w tak nieprzewidywalny sposób. Co prawda pod koniec tygodnia będzie można pomyśleć, że on także przyłożył rękę do zniszczenia imperium Dunbara, ale w rzeczywistości jego misją było uchronić je przed dalszą degradacją, gdyby zostały w rękach niegodnych spadkobierczyń. W oczach potomności zostanie raczej uznany za wybawcę Dunbar Trust – jakkolwiek w krótszej perspektywie oczywiście nie należało się spodziewać wyrazów wdzięczności.

– Czy wam się to, kurwa, mieści w głowie? – spytała Abigail. – Nie widziano go od śniadania i nikt nie ma pojęcia, czy w ogóle jest na terenie obiektu.

– Jest silny jak na swój wiek, ale bez pieniędzy i telefonu nie zajdzie daleko – próbował ją pocieszyć Bob.

– On w ogóle nigdzie nie powinien był zajść. To miała być dyskretna operacja, wszystko miało pójść jak po maśle.

– Dlatego lepiej, żebyś wstrzymała się z zamawianiem srogich artykułów, że Meadowmeade zgubiło waszego sławnego tatusia.

– Chciałam ich tylko postraszyć.

– Pusta pogroźka zawsze jest oznaką słabości – stwierdził Bob.

– Zachowaj dla siebie te przedszkolne makiawelizmy – odparła Abigail.

– Znaj swoje miejsce w szeregu.

– I nasze – dodała Megan, z rozkoszą mszcząc się na nim za niedawną próbę zastraszenia poradą medyczną.

Bob miał ochotę trzasnąć je obie w twarz lub nawet, co byłoby jeszcze gorsze, zachęcony niedawną rozmową ze Steve'em Cogniccentim, oznajmić im chętnie, że bardzo się mylą. Zdołał jednak sięgnąć do najgłębszych pokładów własnej hipokryzji, znów powtarzając sobie w myślach, że jeszcze tylko przez kilka dni będzie musiał im być posłuszny.

– Przepraszam. To oczywiste, że nigdy nie będę wiedział o władzy tyle co wy. Macie to w swoim DNA, jak to dzisiaj się mówi, co prawda bezsensownie.

– Spotkamy się za trzy kwadransy w holu – oznajmiła Abigail, odwróciła się plecami do złajanego sługi i odeszła bez słowa.

– Doskonale – powiedział Bob i tym razem uśmiechnął się zupełnie szczerze. A więc nie będzie czasu na pójsie do łóżka! To wystarczyło, by uwierzył w anioła stróża.

Ścieżka, którą szedł Dunbar, biegła równolegle do strumienia spływającego środkiem wzgórza. Jednostajne chlupotanie płynącej wody nieco maskowało niespokojny szum jego myśli. Do każdego kroku i każdego oddechu Dunbar musiał się osobno skoncentrować; ilekroć obie stopy znalazły się bezpiecznie na ziemi, zatrzymywał się na krótko, po czym ruszał dalej. Wspinaczka była stroma, szlak monotony, ale nie pozostawało mu nic innego, jak stawiać kolejne kroki; wiedziony był owym nieustępliwym impulsem, który przez całe dorosłe życie kazał mu iść naprzód. Dunbar zawsze patrzył w przyszłość, rozszerzał swoje interesy na kolejne kontynenty i wzbogacał je o nowoczesne technologie – nie dlatego, by je choć trochę rozumiał czy żeby mu się podobały, lecz dlatego, że miały urok nowości. Choć ten uparty nawyk wciąż pchał Dunbara do przodu, pewność siebie miał teraz tak nadwreżoną, że starał się ograniczyć horyzont oczekiwań, wbijał wzrok w ziemię tuż przed sobą, jak gdyby było już ciemno, a on świecił sobie latarką i miał przed sobą tylko niewielki krąg światła.

Gdy plusk wody zaczął się zbliżać, Dunbar odważył się podnieść wzrok i ujrzał, że niedaleko przed nim ścieżka przechodzi przez strumień po prowizorycznej kładce z płaskich kamieni. Ponownie opuścił głowę i wspinał się dalej, tym razem jednak odkrył, że im bardziej zawęża rozmyślnie pole widzenia, tym bardziej wszystko wewnątrz niego się komplikuje. Spostrzegł, że szare skały na skraju ścieżki pokryte są płatami białych i jadowicie zielonych porostów, a wypełnione wodą szczeliny i zagłębienia porośnięte są kępkami ciemnego, aksamitnego mchu. W spękanej skalnej powierzchni ścieżki widać było smużki rdzawej czerwieni, gdzieniegdzie pobłyskiwały w niej kryształki. Niczym dziecko na plaży Dunbar zapragnął nagle podnieść z ziemi gładki kamyk z białą mineralną żyłą okalającą ciemną powierzchnię, nie zrobił tego jednak – nie miałby komu go pokazać.

Nim dotarł do strumienia, poczuł, że wbijanie wzroku w ziemię nie daje mu już poczucia bezpieczeństwa; przeciwnie, miał wrażenie, że jest wciągany w wir szczegółów, w mikroskopijny świat, który można sobie wyobrazić bez mikroskopu, świat, w którym każdy spłachetek porostu to

las zarodników o dziwnej barwie i pniach wyrastających z kamiennej powierzchni malutkiej planety. Zaniepokojony tym, że jego umysł staje się tak podatny na sugestie, postanowił przystanąć pośrodku kładki; musiał znaleźć równowagę między tym przytłaczającym bogactwem szczegółów u swoich stóp a wyzwaniem, które dotąd wydawało mu się trudniejsze, czyli stawić czoło własnej samotności w dzikim i bezludnym miejscu.

Przystanął na płaskich kamieniach i spojrzał w dół. Wyobraził sobie, że szklista woda przelewająca się po szarych skałach i rozlewająca w spienione zatoczki płynie także przez jego znękany umysł i zmywa zamęt i trwogę, które nieustannie groziły, że przejmą nad nim władzę. Pędzący w dół strumień wydał mu się podobny do nacięcia – i gdy tylko to porównanie przyszło mu do głowy, ogarnęło go szaleńcze uczucie, jakby chirurgiczny nóż rozcinał także jego tors. Pospiesznie przeniósł wzrok na spokojne wody jeziora Merewater, lecz na widok dalekiego parkingu, miejsca rozstania z Peterem, poczuł się opuszczony. To uczucie również chciał z siebie wyrzucić, w końcu ośmielił się więc skierować wzrok w górę i ujrzał porozrywany baldachim cienkich chmur, a wysoko ponad nim błękit zalanego światłem nieba. Zdawało mu się, że chmury pędzą w jego stronę, że przez szczelinę między wysokimi wzgórzami po obu stronach jeziora płyną wprost ku przełęcz, którą miał teraz za plecami, i poczuł się uwięziony w dolnym punkcie tego horyzontalnego V. Prócz tego niepokojącego złudzenia doznał nieokreślonego poczucia winy, jak gdyby strzępy chmur były kawałkami bezcennego niebiesko-białego wazonu, który mu powierzono, a on przez swoją głupotę go rozbił i teraz musi jakoś posklejać, nim wróci właściciel.

– Błagam, żebym tylko nie zwariował – wyszeptał, a po chwili poczuł, że te słowa również wpędziły go w konfuzję. Kogo właściwie prosił o litość? Złożył strumieniowi przesadnie kurtuazyjny ukłon, z nadzieją że ta sarkastyczna formalność przyniesie mu pewną ulgę, drażące go uczucie było jednak zbyt przejmujące, by dało się obrócić w żart.

– Błagam, błagam, żebym tylko nie zwariował – powtarzał już zupełnie poważnie, obiecując sobie, że jeśli tylko się opanuje, już nigdy nie będzie żartował w ten sposób. Rozpaczliwie obrócił się dokoła, bacząc, by nie stracić równowagi na kamieniach; chciał się zorientować, ile jeszcze zostało mu wspinaczki. Nieprzerwanie mamrotał: – Błagam, błagam,

błagam – z nadzieją, że te prośby nabiorą podobnej płynności jak strumień i jak on w końcu wyładzą się i uspokoją.

Partia zbcza, na której się znajdował, skryła się już w cieniu, a przełęcz, choć jeszcze w słońcu, była pokryta śniegiem. Chmury gdzieś tam zabarwiały się od zachodzącego słońca. W miarę jak światło przebijało się przez zanieczyszczone niższe warstwy powietrza, jego barwa przesuwiała się od niebieskiego do czerwonego krańca spektrum. Oto czym był zachód słońca: triumfem kurzu i pyłu. Być może jego wnuki będą już stale żyć pod czerwonym niebem, razem z całą konającą naturą – jak gdyby jakieś zwierzę wiszące głową w dół zalewało firmament krwią z poderżniętego gardła.

– Kurz i pył – warknął Dunbar, czując ulgę, że przynajmniej na chwilę znalazł jakiś zewnętrzny obiekt potępienia.

Przeszedł przez strumień, przyspieszając kroku, jak gdyby liczył, że zwawsze ruchy odpędzą przeraźliwe myśli. Tę zuchwałą fantazję natychmiast zdławiło poczucie własnego zniedołężnienia, a potem obraz człowieka w ogniu, który puszcza się biegiem, żeby się ugasić, lecz przez to płonie jeszcze bardziej. Mimo wszystko nie poddawał się, na przekór atakującym nieustępliwie wytworom schorzałej wyobraźni; musiał przed zmrokiem dotrzeć na przełęcz, by móc się rozejrzeć po sąsiedniej dolinie i zorientować się, gdzie spędzi noc. Światło bladło, temperatura spadała, lecz bez względu na samopoczucie musiał wspinać się dalej, inaczej czekała go śmierć – i to prawdziwa śmierć, nie zwykłe urojenie, że umiera, które bez trudu mógłby rozwiązać doktor Bob, demonstrując mu doskonałe wyniki badań, komplementując jego kondycję lub dokładając mu jeszcze jedną tabletkę do codziennego zażywania.

Na myśl o Bobie Dunbar aż przystanął, bo zląkł się, że jego serce nie wytrzyma połączenia forsownej wspinaczki z dławiącą wściekłością. Jego córki, krew z jego krwi i ciało z jego ciała, spiskowały przeciw niemu wspólnie z człowiekiem zatrudnionym do opieki nad jego ciałem i krwią! Ta zdrada bolała go tym bardziej, że jednym ze znaków rozpoznawczych jego zdumiewającej kariery zawsze była lojalność. Niczym Napoleon, który swoich sierżantów mianował marszałkami i obdarowywał willami wokół Łuku Triumfalnego, Dunbar zachował przy sobie Wilsona i resztę pierwotnego zespołu, z którym wspinał się po szczeblach kariery, począwszy od kierowania prowincjonalnym dziennikiem „Winnipeg Advertiser” po imperium medialne o nieporównanych wpływach

politycznych we wszystkich liczących się miejscach świata, globalną potęgę, którą teraz próbowali mu ukraść własne córki i własny lekarz – choroby jego ciała i krwi. Czy był w stanie uleczyć się inaczej, niż otwierając sobie żyły nad tym strumieniem i pozwalając, by te choroby wypłynęły z niego razem z krwią? Czuł ciężar i stalowy chłód szwajcarskiego scyzoryka w kieszeni palta, wyobraził sobie, że klęka w wodzie, a potem kręte strugi krwi z jego nadgarstków spływają z czystym nurtem strumienia. Zwierzę zarżnięte o zmierzchu. W jego głowie nieustannie zderzały się idee i obrazy, wśród nich obraz Catherine zabitej w zderzeniu drogowym; to, co zdarzyło się naprawdę, w niezdrowy sposób mieszało się z tym, co jedynie sobie wyobrażał, myśli i obrazy walczyły o kontrolę nad jego umysłem. Zdarzenia minione, takie jak śmierć Catherine, nie stawały się nierzeczywiste, raczej każda myśl nabierała cech rzeczywistości. Być może właśnie tak rozszerza się wszechświat: skoro myśli są rzeczywiste i jest coraz więcej ludzi, a więc i coraz więcej myśli, i wszystkie one stopniowo rozpychają coraz dalej powłokę kosmosu...

– Błagam, błagam, błagam – chlipał Dunbar – tylko bez wielkich idei, błagam.

Miał ochotę osunąć się na kolana, jak do modlitwy, zrekompensować sobie upokorzenie świadomą pokorą, jednak przeważyło w nim jeszcze silniejsze pragnienie, by iść naprzód, by zostawić za sobą ten katastrofalny stan ducha, który zarażał przestrzeń naokoło niego. Gdyby ukląkł, pogrążyłby się w nim jeszcze głębiej, ruszył więc dalej, od czasu do czasu podnosząc wzrok ku zaśnieżonym wyższym partiom zbocza, lizanym tu i ówdzie promieniami słońca. Oświeślały one już tylko sam wierzchołek, niebawem cała ziemia miała pogrążyć się w mroku.

Dunbar wciąż pamiętał, jak ocenił go kiedyś dziennikarz z konkurencyjnego koncernu, tamte słowa wciąż pulsowały mu w głowie niczym stara blizna po odłamku – jedno z tych głupich zdań rzekomo podsumowujących jego karierę, nieeleganckich, a pamiętnych przez swą niesprawiedliwość: „Tanie długi i obniżanie standardów”. Było to nieprawdziwe i krzywdzące. A ciężka praca i lojalność, a zimna krew, odwaga i charyzma? Dlaczego właśnie teraz, gdy tak bardzo tego potrzebował, nie było przy nim nikogo, kto by go pocieszył i pokrzepił pochlebstwem? Dunbar wiedział, jak to jest: chodzić w aureoli pustych pochwał, tymczasem nie było przy nim już nawet Petera – a tak szybko

się przyzwyczał, że mu dostarcza rozrywki, że go zabawia, że się o niego troszczy! Peter był jego słuchaczem, a on słuchaczem Petera, choć nie umieli się nawzajem słuchać w pełnym, tradycyjnym sensie tego słowa, ponieważ obaj mieli ogromne wymagania, narzucane im przez własne myśli i wyobrażenia. Mimo wszystko dobrze było wiedzieć, że obok jest ktoś jeszcze, że po prostu jest, nic więcej. Można było chyba stwierdzić, że łączyła ich pewna więź. Tu, w górach, nie było już żywych istot, z którymi można by nawiązać jakąkolwiek więź. Wrony nie zapuszczały się tak wysoko w gęstniejącym mroku, nawet owce słynnej miejscowej rasy Herdwick, ciemne i kudłate, których Peter, częsty bywalec Meadowmeade, stał się niejako ekspertem (są „zbyt liczne, by je zliczyć”, mawiał), nie miały ochoty dotrzymywać mu towarzystwa, gdy brnął ku przełęczą po skrzypiącym śniegu.

Tuż pod przełęczą teren wyrównał się nagle i Dunbar stanął jak wryty, zdumiony nieoczekiwanym widokiem. Okazało się, że strumień wypływa z niewielkiego kolistego jeziora. Na lewo od ścieżki, po bliższej stronie jeziora, znajdowała się idealna mała plaża, naturalne miejsce do odpoczynku lub kontemplacji, przykryta śniegiem. Jezioro pokrywała cienka, półprzezroczysta tafla lodu, jedynie tam, gdzie przebiegał nurt strumienia, widać było ciemną wodę. Po drugiej stronie wznosiła się stroma skarpa, niczym opaska na czole jeziora. Ten widok wydał się Dunbarowi przeszywająco piękny, niemal zbyt piękny, jak gdyby przygotowany na scenię czyjeś wyjątkowej śmierci – jego śmierci, to jemu, Dunbarowi, przeznaczono tę rolę, skoro w promieniu wielu mil nie było nikogo innego. Dunbar zabobonnie przyspieszył kroku, jak ciężarna kobieta, gdy zorientuje się, że idzie wzdłuż muru cmentarza; szedł tak szybko, jak tylko się dało po kamieniach śliskich od śniegu. Ścieżka okrążyła jezioro, a potem wyszła prosto na przełęcz, teraz już całkowicie skrytą w cieniu. Tylko wierzchołek góry po drugiej stronie łęku od czasu do czasu lizało jeszcze zimnozłote światło.

Nie było miejsca, choćby najbardziej urokliwego, którego nie zatrzymałyby swoimi chorobliwymi myślami i ciągłym strachem. To była kara, nie mógł tego inaczej wyjaśnić – kara za jego własne akty zdrady. Ależ był obłudny, złorzecząc na swoje córki i swego lekarza! Przecież sam zdradzał ukochaną żonę, utrzymując kochanki we wszystkich głównych miejscach, gdzie prowadził interesy, a kobietom, które się wahały, kłamał, że jego małżeństwo się rozpada. Mściwie odrzucił i wydziedziczył

Florence, tylko za to, że była wierna własnym ideałom. Jego zbrodnie były o wiele gorsze niż postęпки Megan czy Abigail, nie mówiąc o Bobie. Zdradził wszystkich, których najbardziej kochał, natomiast jego córki z tego, że go nienawidzą, odnosiły raczej moralną korzyść, doktor Bob zaś był jedynie zwykłym oportunistą, który zwietrzył okazję. W innych okolicznościach, na przykład na szczycie ekonomicznym w Sun Valley czy w rozmowie z ministrem finansów, określiłby działanie Boba jako „przedsięwzięcie” czy „inicjatywę”. To on, rozjuszony ojciec i oburzony pacjent, najlepiej poznał pokretną naturę zdrady i oto teraz sprawiedliwy los zaciągnął go tutaj, na ołtarz ofiarny z lodu i skał. Nie potrzeba było przystrojonego w pióra kapłana, by wyrwać mu zdradzieckie serce z piersi, skoro samo już niemal pękało ze zgryzoty i poczucia winy.

Chory ze strachu, pragnąc jak najszybciej zostawić za sobą złowieszcze jeziorko, Dunbar zaczął brnąć przez głębsze zasy dzielące go jeszcze od przełęczy. Nikt nie szedł tędy od ostatnich opadów, nie miał więc pojęcia, którędy ścieżka biegnie pod śniegiem. Jedyne, co mógł zrobić, to obrać możliwie prosty kierunek, licząc na to, że śnieg złagodzi ostre kanty kamieni i wypełni zdradliwe zagłębienia, jakie mógł napotkać przy każdym kroku. Choć zapobiegliwie wetknął nogawki do butów, śnieg szybko zaczął przesiąkać przez cholewki, wilgoć dosięgła aż do spodni. Nim dotarł na samą górę, od kolan w dół był zupełnie przemoczony, górną połowę ciała natomiast miał mokrą od potu. Serce mu łomotało, w uszach szumiała tętniąca szybko krew.

Gdy u jego stóp rozpostarł się widok na sąsiednią dolinę, Dunbar przez chwilę przepatrywał jej pustkę, pokreśloną tu i ówdzie kamiennymi murkami, pozbawioną jednak drzew, jeziora i jakiegokolwiek schronienia. Gdzie Nutting? Gdzie drogowskaz do Nutting? Zaczęło się robić naprawdę ciemno, choć śnieg emanował jeszcze niesamowitym blaskiem. Ta ostatnia resztką jasności niezbyt go pokrzepiła, przeciwnie, upewniała go tylko, że wnet zamarznie na śmierć. Odwrócił się, by popatrzeć ostatni raz na dolinę, którą mozolnie przemierzał od rana. Starał się oddalić od niej, z nadzieją, że znajdzie bezpieczniejsze miejsce; gdy teraz patrzył na wioskę i parking pod lasem, wydało mu się, że wszystkie bezpieczne miejsca zostawił za sobą. Wał czarnych chmur, ciężkich od deszczu ze śniegiem, nadciągał na miejsce poszarpanych złocistych obłoków, którym Dunbar przyglądał się podczas przekraczania strumienia; w tej chwili wisiał gdzieś nad King's Head na drugim brzegu

jeziora, jednak niechybnie go ścigał, już niebawem miał sprowadzić pomstę na jego biedną starą głowę. Powrót nie miałby sensu, byłby równie bezowocny jak marsz przed siebie, teraz chodziło tylko o to, by znaleźć schronienie – jednak żadnego schronienia nie było.

W innych okolicznościach łożko z baldachimem, okna z szybkami w ołowiowych ramkach i tapeta w różyczki sprawiłyby, że Megan byłaby oczarowana swoim pokojem w King's Head. Nie ona jedna wśród okrutników hołubiła w sobie sentymenty. Psy i konie nie budziły w niej entuzjazmu, tyrolskie stroje również były jej obojętne, za to była bezbronna wobec uroków angielskiego wiejskiego pensjonatu. Wszystko w King's Head było dla niej bezpretensjonalnym wcieleniem nieba, włącznie z umieszczoną na kominku tabliczką z zakazem rozpalania ognia. Atrapa kominka była zupełnie na miejscu w pensjonacie, który udawał wiejski dom, a w rzeczywistości nigdy nie był wiejskim domem. Sentymenty dawały Megan wytchnienie od brutalności, która wypełniała ją na co dzień; ona także miała ochotę czasem zrzucić szpilki, poprzebierać palcami u nóg i obejrzeć coś głupiego w telewizji, jak zwyczajni ludzie – podług tego, jak wyobrażała sobie tę olbrzymią, nieodróżnicowaną, banalną ludzką masę, kłębiącą się poza szaniami jej ekscytującego i nikczemnego świata.

Tym bardziej irytowało ją, że w ten nieprzyjemny poniedziałkowy ranek, gdy deszcz smagał oprawione w ołów szybki, wiatr huczał i świstał w pustym kominku, a jej ojciec wciąż był zaginiony, nie mogła nacieszyć się przez chwilę tą angielską przytulnością, a potem cichaczem zapakować ojca do samolotu i wywieźć do bezpieczniejszego obiektu w austriackich górach o zębatych szczytach i skutych lodem przełęczach, znacznie bardziej przekonujących niż tutejsze niskie, ciasno upakowane pagórki o krągłych grzbietach, podobne do śpiących szczeniactków i wręcz zapraszające do ucieczki. Megan czuła się tak, jakby ktoś sprzątnął jej przed nosa zasłużony frykas. Postanowiła użyć techniki wizualizacji pozytywnej, by wyobrazić sobie pożądany rozwój sytuacji: tatuś uspokojony lekami doktora Boba wpatruje się w nią z bezmyślnym podziwem, ona zaś rozsmarowuje topiące się masło i dżem truskawkowy po księżycowej, pokrytej kraterami powierzchni dobrze wypieczonej grzanki, tymczasem niewinne miejscowe dziewczęta jedna przez drugą donoszą miseczki z gęstą śmietaną i wążutko pokrojone sandwicze, a ich truskawkowo-śmietankowe policzki rumienią się pod jej aprobującymi

spojrzeniami, ich główki wyczuwają bowiem, co jej chodzi po głowie, lecz są zbyt niewinne, by wiedzieć to na pewno. Och, Boże, co za niesprawiedliwość! Ten samolubny staruch wszystko popsuł! Megan otworzyła oczy i zerwała się z fotela. Nie mogła się zanadto podniecać. Doktor Bob wszczął chyba seksualny strajk, a obsługa pensjonatu, o ile mogła się zorientować, składała się z dwóch znudzonych polskich kelnerów, australijskiego barmana i szacownej recepcjonistki o krótkich siwych włosach, niezbyt pasującej do tych rozkosznych dziewczęcych wizji, które sobie pozytywnie zwizualizowała.

Z mężczyznami był taki problem, że bardzo niewiele z nich umiało przyjąć jej zasady gry, a potem się ich trzymać. Megan lubiła, gdy mężczyzna był jej niewolnikiem, ale przekonująco udawał, że ma ją w swojej władzy, i pozwalał jej grać rolę oszołomionej debiutantki, takiej, co to z niepokojem podnosi pytająco wzrok „Dobrze to robię?”, jednocześnie trzymając go we wprawnym uścisku rąk, nóg i ust. Uwielbiała szeptać „To mój pierwszy raz” i z nerwowo zaciśniętymi udami przyjmować pozycję, którą przyjmowała już tysiąc razy. Czasami zdarzało jej się skrzywić lub jęknąć i przygryźć wargę, jak gdyby wielki, nieokrzesany napastnik sprawił jej ból, a ona nie śmiała mu się poskarżyć. Mężczyzna, który w takiej chwili przerywał i pytał, czy nic jej nie jest, od razu wylatywał z łóżka; kto zaś wytrzymał pierwszy tydzień tych udawanych inicjacji i defloracji, zostawał wciągnięty do głębokiego lochu, gdzie miłość i ból zamieniały się miejscami. Megan uważała ból za parytet złota, według którego ustala się kurs papierowej waluty miłości. Ból można zmierzyć, natomiast miłości często nawet nie da się zlokalizować. Nie lepiej stopniowo wymienić coś, co jest niewiele lepsze od plotki, na coś rzeczywistego? Nie lepiej zmienić przelotną emocję, która i tak w każdej chwili gotowa jest obrócić się w swoje przeciwieństwo, we wrażenie pewne i powtarzalne?

W pierwszej wolnej chwili Megan zamierzała zrównać z ziemią jedno miejsce: Meadowmeade. Doktor Harris i jakaś kuriozalna pielęgniarzka, która jako ostatnia z personelu widziała Dunbara, wczoraj po południu nie bili się w piersi tak służalczo, jak Megan i Abby oczekiwały. Oczywiście oboje przepraszali, nie sprawiali jednak wrażenia, by uważali Rów Mariański za zbyt płytki grób dla siebie za tę hańbę i zaraz po znalezieniu Dunbara w ramach skromnej nawiązki zamierzają popełnić samobójstwo. Przeciwnie, gdy opadła trzecia fala córczyngo wzburzenia,

doktor Harris zaczął sobie pozwalać na uwagi, że nie jest strażnikiem więziennym, a doktor Bob i jego kolega po fachu z Hampstead błędnie przedstawili mu stan zdrowia Dunbara. Innymi słowy, zaczął zadzierać nosa. Megan siedziała w jego gabinecie wpatrzona w przycisk do papieru leżący na jego biurku i wyobrażała sobie, jak spuszcza go na ten zadarty angielski czerep ze „skutkiem ostatecznym”, jak mawia się w filmach, gdy ktoś zleca płać zabójstwo. Po doktorze Harrisie zabrała głos grubokoścista pielęgniarka; stwierdziła, że nie ma powodu się odgrażać, że personel sanatorium doskonale zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji, że schwytano już dwoje pozostałych pacjentów, którzy uciekli z Dunbarem, i od jednego z nich, który nie cierpi jeszcze na demencję, dowiedziano się, że Dunbar próbuje dotrzeć autostopem do Cockermouth. Posłano tam już dwóch pracowników, miejscowa policja jest zaś postawiona w stan pogotowia i dobrze wie, że pożądana jest dyskrecja. Pomysł, jakoby tatuś miał jechać autostopem, wydał się Megan zupełnie nieprawdopodobny, zażądała więc rozmowy z owym świadkiem, którym, jak się okazało, był komik Peter Walker.

Peter nie starał się ukryć natury swoich dolegliwości.

– Mam okropny problem alkoholowy! I nie mam co pić! – chlipał żałościwie, gdy wprowadzano go do gabinetu. Potem klepnął się po udach i zaniósł się śmiechem: – Nie ma jak stare dowcipy!

Megan i Abby zażądały, by Peter wybrał się z nimi na objazd po okolicy i powtórzył pełną przechwałkę opowieść o przygodach z Dunbarem. Potem zrobiły coś niezbyt przyzwoitego: zwabiły go do King's Head obietnicą alkoholu, by zyskać nad nim pełną kontrolę i zobaczyć, co się zdarzy. Nim dotarli do Plumdale Street, gdzie Walker rzekomo rozstał się z Dunbarem, a teraz chytrze dodał jeszcze jeden szczegół, że *chyba* widział, jak Dunbar wsiada do srebrnego vauxhalla astry, zaczęło się ściemniać i nadciągnęła burza, na którą zbierało się od dłuższej chwili. King's Head, jak się okazało, w tę zimową niedzielę świecił pustkami, Megan i Abby wzięły więc trzy najlepsze pokoje dla siebie i cztery zwykłe dla dwóch ochroniarzy, kierowcy i Petera, ignorując telefony z Meadowmeade i SMS-y z pytaniami, czy nie wiedzą przypadkiem, gdzie może się podziewać pacjent Walker.

Przy kolacji napiły Petera whisky, a także miksturą z lekarskiej walizeczki doktora Boba, której na pewno by nie wypił, gdyby go spytały o zdanie lub gdyby wiedział, z czego się składa, był to bowiem środek

pozbawiający zahamowań. Potem zaczął pić jeszcze bardziej łapczywie, by złagodzić działanie leku, o którym nie wiedział, że go zażył. Im bardziej stawał się niespokojny, tym gwałtowniej starał się zabawić rozmówców.

– Kto się zna na ludziach – oznajmił, wcielając się niepewnie w Jacka Nicholsona – ten wie, że wasz ojciec to naprawdę gość. Wiecie, o czym mówię?

– Niezupełnie – odparła z rozdrażnieniem Abby.

– Skoro to aż taki gość – wtrącił się doktor Bob, wyrozumiałym uśmiechem neutralizując jej wrogi ton – dobrze byłoby go znaleźć. Jeżeli złapała go burza, na pewno przeraźliwie marznie, a nikt przecież mu tego nie życzy. Wiesz, o czym mówię?

– Aha – mruknął Peter, który nie był już taki pewien, czy burza jest gorsza niż córki Dunbara, i trapiła go myśl, że mógłby narazić swojego druha na niebezpieczeństwo.

– Bo jeżeli nie jesteś pewien, czy naprawdę widziałeś, jak on wsiada do tego srebrnego samochodu – ciągnął Bob, napełniając głos największą dawką ciepła i empatii, na jaką było go stać – i masz jakiś pomysł, gdzie może teraz być, z radością byśmy cię wysłuchali. Dzięki temu moglibyśmy go odnaleźć i zabrać w bezpieczne miejsce.

– Bardzo dziwnie się czuję – stwierdził Peter tak bezpośrednim tonem, jakiego nie słyszeli jeszcze z jego ust – i mówię jak ktoś...

– ...kto naprawdę wie, co mówi – dokończył doktor Bob i parsknął wystudiowanym serdecznym śmiechem. – A jeśli chodzi o dziwność, to z ciebie dopiero jest gość!

– No... jestem gość... – Peter nerwowo przyjął komplement.

– Chciałbyś może valium? – spytał Bob.

– Och, tak, tak, tak! – odparł Peter. – Bardzo bym chciał!

– No to mogę ci dać, w końcu jestem lekarzem. Wiem, że przyda ci się spokojny sen, „sen, co potrafi rozwikłać splątana nić każdej troski”².

– Och, ja naprawdę muszę rozwikłać tę splątana nić! – powiedział Peter. – Żebyś wiedział...

– Wiem, o czym mówisz – doktor Bob sięgnął po walizeczkę stojącą przy krześle – i dam ci to, czego potrzebujesz, a jeśli ci się przypomni, gdzie jeszcze moglibyśmy rozejrzeć się za Henrym, daj mi znać.

– Nutting – wymamrotał Peter.

– *Nothing?* Nic? Oj, chyba jednak coś musisz nam dać, jeśli chcesz valium – powiedziała ze złością Abby.

– On chyba nie to miał na myśli. – Doktor Bob z zawodową cierpliwością po raz drugi naprawił jej błąd. – To jakieś miejsce, prawda?

– Tak – powiedział Peter. – Nut-ting.

Jakkolwiek oceniać jego metody, Bob zmanipulował Petera do reszty. Megan obserwowała jego działania z czymś na kształt podziwu. Uczucie prawdziwego podziwu było jej obce, uważała je za rozpaczliwy odruch zrozpaczonych ludzi, trochę jak sprzedawanie krwi do banku krwi, nieprzystojący komuś o tak wysokiej pozycji jak ona. Lecz jeśli kiedykolwiek nawiedzało ją to mgliste, zbliżone do podziwu uczucie, to właśnie w obecności doktora Boba, i wtedy żałowała, że nie ma go tylko dla siebie. Megan i Abby zawsze były sobie bardzo bliskie i zawsze działały wspólnie, zarówno w czasach szkolnych, gdy robiły kawały współlokatorkom z internatu, jak i teraz, gdy planowały, jak głosować na walnym zebraniu akcjonariuszy; Megan chciała jednak mieć już Boba dla siebie. Bądź co bądź była wdową, a Abby, choć jej małżeństwo było kompletną farsą, nie mogła przecież wyjść za mąż. Czasami, gdy Abby dosłownie doprowadzała ją do szału, Megan myślała sobie, że oświadczy się Bobowi. Mimo wszystko jednak nie umiała zerwać wieloletniej siostrzanej współpracy. Jednym z absolutnych klasyków z czasów młodości – Megan wciąż nie mogła się nadziwić, że w tak młodym wieku obie były już tak świetnie zorganizowane – była historia z pewną starszą dziewczyną z internatu, która, jak się dowiedziały, podczas letnich wakacji dokonała aborcji. W wolnym czasie Megan i Abby zakrzętały się jak trzeba i za ich sprawą niedoszła mamusia po powrocie do szkoły zastała w pokoju stopy dziecięcych akcesoriów: piękne staromodne łóżeczko z przymocowanymi grzechotkami, paczki pieluch, drogie kremy, laktator, śliczne malutkie kombinezony, wymyślnie dziergane sweterki i najróżniejsze pluszaczki wychylające się zza poduszki lub pousadzane na półkach – by to wszystko kupić, dosłownie spustoszyły pobliski sklep dziecięcy. Radość z dowcipu trwała krótko, bo dziewczyna, która przez swoją absurdalną nadwrażliwość aż prosiła się o karę, już w progu doznała załamania nerwowego, po czym natychmiast odjechała do domu i więcej nie wróciła. Na zwołanym następnego dnia apelu dyrektorka przyrzekła, że „prześwietli na wylot” ten „odrażająco okrutny postępek”, lecz gdy rzeczywiście go prześwieciła i ujrzała, że stoją za nim siostry

Dunbar, te niespodziewanie przeszły do kontraktaku. Abigail oznajmiła, że obie wychowały się w cieplarnianych warunkach i nigdy wcześniej nie słyszały o czymś takim jak aborcja; po prostu dowiedziały się, że jedna ze starszych dziewcząt spodziewa się dziecka, i pomyślały, że na pewno uraduje się z takich prezentów. Może było to naiwne z ich strony, ale teraz, gdy rozwiały się ich niewinne złudzenia, szkoda byłoby, żeby ta historia dostała się do prasy i by szkoła stała się znana jako Abortion Abbey. Po tym obie siostry, najpierw jedna, potem druga, zostały mianowane na przewodniczące samorządu; tego niezapomnianego okresu ich rządów nie zakłóciła nawet Florence, którą nadopiekuńcza matka posłała do jakiejś banalnej dziennej szkoły na Manhattanie.

Zważywszy, że już w bardzo młodym wieku stać je było na tak mistrzowskie pokazy zimnej krwi, poprzedniego wieczoru aż dziwnie było patrzeć, jak z Abby wyłazi bezsilna arogancja. Próbowwała to zatuszować, w samym środku burzowej nocy wysyłając Kevina, szefa ochrony, oraz Jesusa („woleę, jak ludzie mówią mi J.”) – przystojnego młodego ochroniarza, byłego komandosa, który sprawiał wrażenie, jakby umiał złamać kark samym spojrzeniem – na poszukiwania. Gdy przybyli do Nutting, Kevin zameldował, że trudno to w ogóle nazwać miejscowością: ledwie cztery domy, stodoła i czerwona skrzynka na listy przytwierdzona do ściany. Nie było tam śladu Dunbara, Kevin i Jesus postanowili jednak poczekać do rana i o pierwszym brzasku przejść ścieżką z Nutting do Plumdale, którą wedle zeznań Petera przemierzył w przeciwną stronę Dunbar. Dzień wstał już trzy godziny wcześniej i teraz wszyscy czekali na wieści od nich. Paskudna pogoda wykluczała użycie helikoptera, a wymóg dyskrecji nie pozwalał powiadomić Górskiego Towarzystwa Ratunkowego Merewater, ochotniczej organizacji, której prospekt Megan widziała w hotelowej recepcji. Z helikoptera na pewno szybko wpadliby na trop Dunbara, zwłaszcza gdyby na pokładzie znajdował się system termowizyjny. Megan polowała już z helikoptera: na gazy w Arabii Saudyjskiej, na bawoły w Nowej Zelandii, na dzikie świnie w Teksasie. Ludzie rozmiłowani w zbytkach zapraszali ją na takie polowania, traktując je jako wyjątkowe atrakcje, dla niej jednak latanie w rozkołysanej, trzęsącej się maszynie, ze słuchawkami na uszach i w goglach, i siekanie kulami dziewiczego, dzikiego terenu było doświadczeniem nieludzkim. Czuła się jak padlinożerca. Zwierzęta też były żałosne, gdy próbowały uciekać przed hałasującą bryłą latającego

metal, rzucały się do galopu, który pewnie wydawał im się popisowo szybki, tymczasem z powietrza wyglądał jak w zwolnionym tempie. Warchlaki zawsze pędziły lojalnie za matkami, gdy więc ktoś zabił lub zranił matkę, uważano za rzecz litościwą wykończyć je także – myśliwi zwracali wówczas swoje maszyny, szczerząc się z uciechy, jak gdyby przeżywali najwspanialsze chwile w życiu.

Pukanie do drzwi wytrąciło Megan z zamyślenia.

– Kto tam?

– To ja – odezwała się Abby. – Wpuść mnie.

Ubrana już w dzinsy, gruby sweter i wysokie buty, Abby weszła do pokoju i przedstawiła najświeższe nowiny:

– Chłopaki dzwonili właśnie znad jakiegoś stawu nieco powyżej głównego jeziora; tak przynajmniej zrozumiałam, choć przy takiej pogodzie nawet te ich wypasione telefony ledwie dają radę. Tak czy owak, do tej pory nic nie znaleźli, a w górach mocno sypie śnieg, więc jeśli były jakieś ślady, już są zasypane. Kazałam im zejść na tę stronę, spotkamy się z nimi w miejscu, gdzie Peter rzekomo rozstał się z tatusem. Myślę, że dobrze byłoby zabrać go tam dla odświeżenia pamięci.

– Jeżeli skłamał... – zaczęła Megan, choć nie bardzo umiała powiedzieć, co ma na myśli.

– No – przytaknęła Abby. – Tymczasem posłałam mu do pokoju śniadanie z szampanem, żeby nie miał ochoty wracać na kacu do Meadowmeade.

– To urocze.

– Mam dla niego w zanadrzu jeszcze jedną niespodziankę.

– Jaką?

– Zobaczysz.

Umówiły się, że spotkają się jak najszybciej na dole. Abby poleciła już Bobowi, by zajął się Peterem.

Megan się ucieszyła, że jej siostra znowu jest sobą: kobietą szybką, zdecydowaną, pełną pomysłów, umiejacą się bawić, nie tą nerwową, bezsilną, trochę napuszoną osobą, jaką była przez ostatnie tygodnie. Rzecz jasna, odebranie władzy tatusiowi musiało kosztować sporo nerwów, ale gdyby przy okazji nie miały się dobrze zabawić, po co w ogóle miałyby to robić?

Ponieważ parking był oddalony o ledwie kilka mil, Abby oznajmiła szoferowi, że sama poprowadzi samochód. Prawdziwy powód był taki, że George należał do starej gwardii, której nie zdążyły się jeszcze pozbyć (tyle jeszcze było do zrobienia!) i wyprowadzał je obie z równowagi, do znudzenia dopytując się z troską o „pana Dunbara”.

– Ale przecież z powrotem nie zmieścicie się wszyscy w jednym samochodzie – zaprotestował George.

– Nie martw się, damy sobie radę – powiedziała Abby, trzaskając drzwiami. – Tamci mogą nawet pójść pieszo, byśmy tylko nie musieli jechać z nim – mruknęła do Megan przez zaciśnięte zęby.

– Pa! – Megan pomachała przez okno szoferowi, który stał zdumiony na parkingu w porywach wiatru.

– Przynajmniej zrobił dziś coś pożytecznego – powiedziała Abby, uśmiechając się do Petera w lusterku wstecznym.

– Co takiego? – spytał Peter.

– Kupił skrzynkę whisky.

– Skrzynkę? Całą skrzynkę? – zdziwił się Peter. – A niech mnie! Czymże sobie zasłużyłem na ten uśmiech losu?

– Powiedziałeś nam, gdzie znajdziemy tatusia.

– Znalazłyście go już? Znalazłyście tatusia?

– Jeszcze nie – odparła Abby – ale pojedziemy na parking, gdzie się rozdzieliliście, żebyś dzięki swojej niezwykłej pamięci i umiejętnościom naśladowczym mógł odtworzyć tę scenę.

– Przecież już wam powiedziałem, że...

– Po prostu pokażesz nam to na miejscu – przerwała mu Abby.

Wkrótce skręcili na nadjeziorną drogę kończącą się opustoszałym parkingiem.

– Chyba mam atak paniki – powiedział Peter do doktora Boba. – Czy mogę jeszcze raz dostać valium?

– Nie byłoby to wskazane – odparł Bob. – Benzodiazepiny są mocno uzależniające.

– No dobra, przyznaję, już jestem uzależniony! Czy mimo to mogę je dostać? Jeśli nie jest wskazane dać komuś valium w ataku paniki, to niby kiedy jest to wskazane?

– Są tam – powiedział Bob do Abby – pod tym małym zadaszeniem obok Informacji Turystycznej.

– Kto? – spytał Peter.

Abby zaparkowała obok zadaszania.

– Wszystko zgodnie z planem – stwierdziła. – Jesteśmy przy Informacji Turystycznej, a ty, Peter, udzielisz nam stosownej informacji.

– Przecież powiedziałem wam wszystko, co wiem.

– Wysiadaj.

– Nie ma mowy! Spójrzcie tylko, jaka jest pogoda, w powietrzu latają całe drzewa! Nie zdziwiłbym się, gdybyśmy napotkali ekipę telewizyjną kręcącą materiał o skrajnych zjawiskach pogodowych...

– Wysiadaj, do kurwy nędzy! – wrzasnęła Abby. – Przyjechaliśmy ratować mojego ojca, a uratowanie go może zależeć od szczegółów, o których wcześniej być może zapomniałeś nam powiedzieć. Dostyc tego!

Peter wygramolił się z wozu, szarpany we wszystkie strony porywami wiatru.

– Dasz radę, Peter – powiedział Kevin, kładąc mu rękę na ramieniu, i wprowadził go pod zadaszanie. – Przynieś whisky – polecił Jesusowi.

– Ach, teraz rozumiem! – stwierdził Peter. – Impreza! Po co siedzieć w jadalni z widokiem na jezioro w przygnębiająco komfortowym hotelu i sączyć cienkie koktajle, skoro można przycupnąć na publicznym parkingu, w temperaturze poniżej zera, i pociągać szkocką z gwinta? Bratnie dusze!

– Klapnij sobie, Peter – powiedział Kevin. – Wiesz, naprawdę przydałby mi się odpoczynek: jestem na nogach od trzeciej nad ranem, bo szukam ojca moich pracodawczyń. Dwie godziny temu brnąłem przez zasy po pas, było ciemno jak w dupie, i wiesz, o czym sobie wtedy pomyślałem? Pomyślałem sobie, że jeśli Peter rozmyślnie wprowadził nas w błąd, to go, kurwa, ukrzyżuję!

– Ależ ja nie wprowadziłem was w błąd, przysięgam!

– Przytrzymaj mu ręce, J. – polecił Kevin.

Jesus wykręcił do tyłu i przytrzymał ręce Petera. Kevin otworzył dwie butelki whisky i zaczął oblewać Peterowi głowę. Whisky przesiąkała mu przez włosy, zalewała twarz, lała się za koszulę i po klapach kurтки. Opróżniwszy butelki, Kevin odstawił je i sięgnął po dwie następne.

– Jak to nazywacie, chłopcze? – spytał pułkownik Peter z armii Stanów Zjednoczonych, próbując zlizywać alkohol spływający po twarzy. – Podtapianie za pomocą whisky? Konwencja genewska powinna je uznać za obowiązkowe! – Nie wywołał tym żadnej reakcji, wcielił się więc w zrzędliviego klienta: – Nie wiem, jak długo uczyłeś się na barmana,

młody człowieku, ale pozwól, że przedstawię ci pewne elementarne zasady: bierzesz szklankę lub jakiegokolwiek inne naczynie, szejker do koktajli, skorupę kokosa, a w twoim przypadku choćby dwa duże liście zszyte nicią chirurgiczną, której używasz zwykle do zszywania ran po wyssaniu kuli z ramienia...

Kevin niewzruszenie oblewał go zawartością kolejnych butelek. Abby, Megan i Bob stali naokoło wiaty. Peter przeobraził się po raz kolejny, tym razem w latynoskiego fryzjera:

– Chłopakos, mówię wam, ten koktajl nie zadziała! Jest o wiele za drogi, i patrzcie no, jak się lepi!

– Zamknij ryj! – powiedział Kevin. – Ani słowa, póki nie wskażesz nam, gdzie znajdziemy pana Dunbara.

– Przecież wam powiedziałem. – Peter zaczął chlipać.

– Wiesz, co to jest? – Abby wyjęła mały pistolecik. Wycelowała sobie w skroń i pociągnęła za spust. Z lufy trysnął ogromny gazowy płomień. – Specjalna zapalniczka, akurat na takie warunki pogodowe.

– Nie zapomnijmy o spodniach – powiedział Kevin, oblewając Peterowi kolana i uda.

– Nie – jęknął Peter – nie, nie, nie, błagam!

Abby usiadła obok niego na ławce i zaczęła pstrykać zapalniczką, jak gdyby miała taki nerwowy nawyk.

– A więc przyszliście tu wczoraj z moim ojcem... – zaczęła.

– Powiedziałem wam już. – Peter zachłystywał się, jak gdyby miał problemy z oddychaniem. – Rozstaliśmy się tutaj... przy tym wielkim drzewie... uścisnęliśmy sobie dłonie... Ostrzegałem go, że na przełęczy będzie śnieg. Musicie mi uwierzyć!

Abby była zbyt zafascynowana huczącym płomieniem, by go słuchać. Zbliżyła zapalniczkę do jego twarzy.

– Mówię prawdę, przysięgam! – chlipał Peter.

– Widziałem już niejedno przesłuchanie – wtrącił się Kevin – i moim zdaniem on mówi prawdę.

Abby zgasila zapalniczkę i przesunęła rozgrzaną lufę po mokrych od whisky włosach Petera.

– Kurwa mać! – wrzasnął Peter. – Oparzyłaś mnie! Twój ojciec miał rację: jesteś potworem, pierdolonym potworem!

– Naprawdę tak powiedział? – Abby spokojnie przesunęła zapalniczkę na wysokość jego pępka i podpaliła mu koszulę.

– Czy to naprawdę konieczne? – spytał Bob ze znużeniem. – On mówi prawdę. Mówił już wczoraj wieczorem, bo został odpowiednio przygotowany psychologicznie.

– Niech się nauczy dobrych manier – odparła Abby. – Nikt nie będzie nazywał mnie potworem.

– To był cytat. Znajdźmy człowieka, którego zacytował. Mamy czas najpóźniej do środy, potem musimy wracać do Nowego Jorku. Puśćcie jego ręce, do cholery, bo za chwilę będziemy musieli go zabrać do szpitala.

Abby skinęła na znak zgody i J. puścił Petera. Ten zaczął szaleńczo klepać się po piersi i kolanach. Wybiegł spod zadaszenia na wiatr i deszcz, szybko się ugasił, najwyraźniej jednak coś popsuło mu się w głowie, bo biegł dalej w stronę jeziora, bełkocząc i wrzeszcząc.

– Co za histeryk – powiedziała Abby.

– W porównaniu z benzyną to mały pikuś – stwierdził J. – Takie coś mogłoby mu się przytrafić w eleganckiej francuskiej restauracji.

– Straty uboczne przy jedzeniu *crêpes suzette* – powiedział Bob.

– Tak jest – zgodził się J.

– Patrzcie, on się dymi – powiedziała Megan. – Chyba strzelę mu fotkę.

– Nie robiłbym tego, proszę pani – powiedział z respektem J.

– Masz rację. – Megan poklepała go po muskularnym, wytatuowanym przedramieniu. – Trochę mnie poniosło.

Przyglądali się, jak Peter brodzi w jeziorze, miotając w niebo niezrozumiałe klątwy. Po przejściu paru jardów chyba pośliznął się na kamienistym dnie, bo stracił równowagę i przewrócił się do wody. Dla Abby i Megan było już tego za wiele – wybuchły takim chichotem, że musiały podeprzeć się nawzajem.

– Teraz przynajmniej wiem, dlaczego ludzie uważają, że jest zabawny – powiedziała Megan, oklaskując Petera miotającego się w lodowatej wodzie.

– Przykro mi, że muszę wam zepsuć zabawę – doktor Bob spojrzął na swój telefon – ale właśnie dostałem wiadomość od Jima Sage’a. Píše, że Florence leci teraz do Manchesteru. Pytała go, gdzie jesteście.

– Zignoruj to. – Abby opanowała się w jednej chwili. – Skoro Jim nie wie, gdzie jesteśmy, to jej nie powie, ale nie możemy powiedzieć mu, by jej tego nie mówił. No dobra, jedźmy do Nutting, rozpytamy się na

miejscu. Pewnie nie dobijaliście się w środku nocy do tych czterech domów?

– Nie chcieliśmy zwracać na siebie uwagi – odparł Kevin.

– Pójdę pieszo tą ścieżką, proszę pani – zaproponował J. – W ten sposób znajdzie go, jeżeli będzie próbował wracać tą samą drogą.

– Dobry pomysł – stwierdziła Abby.

– Prawdziwy z ciebie bohater. – Megan położyła mu rękę na ramieniu. Była zafascynowana energią bijącą z jego ciała. Oto mężczyzna, który wie wszystko o zabijaniu i wszystko o rżnięciu się, i prawie nic o wszystkim innym. Jak w niebie.

– To moja praca, proszę pani – powiedział J., zrzucając plecak na ramiona. – Zobaczymy się w Nutting.

– Spójrz, skarbie – powiedziała Megan do Abby – on biegnie!

– Jak powiedział: to jego praca.

Megan przyglądała się J., póki nie wbiegł truchtem między drzewa.

– No dalej, pospieszcie się – powiedziała Abby, bębniąc palcami po kierownicy.

Megan usiadła z tyłu obok Boba. Obejrzała się i zobaczyła Petera. Zdążyła o nim zapomnieć, wydawał się zupełnie bez znaczenia. Wyszedł już na brzeg, klęczał teraz w pozie, którą trener jogi nazwałby pozycją dziecka: z plecami wygiętymi w łuk i czołem opartym na podwiniętych rękach.

– Ochrzczony w ogniu, ochrzczony w wodzie – powiedział doktor Bob.

– Będę zdziwiony, jeśli przez to nie narodzi się na nowo.

– Przestań! – powiedziała Megan. – Kiedy tak mówisz, robię się zazdrosna.

Dunbar najdyskretniej, jak umiał, przelazł przez kamienny murek, przykucnął po drugiej stronie i obejrzał się za siebie, na Nutting, które go rozczarowało, i stodołę, w której spędził część nocy. Nie dałby głowy, czy ktoś go nie spostrzegł, ale i tak póki nie wydostanie się z doliny, w nieuchronny sposób musiał rzucać się w oczy, jak owad pełznący po oknie. Pierwotnie zamierzał zaczekać do rana i poprosić kogoś z mieszkańców, by wezwali mu taksówkę do Londynu. Perspektywa ujawnienia się przed ludźmi przerażała go, bał się, że jest nazbyt skołowany, by jasno wyrazić myśli. Jeżeli wyglądał równie wariacko, jak się czuł, to najprawdopodobniej skończyłyby w karetce lub radiowozie, a nie w taksówce. Było to skołowanie dogłębne: Dunbar czuł się tak, jakby próbował dosięgnąć klawiszy fortepianu ślizgającego się po pokładzie tonącego statku, równocześnie próbując przypomnieć sobie strzępki utworu, który kiedyś znał na pamięć.

Trochę był jednak rad, że nie dane mu było podjąć wysiłku rozmowy z kimkolwiek. Wolał pozostać sam ze swoim szaleństwem, nawet jeśli samotność je pogłębiała. Być może w którymś momencie chaos, w jakim tkwi, przerodzi się w jakiś nowy porządek; może Dunbar był jak pilot, który przedziera się na ślepo przez mocno zachmurzone niebo, po czym wzlatuje wreszcie w wyższą czystą warstwę atmosfery, spogląda w dół na morze chmur i widzi pod sobą w całej okazałości to, co niedawno pozbawiało go możliwości widzenia. Tak, właśnie tego chciał, tego desperacko pragnął.

Tak czy owak, musiał opuścić Nutting w pośpiechu za sprawą dwóch ludzi, którzy nocą weszli do stodoły. Słyszał, jak szepczą jego imię, i wiedział, że to jego szukają. Na szczęście wcześniej wyszukał sobie bezpieczne zagłębienie między dwiema belami siana i nie mogli go tam dostrzec nawet w świetle latarek. Jedną połowę stodoły zajmowały zwierzęta gospodarskie, drugą siano. Na wprost wjazdu stał traktor, pachnący smarem, ziemią i mokrym metalem. Dunbar zakradł się tam kilka godzin przed zabójcami i również poświecił sobie latarką, włączał ją jednak na krótko i z przestachem, wiedząc, że jej światło prędzej zwróci czyjąś uwagę, niż pomoże mu znaleźć to, na czym mu zależy. Wreszcie

przy którymś błysnięciu spostrzegł w kącie obok traktora stertę pustych worków oraz wygodną wnękę w sianie i umościł sobie w niej poślanie. Zdjął ciężkie od deszczu palto, przykrył się workami, a palto narzucił na wierzch jak koc; ciężar płaszcza i ciepło futrzanego podbicia mogły mu pomóc w zaśnięciu, a zewnętrzna strona miała dzięki temu szansę wyschnąć. Zważywszy na okoliczności, poczuł się prawie jak w domu, był jednak zbyt głodny i pobudzony, by zapaść w głębszy sen, gdy więc otworzyły się wrota stodoły i przez chwilę rozbrzmiał głośniejszy ryk burzy, zbudził się natychmiast z łomoczącym sercem. Z początku nie słyszał, co mówią, ale gdy drzwi zamknęły się i intruzi weszli w głąb pomieszczenia, a wreszcie stanęli dokładnie pod jego schronieniem, przez szczelinę między belami słyszał każde słowo.

– Dunbar nie dobijałby się do obcych domów w środku nocy – powiedział głos, który wydał się Dunbarowi znajomy. – On lubi robić wszystko po swojemu, nienawidzi być zobowiązany za przysługi. Nawet jeśli zabunkrował się w którymś z tych domów, najlepiej będzie, jeśli wrócimy rano i wypytamy się jak gdyby nigdy nic, czy zabłąkał się tu podczas burzy pewien stary piernik z naszej wycieczki.

– Na naszej farmie w Teksasie też mamy stodołę, ale zupełnie inną niż ta – powiedział drugi.

– O kurwa, to bardzo ciekawe! Może usiądziemy na chwilę i poopowiadasz mi o stodole swoich starych, co? Rozumiem, że właśnie po to tu przyszliśmy? – Rozległa się salwa drwiącego śmiechu. – Zajrzyj do kabiny ciągnika, może tam poszedł spać.

Krążyli na dole i szukali. Sprawdzili kabinę, zaglądali pod plandeki przykrywające przyczepy i pługi.

Ależ oczywiście! Dunbara nagle olśniło: ten pierwszy to szef ochrony Abigail, jak mu tam, Kevin, właśnie tak, Kevin, paskudny Brytol, który służył w Siłach Specjalnych. Wszystkich ochroniarz Abby i Megan rekrutowały z Sił Specjalnych i teraz zamierzały użyć ich specjalnych sił, by zniszczyć jego umysł, roztrzaskać go jak glinianego gołębia. W tym właśnie były ekspertkami: trzymały ludzi fizycznie przy życiu na tyle długo, by doświadczyli na żywo destrukcji psychicznej. Dunbar nie miał zamiaru dać się wziąć żywcem. Zastanawiał się, czy nie zdołałby zepchnąć jednej z bel i złamać Kevinowi karku. Póki Dunbar pozostanie Dunbarem, jest gotów walczyć.

– Na to zamczysko ze słomy stary tłuścioch raczej nie miał szansy się wspiąć – powiedział Kevin – ale może wleź tam i rzuć okiem, co? Ja popatrzę, czy nie chowa się w wołownie.

– To nie jest słoma, tylko siano, a te krowy są mleczne, nie mięsne. – J. dalej narzucał się ze swoją gospodarską wiedzą.

– Och, doprawdy? – spytał Kevin. – Co to ma być, jakaś pierdolona Królewska Akademia Rolnicza? Wiem coś o dojnych krowach, w końcu pracuję dla jednej takiej, ale nie sądziłem, kurwa, że będę miał okazję uczyć się od prawdziwego kowboja!

Dunbar zeszywniały z lęku nasłuchiwał szelestu siana, gdy J. wspinał się w jego stronę. Jego kryjówka znajdowała się mniej więcej w połowie wysokości sterty; nie była może widoczna na pierwszy rzut oka, ale gdyby J. próbował się wspiąć, spostrzegłby go bez trudu.

Kevin z obrzydzeniem podszedł do zwierząt, potężnym światłem latarki wyłuskiwał z mroku ich szkliste, przestraszone oczy. Krowy chyba wyczuły jego wrogość, bo zrobiły się niespokojne, a był to niepokój zaraźliwy: któraś ryknęła, inne zaczęły się pchać na metalową bramę przegrody, aż ta zaczęła głośno szczekać. Po chwili na zewnątrz zaszczekał pies, potem kolejny. Gdy J. był już blisko szczytu, Dunbar usłyszał, jak Kevin syczy z dołu:

– Złaź! Postawiliśmy na nogi całą farmę.

J. zeskoczył na dół kilkoma zwinnymi susami.

– I tak go tam nie ma – powiedział.

– Spierdalajmy stąd, bo zaraz wyskoczy na nas jakiś wieśniak z dubeltówką – powiedział Kevin.

Obaj wymknęli się ze stodoły, pozostawiając zbiega w stanie błogiej ulgi. Dunbar chyba jeszcze nigdy w życiu nie był tak szczęśliwy. Krowy i psy go obroniły! Psy już nawet drugi raz – najpierw wtedy, gdy przekroczywszy przełęcz i zszedłszy poniżej linii śniegu, brnął po omacku w ciemności, udręczony padającym śniegiem z deszczem, i usłyszał dalekie szczekanie, potem drugie (jak przed chwilą), a potem ktoś zawołał do psów, że mają wejść do domu albo się uciszyć; nie dało się rozróżnić słów, ale ton głosu był uspokajający, nie gniewny. To szczekanie i głos pomogły mu obrać właściwy kierunek, aż wreszcie dotarł do wioski i ujrzał zapaloną lampę na podwórzu przed stodołą. Teraz, w kolejnej krytycznej sytuacji, zwierzęta interweniowały po raz drugi – i wypełniła go radość, że natura jest po jego stronie, że podziela

jego oburzenie i wspiera go w walce z przeciwnym naturze okrucieństwem jego starszych córek.

Dunbar zawsze był mocno związany z naturą, za młodu każde lato spędzał w swoim wakacyjnym domu w Ontario, który uważał za swój najprawdziwszy dom, nad jeziorem, które wciąż jeszcze należało do niego; pływał czółnem i żaglówką, budował domek na drzewie, chodził na piesze wędrówki, obozował w lesie, pił zimną wodę z jeziora, pływał w pław – i czuł, że od roślin, drzew i zwierząt nie oddziela go żadna bariera. Wiek i pieniądze zerwały tę więź, ale teraz, gdy został poddany najtrudniejszej próbie, czuł, że odzyskuje tamten głęboki instynkt, swoją dawną tożsamość. Kevin mylił się, nazywając go starym tłuściochem i sądząc, że nie wspiałby się na stertę siana – to przecież w niej tak udatnie się krył, podczas gdy jego prześladowcy kręcili się bezradnie po stodole. Dunbar zawsze miał w sobie potężne zasoby surowej fizycznej energii. Do idealnego funkcjonowania nie potrzebował więcej niż trzech godzin snu. Ten durny mięśniak nie miał pojęcia, z kim się zadaje; był zbyt zafascynowany własną sprawnością i agresywnością, by wiedzieć, czym jest prawdziwa wewnętrzna siła.

Niestety wystarczyło kilka minut, by to radosne uniesienie osiągnęło szczyt, a potem rozproszyło się i znikło. Dunbar zaczął się zastanawiać, czy Kevin i jego praktykant w morderczym fachu naprawdę odeszli, czy na przykład nie ukryli się parę jardów dalej i nie obserwują przez lunetę wrót stodoły. A jeżeli gospodarz naprawdę nadciąga ze strzelbą, żeby sprawdzić, co zaalarmowało jego psy i krowy? Trzeba się wymknąć, nim będzie za późno. Oświetlone było tylko podwórze przed stodołą; jeżeli wysokie, rozsuwane wrota za ciągnikiem nie są zamknięte na kłódkę i Dunbar znajdzie siłę, by je otworzyć, prawdopodobnie zdoła wyjść niepostrzeżenie. Zsunął się na dół, ostrożnie stawiając stopy i raniąc sobie dłonie sznurkiem, którym ciasno obwiązane były bele. Dotarłszy do wrót, naparł na nie z całej siły, one jednak rozsunęły się bez oporu po gładkich szynach, omal nie pociągając go za sobą. Wyśliznął się na zewnątrz i zasunął wrota za sobą. Pogoda wciąż była okropna, ale zaczynało się już przejaśniać, Dunbar postawił więc kołnierz, naciągnął czapkę i natychmiast ruszył w kierunku mającym oddalić go jeszcze bardziej od ostatniego miejsca, w którym go widziano, czyli King's Head, a jeśli Peter się wygadał, to od parkingu nad jeziorem. Teraz, po dłuższej chwili równomiernego marszu, kucał za kamiennym murkiem, oddalony

o ledwie trzy pola od grzbietu wzniesienia, i oglądał się w stronę przysiółka i stodoły. Było już na tyle widno, że dobrze widział drogę, ale wrogowie również mogli dostrzec go bez trudu. Dwieście jardów przed zakrętem do Nutting stał zaparkowany czarny land rover. Stał zwrócony do niego tyłem i nie dało się zobaczyć, czy ktoś jest w środku, ale jego obecność ciążyła Dunbarowi znacznie bardziej niż bliskość gospodarstw. Ledwie zdążył zejść z drogi i przegramolić się przez murek, drzwi land rovera otworzyły się i wysiedli z niego dwaj mężczyźni. Wzięli plecaki z tylnych siedzeń, zarzucili je na ramiona i wojskowym krokiem ruszyli w stronę ścieżki prowadzącej nad Merewater. Nie widział dokładnie ich twarzy, ale był pewien, że to Kevin i J. znów wyruszają na łowy.

Przykucnął nisko, przyciskając plecy do murku, wstrząśnięty, że o włos uniknął wykrzyčia. Musiał zaczekać, aż wespną się na przełęcz i znikną po drugiej stronie, bo w każdej chwili mogli się odwrócić i go zobaczyć. O ile poprzednia sytuacja napełniła go wdzięcznością, że los i natura są mu przychylnie, o tyle ten drugi uśmiech fortuny pogłębił w nim podskórną grozę; Dunbar czuł się tak, jakby zatapiał go stopniowo wściekły przybój Pacyfiku, jakby kolejne fale wciągały go coraz głębiej do morza i od czasu do czasu dostrzegałby plażę, z której nie powinien był nigdzie się ruszać. Od dawna już czuł się mocno dezorientowany, jak ktoś, kto zapomniał, jak się zawiązuje sznurowadła, lub nie pamięta nazw przedmiotów, teraz jednak doznawał o wiele głębszej i dotkliwszej konsternacji, dotknął jej najgłębszego rdzenia, jak gdyby był świadkiem czegoś niemożliwego, sprzecznego z prawami natury – jak gdyby podrzucił w górę kamień, a ten, zamiast spaść, leciał dalej w niebo. Ziemia była twarda i mokra, ale bliska, na wyciągnięcie ręki, i przyjazna. Dunbar był gotów rzucić się na nią, jeśli miałoby to uchronić go przed niekończącym się spadaniem w niebo, z zamkniętymi oczyma i myślami zwróconymi ku domowi, który utracił. Położył się wzdłuż murku i rozciągnął na ziemi tak płasko, by przylegać do niej jak największą powierzchnią ciała. Nie chciał, by go stąd zabrano. Szukając ręką po omacku dodatkowego zakotwiczenia, trafił na kamień wystający z murku, wczepił więc palce w jego szorstką powierzchnię, a drugą rękę zacisnął na kępie trawy. Przypomniało mu się, jak był małym chłopcem i rozpaczliwie trzymał się nóg stołu, żeby tylko matka nie zdołała go wyciągnąć i spuścić mu manta. Któregoś razu zbiła go za podpalenie czegoś, bo przecież, jak mówiła, ognia *szczególnie* nie powinien był tykać.

To słowo go potem prześladowało, wiele czasu minęło, nim się dowiedział, co ono znaczy. Wydawało mu się, że ma jakiś straszliwy sens moralny, że odnosi się do czegoś, na co nawet „zło” jest zbyt łagodnym określeniem. Gdy już się dowiedział, co tak naprawdę znaczy „szczególnie”, to słowo zdumiało go swoją neutralnością i precyzyjnością. Jakim cudem matka zdołała napełnić słowo o tak pedantycznym, wąsko zakreślonym znaczeniu tak wielką grozą i przemocą?

– Szczególnie – mruknął.

Leżał dalej, wczepiony w kamień i trawę, z palcami stóp wbitymi w błoto i z zeszywniałymi mięśniami, nie śmiąc się ruszyć. Nie umiał określić, jak długo tak leży. Jego poczucie czasu było tak samo zniekształcone jak cała reszta i to zniekształcenie miało nad nim całkowitą władzę, niczym senny koszmar: Dunbar nie potrafił ocenić, jak długo błąkał się we wspomnieniach matczynych ataków karzącej złości, i miał wrażenie, że istnieją poza czasem, bo choć tamte dziecięce doświadczenia należały już do przeszłości, to przecież kiedy się rozgrywały, zdawało mu się, że nigdy się nie skończą. Z drugiej strony pojęcia takie, jak nieskończoność czy przestrzeń, rozbłyskiwały mu w głowie na ułamki sekund, lecz pozostawiały w nim zapowiedź wiekiwej piekielnej kary.

W końcu Dunbar drgnął. Podniósł się powoli na obolałe kolana, potem dźwignął się na odrętwiałe stopy. Głowę wciąż trzymał pod krawędzią muru, na wypadek gdyby prześladowcy przepatrywali dolinę przez mocną lornetkę. Po dłuższej chwili zerknął ukradkiem ponad murkiem, by sprawdzić, jak wysoko się wspięli. Nie zobaczył nikogo. Prześledził wzrokiem trasę od ich samochodu do przełęczy, ale napotkał jedynie przemoczone czarne owce, szarpane krętymi od wiatru strugami deszczu. Być może prześladowców zasłoniły już chmury przesłaniające wyższą partię wzgórza. Wydało mu się to mało prawdopodobne. Jak długo się chował za murkiem? A może oni już wracają? Może powinien wrócić do Nutting i po prostu się poddać, wezwać policję, a nie taksówkę, skoro i tak wiadomo było, że każdy wezwie policję? Może powinien poprosić, by zabrano go z powrotem do Meadowmeade i znowu zaaplikowano mu leki?

Nie, nie wróci w dolinę. Nie upokorzy się, nie pozwoli, by rządziły nim własne dzieci i żeby go lżyli klawisze. Prędzej pozwoli, by jego żołądek sam zjadł się z głodu i żeby mróz ściał mu krew. Zmusił się do

wznowienia marszu. Prześladowcy na chwilę zniknęli, musiał więc zostawić ich jak najdalej w tyle. Niczym sfora ogarów zdeorientowana zgubieniem tropu, biegli teraz na pewno zdyszani przez przełęcz w stronę Merewater, ale byli na tyle szybcy, że jeśli nie znajdą nic po tamtej stronie, to wrócą, będą warczeć, ujadać, przeskakiwać przez murki i pędzić go dalej na wzgórza, a on niczym jeleni na drżących nogach i z resztkami tchu będzie brnął naprzód, z nadzieją, że zgubią trop, w końcu jednak utkwi w jakiejś sadzawce czy gęstwinie, pozbawiony już nawet resztek sił. Widział kiedyś coś podobnego w dolinie Loary. Psy dostały wnętrzności jelenia w nagrodę za to, że go nie rozszarpały, że zachowały dyscyplinę i pozostawiły głównemu łowczemu przyjemność strzelenia dzikiemu zwierzęciu prosto w serce.

Jak się okazało, żadne z nich nie było dotąd w Manchesterze, z wyjątkiem Wilsona, który, jak wyjaśnił Florence, przyjechał tam kiedyś z jej ojcem kupić stację telewizyjną.

– Co potem zrobiliście z tą stacją? – spytała Florence.

– Zamknęliśmy ją.

– Czy na tym polegał kuszący plan biznesowy, którym skłoniliście dotychczasowych właścicieli do sprzedania jej?

– Niezupełnie. – Wilson się uśmiechnął. Zastrzeżenia Florence związane z imperium jej ojca były tematem ich dyskusji od czasów, gdy była wojowniczą nastolatką i zaczęła żarliwie domagać się przestrzegania praw pracowniczych, zasad ochrony środowiska i wysokich standardów rzetelności dziennikarskiej.

Florence uśmiechnęła się w odpowiedzi. Wilson należał do rodziny, czy raczej – za co należała mu się dozgonna chwała – właśnie nie należał do rodziny, ale był kimś, kogo znała przez całe życie i uwielbiała za jego lojalność i dobry humor.

– Czuję się winna, że wynajmujemy prywatny odrzutowiec – powiedziała. – Dopiero co tłumaczyłam dzieciom, że to niemoralna praktyka, bo pozostawia znaczny ślad węglowy.

– No cóż – stwierdził Wilson – czasem musisz kupić stację telewizyjną, żeby zniszczyć konkurencję, a czasem musisz wynająć odrzutowiec, żeby dogonić konkurencję. Czyli w tym wypadku własne siostry.

– I jeszcze w ostatniej chwili trafił nam się dodatkowy pasażer – powiedziała Florence z oczyma szeroko otwartymi z zaskoczenia, nie chciała jednak mówić za dużo.

– Zgadza się – powiedział Wilson, również zachowując dyskrecję. – Myślę, że powinniśmy skorzystać z tych węglowych łóżek, które dla nas wynajęłaś, bo musimy dotrzeć do Manchesteru w miarę przytomni. Lot nie potrwa długo.

– W ubiegłym roku posadziłam siedemdziesiąt tysięcy drzew.

– No to teraz spuścimy im z powietrza trochę nawozu – powiedział Wilson, kładąc jej rękę na ramieniu. – Dobranoc, Flo. Do zobaczenia w północnej Anglii.

– Dobranoc – odpowiedziała Florence, zmęczonym gestem pożegnania kładąc dłoń na jego rękę.

Po chwili zamknęła się w wyciszonej prywatnej sypialni. Zrzuciła buty, zdjęła sukienkę i stanik, włożyła koszulkę, umyła zęby – wszystko w transie idealnej codziennej rutyny – i położyła się do łóżka. Przykryła się kołdrą, włożyła zatyczki do uszu, założyła opaskę na oczy, po chwili jednak zdjęła ją jeszcze, by zgasić światło.

Niespodziewanym pasażerem, o którym nie chciała głośno rozmawiać, żeby przypadkiem czegoś nie podsłuchał, był Mark. Oddzwonił do niej, gdy Wilson i Chris lecieli jeszcze z Vancouver, i oznajmił, że chce pomóc w znalezieniu swojego teścia. Florence nie była pewna, co sądzić o tej zmianie ledwie parę godzin po tym, jak Mark przedłożył własne bezpieczeństwo nad wszelkie inne troski, jednak intuicyjnie wyczuwała w nim kruchą szczerość. Wyczuwała, że nienawiść do Abigail, choć mocna, walczy w nim o lepsze z poczuciem winy. Gdyby Wilson zdecydowanie sprzeciwił się udziałowi Marka w poszukiwaniach, mogła jeszcze odwołać swoją zgodę, wstępnie stwierdziła więc, że najlepiej będzie, jeśli spotkają się we troje na lotnisku La Guardia.

– Przyjaciół puszczaj wolno, wrogów trzymaj przy sobie – rzekł Wilson tajemniczo, gdy powiedziała mu o Marku.

– Skąd to, z *Ojca chrzestnego* czy ze *Sztuki wojny*?

– Nie wiem – odparł Wilson. – Wymyśliłem przed chwilą.

– Wilson! Potrzebuję poważnej rady.

– No cóż, na dobrą sprawę nie mamy żadnego planu, więc Mark nie może nas zdradzić, wyjawiając twoim siostram, jaki mamy plan. A może to on nam powie coś użytecznego. Sumując wszystkie za i przeciw, sądzę, że powinien z nami jechać.

Gdy dowiedzieli się, że Dunbar jest uwięziony gdzieś w północno-zachodniej Anglii, praktykanci Wilsona wytypowali trzy prywatne kliniki, które należy sprawdzić, lecz gdy zaczęli te kliniki obdzwaniać, w żadnej recepcjonista nie mógł potwierdzić, czy jest u nich Dunbar, i nie sposób było określić, czy rzeczywiście go tam nie ma, czy nie wiedzą, że tam jest, czy może trzymają to w tajemnicy. Nim Wilson dotarł na La Guardia, jedna z praktykantek zasugerowała z dużą dozą pewności, że jeden z ośrodków można wykluczyć, bo inaczej nocny recepcjonista zasługiwałby na Oscara za udawanie zdziwienia. Rozmawiając z Wilsonem, usiłowała sparodiować jego brytyjski akcent i sposób

mówienia, ale tak beznadziejnie, jak to tylko może zrobić urodzona Amerykanka:

– Co takiego? Pan Hen-e-ry Danbaa? Przesławny Hen-e-ry Danbaa? Och nie, nie mamy go tu, słoneczko, bo na pewno bym o tym wiedział. Taki sekret byłby tutaay nie do utrzymania!

Florence i Wilson wzięli ten przejaw niedyskrecji za dobrą monetę i postanowili – nie mówiąc o tym Markowi – że rano rozdzielią się na dwa zespoły i osobno sprawdzą po jednym z pozostałych ośrodków.

– Ja pojedę z Chrisem – oznajmiła Florence. – Ty lepiej będziesz umiał się rozeznąć w motywach Marka. Zresztą – dodała w jednym ze swoich porywów szczerości, za które Wilson zawsze ją uwielbiał – chcę jechać z Chrisem.

– W porządku. – Wilson uznał, że to rozsądna sugestia, i przypomniał sobie, jak kiedyś z Dunbarem zastanawiali się, czy ich dzieci zamierzają się pobrać. – Może uda mi się jakoś wybadać, dlaczego twoje siostry tak ochoczo pozbyły się mnie z zarządu. Mark być może nawet nie wie, ile wie; może nieświadomie wyjawi jakiś szczegół, który podpowie mi, do czego one zmierzają.

Jeśli Florence miała teraz problem z zaśnięciem – a miała – to po trosze właśnie dlatego, że niebawem zostanie sam na sam z Chrisem, że razem pojedą przez słynącą z piękności Krainę Jezior i będą szukać miejsca o nazwie Meadowmeade. Żadne z nich nigdy dotąd nie było w Krainie Jezior i choć obecna podróż odbywała się w gorączkowym pośpiechu i złowróżbnych okolicznościach, Florence przypomniała sobie liczne wojaże, jakie odbyli razem w dawnych czasach, gdy mieli po dwadzieścia kilka lat i byli parą. Trochę niekomfortowo czuła się z tym, że właśnie z Chrisem wiążą się jej najtrwalsze wspomnienia erotyczne. Na samym początku pożądali siebie w sposób obsesyjny; ubierali się tylko po to, by za chwilę się rozebrać; na imprezach nie byli w stanie wytrzymać do końca, wymykali się po cichu, lądowali na tylnym siedzeniu samochodu, potem wracali rozczochrani i mokrzy od potu, a znajomi byli dla nich tylko nieistotnym tłem, jak muzyka w windzie. Gdy Florence miała dwadzieścia trzy lata, objechali razem Europę; kiedy zatrzymali się w San Giorgio i Flo spoglądała przez francuskie okno hotelowego pokoju na ceglane wieże miasteczka wyłaniające się zza cienkich białych firanek, które na przemian to wydymały się od powiewów bryzy wiejącej od laguny, to leniwie wracały na miejsce, myślała sobie, że nie sposób już

osiągnąć większej pełni. W marzeniach wciąż jeszcze wracała myślami do ich pieszej wędrówki po Nowym Meksyku, gdzie znaleźli jaskinię koloru jasnej ochry, o podłożu tak gładkim, pokrytym tak ciepłym i miękkim pyłem, że nie sposób było na nim znaleźć niewygodną pozycję, choć Bóg świadkiem, że się starali, klęcząc, wijąc się i tarzając w tym pyle. Jakżeż dawne to były chwile – a przecież zarazem bliższe niż wszystko inne na świecie, przynajmniej w tej chwili, gdy lecieli razem małym samolotem, oddzieleni cieniutką ścianką kabiny.

Nie wyobrażała sobie, by mogła zdradzić Bena, w każdym razie była od tego bardzo daleka. Czy cudzołóstwo z kimś, z kim było się wcześniej niż z mężem, byłoby czymś gorszym niż zwyczajna zdrada, czy przeciwnie, przywróceniem naturalnego porządku, który małżeństwo zakłóciło? Jakże mogła w ogóle się nad tym zastanawiać? Kochała Benjamina jako męża, jako kogoś, z kim miała dzieci. Z każdym innym mężczyzną zawsze starannie się pilnowała, by nie zajść w ciążę – tylko nie z Chrisem. Żyli we dwoje w jakiejś pośredniej strefie: zbyt młodzi i swawolni, by planować dziecko, a zarazem zbyt namiętni i nieostrożni, by nie spodziewać się wpadki. W pewnym sensie wpadką można było nazwać to, że im się to nie przydarzyło. Lecz nim Florence zdała sobie sprawę, że tego żałuje, rozstali się na dobre, zmęczeni awanturami, które zdarzały im się co kilka tygodni.

Głębia jej relacji z Chrisem miała w sobie coś niejasno kazirodczego. Ojciec Florence entuzjastycznie wypełniał obowiązki ojca chrzestnego, Chris towarzyszył jej więc przez całe dzieciństwo, spędzał z Dunbarami sporą część długich letnich wakacji w ich domu nad jeziorem. Choć Florence i Chris już jako dzieciaki próbowali niezdarnych pocałunków, równie dobrze mogła zawiązać się między nimi relacja braterska, mogło się też okazać, że zbyt dobrze się znają, by siebie nawzajem pożądać – stało się jednak tak, że w kluczowych latach swojej znajomości prawie się nie widywali, bo Wilson kierował wtedy europejską siedzibą koncernu i Chris chodził do angielskiej szkoły z internatem, a wakacje spędzał we Włoszech i Francji. Dunbar co prawda nadal widywał chrześniaka podczas częstych wyjazdów do Europy, Florence jednak przez pierwszą połowę wieku dojrzewania nie spotykała go wcale. Gdy ujrzała Chrisa ponownie w wieku siedemnastu lat, przeszył ją dziwny dreszcz, ogarnęła nieśmiałość w towarzystwie kogoś, o kim – jak sądziła – wie absolutnie wszystko; czuła się tak, jakby odkryła w swoim domu jeszcze jedno

skrzydło, którego dotychczas nie zauważała, i ogromnie zapagnęła się do niego wprowadzić. Żadne z nich nie wiedziało, co począć z tym nagromadzeniem sprzecznych odczuć. Gdy kilka lat później w Manaus ujrzeli „spotkanie wód”, gdzie żółta, błotnista Amazonka i bystra, chłodna Rio Negro płyną przez kilka mil równolegle, nie mieszając się ze sobą, przypomniała sobie tamto lato, kiedy do jej dawnej, prostej czułości wobec Chrisa dołączyło drapieżne uczucie pożądania i przez długi czas nie umiała tych emocji scalić w jedno. Dopiero w Boże Narodzenie pocałowali się ponownie i robili to potem w nieskończoność, a w następne wakacje po raz pierwszy się ze sobą kochali. Florence ze zdumieniem przyłapała się teraz na myśli, że wobec tak pierwotnej więzi to raczej jej małżeństwo można by uznać za akt cudzołóstwa.

Teraz jednak musiała się przespać. Florence nigdy nie brała leków nasennych, więc gdy wytrząsnęła z buteleczki i połknęła dawno przeterminowaną tabletkę xanaxu, ta podziałała na nią błyskawicznie.

Pukanie dopiero po dłuższej chwili wyciągnęło ją ze studni sztucznie wywołanego snu; gdy stewardesa uchyliła delikatnie drzwi i oznajmiła, że wkrótce będą lądować, Florence zdołała jej jednak podziękować i poprosić o podwójne macchiato oraz zwyczajowy dzbanuszek zielonej herbaty. Ubrała się po omacku, przełknęła kawę, zapięła pas i wkrótce znów drzemała w olbrzymim skórzanym fotelu.

Pogoda w Manchesterze była paskudna, ale gdy Florence szła parkingiem, osłaniana przez kierowcę parasolem, a potem wdrapywała się na wysoko umieszczony fotel range rovera, widok rozedrganych kałuż oraz rześki chłód zbłąkanych kropel deszczu na twarzy sprawiły jej nawet przyjemność. Gdy Chris usadowił się obok niej, mruknęła: – Oj, pospałabym jeszcze – i jak gdyby ostatnie piętnaście lat, gdy już nie byli razem, nagle uległo wymazaniu, położyła się i oparła mu głowę na kolanach. Chris bez protestu przyjął ten nieoczekiwany ciężar i delikatnie objął ją w talii, by w razie nagłego zatrzymania się samochodu nie spadła z kanapy.

Po przebudzeniu Flo przez dłuższą chwilę nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Gdy już ustaliła, że jej głowa spoczywa na kolanach Chrisa, próbowała wzbudzić w sobie wyrzut z tego powodu, ale na próżno – musiała przyznać, że była to pozycja wygodna i naturalna.

– Przepraszam, chyba zasnęłam – powiedziała, podnosząc się.

– Uznajmy, że poprosiłaś o pozwolenie – stwierdził Chris.

– Czyli nie zamierzasz pozwać mnie za to, że naruszyłam twoją przestrzeń osobistą i wzbudziłam w tobie psychiczną udrękę oraz podkopałam twój szacunek do samego siebie?

– Nie tym razem. Ale powinniśmy spisać umowę przy świadkach.

Florence ścisnęła go za rękę, ale nic nie powiedziała; czuła, że przekomarzenie się z Chrisem byłoby gestem zbyt prowokacyjnym i banalnym.

– Gdzie dokładnie jesteście? – spytała kierowcę.

– Według GPS – kierowca popatrzył na ekran – jesteście dokładnie dziewięć i sześć dziesiątych mili od celu.

– Niesamowicie blisko, zważywszy, że jeszcze trzydzieści sześć godzin temu byłam w Wyoming.

– Powiedziałbym, że mamy za sobą z grubsza dziewięćdziesiąt dziewięć i osiem dziesiątych procent podróży – stwierdził Chris.

– Pod warunkiem że on tam będzie.

Doktor Harris oznajmił, że nie jest w nastroju do żartów.

– Siostry z pewnością opowiedziały pani, co się wydarzyło.

– Nic mi nie opowiedziały – odparła Florence. – Nie komunikujemy się ze sobą.

– No cóż, przykro mi jednak stwierdzić, że aż nazbyt intensywnie komunikują się ze mną. Wczoraj były łaskawe obrazić mnie osobiście, a dziś przekazały to zadanie jakiejś wyjątkowo agresywnej kancelarii prawnej z Londynu.

– Braggs?

– Tak.

– Być może uda mi się ich powstrzymać.

– W każdym razie każdy kij ma dwa końce. – Doktor Harris nie dał się udobruchać. – To, że nie umiałem pokierować więzieniem o specjalnym nadzorze, czego zresztą nigdy nie miałem zamiaru robić, będzie wyglądało jak błahe niedopatrzenie w porównaniu z porwaniem jednego z moich pacjentów oraz, jak nam opowiedział, torturowaniem go w celu uzyskania informacji o Dunbarze. Gdy godzinę temu znaleźliśmy go w Plumdale, był w stanie skrajnego przerażenia. Musieliśmy podać mu środki uspokajające i umieścić w pokoju, gdzie obserwujemy pacjentów o skłonnościach samobójczych. Przekonamy się, która sprawa będzie gorzej wyglądała w sądzie.

– Torturowaniem? – spytała Florence. – Czy mogę z nim porozmawiać?

– Po co? Pani też chce go przypalać? Myślę, że do końca życia wystarczy mu kontaktów z pani rodziną.

– Nie jestem moją rodziną – odparła Florence.

– Ach tak? Zaręczam pani, że przez resztę popołudnia będę głowił się nad głębią tego spostrzeżenia – stwierdził doktor. – Tak czy owak, jeżeli kiedykolwiek zapragnie pani sama skorzystać z prywatnego sanatorium, proszę zgłosić się gdzie indziej.

– Hola, doktorze – odezwał się Chris.

– Wyjaśnijmy to sobie. – Doktor Harris podniósł się z fotela i nachylił nad biurkiem. – Nie pozwolę, by mnie nękały i obrażały pani siostry, czy to osobiście, czy to przez swoich przedstawicieli. Głęboko żałuję, że pani ojciec zaginął, ale jeszcze bardziej żałuję tego, że go w ogóle przyjąłem. Celebryci i tak zwykle stwarzają więcej problemów, niż są warci, ale obecność pani ojca, człowieka nie tylko sławnego, ale i potężnego, była zupełną katastrofą.

– Co zrobiliście, żeby go odnaleźć? – spytał Chris.

– Robimy wszystko, co w naszej mocy. – Doktor Harris wyprostował się i splótł ręce na piersi. – Zamierzaliśmy właśnie zaangażować policję i ratowników górskich, kiedy jego córki, dwie pozostałe córki – doprecyzował – postanowiły wziąć sprawy w swoje ręce. Nie będę odpowiadał za konsekwencje ich działań.

– Nie interesuje nas szukanie winnych, chcemy tylko zabrać Henry’ego Dunbara w bezpieczne miejsce – powiedział Chris. – Skoro zaryzykował pieszą wędrówkę przez góry przy burzowej pogodzie, to tylko dlatego, że Abigail i Megan są dla niego większym zagrożeniem niż pioruny, mróz i wychłodzenie. Znałem go przez całe życie i wiem, że musiałby się całkowicie pogubić, żeby utracić swoją wytrwałość i instynkt władzy. To dzięki tym cechom stał się wielki.

– Niestety zdarza się, że ludzie gubią się całkowicie. – W odpowiedzi na pojednawcze słowa Chrisa doktor również złagodził ton. – Widzimy to każdego dnia. Dunbar, choć często miewał urojenia i był wyjątkowo choleryczny, z pewnością nie osiągnął jeszcze takiego stanu. O jego zniknięciu wiemy tylko tyle, że po raz ostatni widziano go wczoraj po południu na parkingu nad brzegiem Merewater i że kierował się do miejsca o nazwie Nutting.

Doktor Harris podszedł do mapy topograficznej wiszącej na ścianie gabinetu i pokazał Florence marszrutę, jaką przypuszczalnie podjął Dunbar. Chris sięgnął po telefon i zaczął pisać wiadomość.

– O tej porze roku to dla każdego ciężka przeprawa, a już na pewno dla osiemdziesięcioczwolotka. Dobrze, że przynajmniej burza przycicha.

– Tak – powiedziała Florence – ale jak powiedział Chris, mój ojciec to najbardziej zdeterminowany, a może po prostu najbardziej uparty człowiek, z jakim kiedykolwiek mógł pan mieć do czynienia.

– No dobra. – Chris podniósł wzrok znad telefonu. – Za pół godziny zbiórka w Nutting. Ojciec powiadomi policję i ratowników, pomoże też odeprzeć pogróżki Braggsa.

– Myślałam, że sprawdza tamto drugie sanatorium, po przeciwnej stronie Manchesteru – powiedziała Florence.

– Skontaktowałem się z nim, gdy tylko stwierdziliśmy, że jesteśmy we właściwym miejscu. Już tu jedzie.

– To drugie sanatorium to Temple Grove? – Doktor Harris nie mógł powstrzymać ciekawości. – Okropne miejsce. Mam nadzieję, że nie zamierzacie tam nikogo wysłać.

– Nie zamierzamy mojego ojca nigdzie wysłać – powiedziała Florence. – Chcemy go zabrać do domu.

– Lepiej się pospieszmy – powiedział Chris, zegnając się z lekarzem.

– Proszę dać znać, jak miewa się ten drugi pacjent – powiedziała Florence. – Przeraziło mnie to, co pan powiedział. Chciałabym jakoś pomóc.

– Dam znać – potwierdził doktor. – Przepraszam, że wziąłem państwa wizytę za trzecią falę ataku.

– Trudno się dziwić po tym, co pan już przeszedł – powiedział Chris, uśmiechając się sztywno.

– Ależ byłeś skuteczny! – powiedziała Florence, gdy odjeżdżali z Meadowmeade. – Pamiętam jeszcze czasy, gdy byłeś taki...

– Kompletnie roztrzępany – dokończył Chris.

– No... tak – zaśmiała się.

– Myślę, że zdołaliśmy przekonać doktora, że Henry to uparty gość – powiedział Chris najwesелей, jak potrafił.

– Miejmy nadzieję, że wystarczy mu uporu.

Florence patrzyła w okno; nie chciała, by Chris widział, że płacze, a nie była pewna, jakie właściwie emocje wzięte razem skłoniły ją do płaczu.

Na ślepo sięgnęła po jego rękę i przyłożyła sobie do ust.

– Och, na pewno wystarczy. – Chris ścisnął jej palce i z kolei on pocałował jej dłoń.

Dunbar usiłował wyrzucić ze swoich myśli ostatni strzęp niespójnej narracji, która zawładnęła nim niczym halucynacja, lecz już zbyt długo był sam, dlatego, chcąc nie chcąc, dryfował wśród zwidów odzwierciedlających dokładnie to, czego nie chciał czuć i czego wolał sobie nie wyobrażać. Przed chwilą ujrzał w nich na przykład, jak stary cyrkowy tygrys ucieka z klatki w jakimś zimnym kraju i idzie ogłupiały przez tłum, który z wrzaskiem rozbiega się przed nim na wszystkie strony. Dunbar czuł mocarną siłę jego nieludzkiego stąpania, a potem, gdy tygrys przystanął na skraju rzadkiego spacerowego lasu, gdzie zaszedł w poszukiwaniu jedzenia, ujrzał, jak karabinowa kula trafia w jego czaszkę, powodując rozbryzg krwi i rozrzucając odłamki kości.

Czy można się jakoś wybudzić ze śnienia na jawie? Urojenia spowijały wszystkie jego myśli i wszystko, na co patrzył. Poszarpana warstwa brązowych i purpurowych chmur rozpostarta na tle żółciejącego nieba przypominała mu szylkretowy grzebień jego matki, na który kiedyś lubił patrzeć jednym okiem pod światło – całe pole widzenia zasnuwało się wtedy cętkowaną mieszaniną światła i ciemnych plam. Było to w czasach jego dzieciństwa, nim jeszcze zaczął zadawać matce trudne pytania i kwestionować jej łatwe odpowiedzi, nim stali się przeciwnikami. Teraz wszyscy byli jego przeciwnikami, bo nie był przy zdrowych zmysłach.

Obmyte deszczem wzgórze lśniły i ociekały wodą w popołudniowym słońcu. Co za nietakt z jego strony, że wtarabanił się swym zwalistym cielskiem w tę urokliwą, rozmytą scenerię, że cisnął je niczym worek cementu, rozdarty i stwardniały od deszczu, na nieskalany dotychczas stok wzgórza.

Z drugiej strony Dunbar czuł się tak lekki i tak głodny, czuł, że tak nadwerężona jest już więź łącząca go z resztą ludzkości, że z łatwością potrafił sobie wyobrazić, jak wypływa z niego życie – po cichutku, jak te jasne krople deszczu, które spadały z krzaków na trawę, a z trawy na ziemię.

Jak miał stanąć do walki przeciw swoim córkom, skoro one panowały nad całą jego organizacją, a on nie mógł opanować własnej dezorganizacji? Organizacja, dezorganizacja – wszystkie te ogłupiające

słowa traktowały go jak lalkę brzechomówcy, podobnie jak obrazy humanitarnie zabijanych tygrysów, migoczące na ciemnoszarym ekranie jego umysłu tylko dlatego, że jakiś łajdak, sadystyczny bóg nieboskłonu, właściciel wszystkich kanałów wszystkich umysłów wszystkich żywych istot, programował je właśnie na chybił trafił, bawiąc się pilotem.

Po co brnąć naprzód? Po co wlec cierpiące ciało do następnej doliny? Po co ciągnąć dalej udrękę życia? Bo przecież Dunbar tylko przedłużał tę mękę. Raz jeszcze dźwignął się z ziemi i wyprostował, po czym uniósł pięści i przyłożył sobie do piersi, prowokując tego dzieciozerczego boga nieboskłonu: niechaj rozpęta swoje najgorsze moce, niech zaleje go informacjami ze swych satelitów, niech wpuści audiowizualne piekło białego szumu i płonących ciał prosto w jego rozchwiany umysł, niech spróbuje rozłupać półkule jego mózgu, jeśli potrafi, niech spróbuje go zadusić pętlą słów, jeśli starczy mu odwagi.

– No dalej! – szepnął Dunbar chrapliwie. – No dalej, gnoju.

Następnym zdarzeniem było to, że zapomniał poprzednie zdarzenie. Bezwładnie opuścił ręce wzdłuż boków i bez reszty pochłonęło go obserwowanie zmieniających kolor kropli deszczu, które zbierały się na koniuszkach liści i spadały na ziemię. Zazdrościł im tej ulotnej migotliwości. Zapragnął, by i jego pochłonęła ziemia – a gdyby go nie przyjęła, chciał wyparować w niebo, stać się częścią wszystkiego, nie mając zarazem w niczym udziału: nie grając żadnej roli, nie mając celu, miejsca, planu ani sensu.

Nie mógł tego miejsca w żaden sposób ulepszyć, chyba że usunąłby z niego samego siebie. Wyobraził sobie, że zostaje wymazany, że jakiś nauczyciel ściera go z tablicy jak obsceniczny bazgroł, by na jego miejscu napisać wzór na idealnie pustą dolinę. Tak, tak, trzeba iść dalej. Choć jego kolana błagały, żeby usiadł, jego krzyż błagał, by się położył, a jego mięśnie błagały, by dał sobie spokój, Dunbar ruszył pokornie, powłócząc nogami, przez mokrą trawę, wyteżał wszystkie siły, by się oddalić, by uszanować zrozumiałą niechęć tej doliny do jego obecności. Był złym człowiekiem bezczeszczącym zaczarowaną przestrzeń i jedyne, co mógł zrobić, to uwolnić ją od siebie.

Gdy kierował globalnym imperium, całe jego okrucieństwo, mściwość, kłamstwa i napady furii były ucharakteryzowane na niezbędne działania naczelnego wodza, natomiast teraz, gdy był nagi i bezbronny, również stały przed nim nagie. Ich rzeczywisty charakter objawił mu się

wrzaskliwie. Dunbar czuł się tak, jakby był oprawcą, którego rozpoznają na ulicy dawni więźniowie: „To on! To on! To on mi wyrywał paznokcie, to on miażdżył mi rzepki w kolanach, to on mi zniszczył małżeństwo, to on mnie zmusił do odejścia z pracy, to on posłał mnie do więzienia...”. On zaś był zbyt słaby, by poderżnąć im gardła, i zbyt pokiereszowany, by uciec. Znajdował się w pozycji, do której nie nawykł: musiał stać i słuchać, co mają do powiedzenia. Nie mógł ich przepędzić ani zniszczyć, nie byli to jego pracownicy ani przeciwnicy, tylko jego własne wspomnienia, rozjaśnione dziwnym światłem ubóstwa i bezbronności. Nie dało się ich pozwać do sądu, nie można było nakazać redaktorom, by spuścili ze smyczy swoje gończe psy i zniszczyli im reputację; nie mógł nawet ośmieszyć ich niechcianą nominacją, bo to one go ośmieszały. Wszyscy ludzie, których w życiu skrzywdził – jak się okazało, był ich tłum – wykorzystywali teraz swoje rany jako broń przeciwko niemu. Dunbar starał się przyspieszyć krok, raz czy dwa razy potknął się, usiłując uciec przed swoją wrogą pamięcią, która ścigała go z samego środka jego własnej psychiki. Pewnie nie zdoła wymknąć się temu, co w nim eksplodowało, ale być może okaże się, że za szczytem wzniesienia jest przepaść – jeśli istnieje jakaś sprawiedliwość lub miłosierdzie na świecie, na pewno się tak okaże! Wtedy rzuci się w nią głową w dół i roztrzaska się na jakichś skałach, a z rozbitej głowy wypłynie mu mózg – wreszcie uwolni się od niego, przeprowadzi na sobie tę niezbędną operację, wyrzuci utrapienie z głowy, bez żalu pogodzi się z tym, że jedyny sposób, by ocalić życie, to je zakończyć.

Wszystkie rzeczy, jakich kiedykolwiek się wstydził, wydestylowały się w eliksir jego własnego okrucieństwa. Oko za oko – takie było prawo. Trzymały go za głowę i ścisnęły ją jak w imadle, a potem zamierzały wyciąć mu powieki. Nie, nie, tylko nie to! Im wyżej się wspinał, tym bardziej mącił mu się wzrok, aż zaczął się bać, że oślepi go jad jego nagromadzonych zbrodni. Ścisnął sobie głowę potężnymi rękoma, by zademonstrować sobie, jak mocno jest uwięziona, ale i w nadziei, że znajdzie siłę, by rozewrzeć ten chwyt, nie dopuścić do tego, by żrący płyn kropla po kropli zalewał mu jego bezcenne, bezbronne oczy. Nie, nie, tylko nie to! Serce pękało mu z udreki. Dunbar na czworakach dobrnął na grzbiet wzniesienia i osunął się bez siły na ziemię.

Na chwilę jego przerażenie ustąpiło jeszcze głębszej rozpacz. Stok po drugiej stronie nie był bardziej stromy niż ten, na który właśnie się

wspiał; owszem, dałoby się na nim skrócić kostkę czy złamać nogę, ale na pewno nie nadawał się do celu, który miał na myśli. Skoro nie mógł się pocieszyć urwiskiem, nie pozostawało mu nic innego, jak pogodzić się z cierpieniem; nie miał nawet takiej mocy, by zorganizować sobie szybką i pewną śmierć. Musiał brnąć dalej jak było przez labiryntowe korytarze rzeźni, znosząc głód i zimno, ryzykując, że się przeziebi, że oszaleje, lub co najgorsze, że zostanie uratowany i będzie zmuszony wziąć udział w triumfalnej paradzie swoich córek, niczym pokonany król w kajdanach, obrzucany błotem i zgniłym jedzeniem przez szydzącą ludność.

To prawda, że kiedyś usunął Megan i Abigail z najważniejszych stanowisk w Dunbar Trust, ale przecież tylko dlatego, by potem je na nie przywrócić. Zrobił to wyłącznie dla ich dobra, by je zahartować i pokazać im, że jeśli sobie nie poradzą z przymilnością i bezwzględnością głównych dyrektorów, w jego firmie nie będzie miejsca dla nepotyzmu – przynajmniej do czasu, gdy będzie musiał komuś przekazać swoje dziedzictwo, bo wtedy oczywiście przeważą względy dynastyczne. Zdał sobie sprawę, że jeśli córki opacznie zrozumiały jego motyw, być może teraz zechcą się zemścić. A może miały żal, że gdy były jeszcze małe, pozbawił je matki, może nie rozumiały, że właśnie starał się je ochronić przed tą kompletną wariatką. Teraz współodczuwał ich ból; miał świadomość, że jeśli jego córki były potworami, to on z nich te potwory zrobił. Starał im się to wynagrodzić, oddał im wszystko, dosłownie wszystko, ale gdy już to dostały, potraktowały go tak, jak on je kiedyś potraktował. A przecież to i tak nic w porównaniu z tym, jak potraktował Florence. Jeżeli miał jeszcze jakikolwiek powód, by zostać przy życiu, to tylko taki, by móc kiedyś uklęknąć przed nią i błagać o przebaczenie. Lecz jeżeli istniał bardziej naglący powód niż inne, by rzucić się z urwiska, które tak bardzo pragnął ujrzeć za grzbietem wzniesienia, to taki, że tylko tak mógł wyrazić smutek i żal, że tak źle ją potraktował – osobę, którą kochał najbardziej na świecie, córkę Catherine, jedyne jego dziecko, które odmówiło udziału w spisku przeciw niemu, mimo że miało po temu największy powód.

Dunbar podniósł ręce, by ochronić oczy, okazało się jednak, że wcale nie są wypalone płynnym ogniem, tylko wypełnione najzwyklejszymi łzami. Był zaskoczony, trochę oburzony, ale i zbyt podejrzliwy, żeby dać się nabrać. Ogień został wygaszony tymczasowo, jedynie po to, by przedłużyć jego tortury, tak jak odcina się wisielca, by zabić go

w bardziej metodyczny sposób. Dunbar wiedział, jak działa świat: strażak był podpalaczem, skrytobójca przychodził w przebraniu lekarza, diabeł jako biskup łowił dusze dla swojego pana, a nauczyciel, któremu powierzono opiekę nad dziećmi, filmował je potajemnie pod prysznicem, a potem wrzucał nagrania w odmęty internetu. Dunbar znał takie historie, czytał o nich co dzień przy śniadaniu. Niczym lalkarz, który pociąga za sznurki swoich marionetek, ale musi też naśladować ich głosy, Dunbar po trosze, co prawda ze wzdrganiem, utożsamiał się z wzorcowym czytelnikiem swoich gazet: człowiekiem, który nienawidzi prostaków, pasożytów żyjących z zasiłku, zbrojców i ćpunów, ale tak samo nienawidzi bogaczy, celebrytów, nadzianych cwaniaków uchylających się od płacenia podatków, nienawidzi właściwie wszystkich prócz takich jak on – ludzi nienawidzących wszystkiego, co wzbudza w nich strach lub zazdrość. Dunbar kładł takim ludziom opłatek na wyciągniętych językach, przemieniał ich destruktcyjne, bierne uczucia strachu i zazdrości w dynamiczne, prostolinijne uczucie nienawiści. Jako arcykapłan tej podłej praktyki musiał przyznać, że w zdumiewających okolicznościach, w jakich teraz się znalazł, widok spod ołtarza nie różnił się zbyt od ślepoty.

Jeżeli nie pozwolono mu się zwyczajnie zabić, to dlatego, że nie zasłużył na to, by po prostu sobie odejść; jeżeli na razie oszczędzono jego oczy, to dlatego, by jeszcze przeraźliwsze, jeszcze intymniejsze urojenia mogły zostać mu pod powiekami i nawiedzać potem, kiedy już oślepnie. Rozglądał się w poszukiwaniu miejsca, które pozwoli mu uniknąć tego losu. Wydało mu się, że w oddali spostrzegł osypisko, a nad nim małą skarpe. W swoim obecnym stanie potrzebowałby helikoptera, żeby się tam znaleźć, ale ostatnią rzeczą, o jakiej teraz marzył, byłby przyjazny i zaufany pilot, który zachęca go, by podziwiał widoki i nie zbliżał się do krawędzi.

Dunbar dźwignął się na kolana i podniósł z wysiłkiem, by szerzej ogarnąć wzrokiem okolicę. Ani w dolinie, którą zostawił już za sobą, ani w tej, która rozciągała się przed nim, nie było żadnych budynków i innych śladów ludzkiej działalności: bram, przejazdów, murków. Nawet owce rasy Herdwick, których widok towarzyszył mu dotąd przez większą część wędrówki, najwyraźniej uznały te nagie wzgórza i ośnieżone wierzchołki za zbyt zapadłe miejsca i nie zapuszczały się tu. Angielskie określenie „znaleźć się pośrodku niczego” objawiło się nagle Dunbarowi

z całą pierwotną siłą, jaką miało, nim stało się wyświechtanym frazesem. Owszem, właśnie znalazł się pośrodku niczego – było to najtrafniejsze podsumowanie jego sytuacji. Do tej pory zawsze mieszkał i pracował w mniej lub bardziej centralnych lokalizacjach i teraz odkrył, że właściwie nic się nie zmieniło, że znów udało mu się to osiągnąć – nawet jeśli centrum, w jakim się znalazł, było tylko środkiem niczego, nawet jeśli satysfakcja, że znów udało mu się znaleźć taki adres, nie do końca rekompensowała brak jakiegokolwiek schronienia, ochrony przed lodowatym powietrzem wsączającym się przez szczeliny jego ubrań, jedzenia czy ognia. Dunbar zaczął się trząść. Poczuł, że ogarnia go kompletne odrętwienie, i przeraził się tego uczucia, bo miało się już ku wieczorowi.

– Pomocy!

Dunbar wiedział, że jest sam, nie potrafił więc sobie wytłumaczyć, kto to woła.

– Co?! – odkrzyknął.

– Pomocy!

Przyszło mu do głowy, że może to pilot helikoptera, ostatnia osoba, jaka pojawiła się w jego myślach, nie dostrzegł jednak żadnych oznak jego istnienia: jeżeli to pilot helikoptera, gdzie jego helikopter? Nie, to nie ma sensu.

Dezorientacja zmieniła się w przestraw, gdy Dunbar ujrzał nagle, że obiekt, który dotąd brał za niewielki wzgórek, nagle rozłązi się i przybiera kształt ludzki. Człowiek w brudnym brązowym palcie, z brodą utytłaną w ziemi, podniósł się do pozycji siedzącej, wytarł sobie trochę twarz, a potem ponowił prośbę.

– Pomocy! Pomóż mi zdjąć te buty. Wykończę się w nich.

– Zupełnie jak moje córki – odparł Dunbar, zdumiony tym pokrewieństwem okoliczności. Gorliwie ukląkł przy pojękującym nieznanym i zaczął mu rozwiązywać ubłocone buciory.

– Prawie nie czuję nóg. A kiedy czuję, to wolałbym nie czuć. Odcisk na odcisku.

– Ja mam odciski na oczach – powiedział Dunbar.

– Widzisz cokolwiek?

– Niewiele.

– „Jeśli ślepy ślepego prowadzi, obaj w dół wpadną”. Ewangelia według świętego Mateusza.

– Hm, w sumie racja – stwierdził Dunbar. – Lepiej już mieć psa przewodnika.

– Byłem pastorem. Wielebny Simon Field, do usług. Byłem pastorem, ale się pogubiłem: wpadłem w dół, o którym mówi Mateusz.

– Wyglądasz bardziej na włóczęgę niż pastora – wypalił Dunbar.

– Jestem pustelnikiem.

– No tak, właśnie tak nazywa się pastor, który stał się włóczęgą. Ja za to jestem żebrakiem. Tak się nazywa miliarder, który stał się włóczęgą.

– Zniszczył mnie hazard – powiedział Simon. – Sprzedałem ołowiany dach z mojego kościoła, żeby spłacić długi.

– O Jezusie – powiedział Dunbar. – Twoje stopy są całe we krwi.

– Po dachu poszły miedziane rynny. Obstawiłem wynik wyborów do parlamentu. Myślałem, że zwycięży współczucie, ale niestety, żyjemy w erze rozbuchanych aspiracji, amfetaminy dla mas. Gdy moi wierzyciele wynieśli z kościoła wielkie stare kaloryfery, musiałem ogłosić w parafii, że nastąpiło włamanie.

Dunbar wetknął resztki skarpet Simona w cholewki jego butów, zaczerpnął dłonią chłodnej, świeżej deszczówki z kałuży i zaczął obmywać jego obolałe stopy.

– Popełniłem błąd: powiedziałem o wszystkim przewodniczącemu komitetu naprawy kościelnego dachu. Myślałem, że się kochamy, a on sprzedał tę historię prasie.

– *Pastor gej przywiązał sobie ołów do szyi* – powiedział Dunbar, wycierając swoim szalikiem stopy Simona.

– Pamiętasz te artykuły?! – zawołał Simon. – *Pastor gej traci habit, Pastor gej zmiękł jak ołów, który sprzedał na spłatę długów...* i tak dalej, i tak dalej.

– Wiem, wiem. Nie powinniśmy byli tak na ciebie szczuć. Cieszę się, że wieść o twoim samobójstwie okazała się plotką. Mój redaktor napisał wtedy do mnie: „Wygląda na to, że ten spedalony klecha skończył ze sobą. Krzyżyk na drogę”. Mówiłem mu, że posuwa się za daleko, że to w złym guście. Nie opublikowaliśmy tego, rzecz jasna.

– Mam już to wszystko gdzieś – stwierdził Simon. – Niedaleko stąd jest jaskinia, spędzimy tam noc. Schronimy się przed zimnem. Pokażę ci drogę, jeżeli chcesz.

– Dziękuję – powiedział Dunbar, pomagając mu włożyć z powrotem buty. – To bardzo miło z twojej strony, zważywszy, jak...

– Nieważne. Chodź, musimy dotrzeć do tej jaskini. Przestało padać, może uda nam się rozpalić ogień.

Dunbar podał Simonowi rękę i pomógł mu wstać. Odprowadzały ich promienie jaskrawo zachodzącego słońca, niczym słowa pożegnania nabazgrane szminką na lustrze. Wkrótce jednak kolory na niebie zbladły, pozostawiając w powietrzu jedynie szklistą, szarą przejrzystość. Simon utykał, każdy krok stawiał tak, jakby za chwilę miał upaść na jedno kolano, lecz za każdym razem w ostatniej chwili udawało mu się podnieść. Dunbar, który zerkał z podziwem na swojego nowego towarzysza, zaczął naśladować jego chód i przy każdym takim niedokończonym przykłęk, skąpany w upiornym świetle odbijającym się od śniegu na dalekich wierzchołkach, wyobrażał sobie, że klęka błagalnie przed każdym z ludzi, jakich w życiu skrzywdził.

O trzeciej nad ranem doktor Bob, mimo zażycia dwóch tabletek klonopinu, leżał w łóżku i gapił się w sufit, jak gdyby doznał porażenia prądem. Z obrzydzeniem słuchał pohukiwania sowy na pobliskim drzewie. W jego uchu mieszczucha i kinomana brzmiało ono jak element ścieżki dźwiękowej, której filmowy montażysta, z głupoty, by nie powiedzieć: ze złośliwości, nie wyciął ze wstrząsającej sceny, w której główny bohater leży w łóżku i z zupełnie uzasadnionych powodów się zamartwia. Miał za sobą męczący dzień; najpierw torturowanie Petera Walkera (lekkomyślna ekstrawagancja), potem bezowocne uganianie się po Nutting i wszelkich innych miejscach, do których Dunbar mógł być dotrzeć od chwili ucieczki. Całe popołudnie spędził w range roverze na błotnistych podwórkach, patrząc przez smagane deszczem szyby, jak Kevin wypytuje miejscowych, a ci wysłuchują go wprawdzie z zainteresowaniem i troską, ale kręcą bezradnie głowami. Ich niebieskie kombinezony, grube swetry i przemoczone zwierzęta gospodarskie tworzyły rozmyte tło, na którym odcinał się wyraźny napis BRAK SIECI na ekranie jego telefonu. Odnalezienie Dunbara miało drugorzędne znaczenie dla jego celów – liczyło się tylko to, czy otrzyma przelew od Cogniccentiego.

Gdy po powrocie do King's Head mógł wreszcie skorzystać z internetu, okazało się, że stan jego konta od zeszłego tygodnia się nie zmienił, kiedy to wpłynęło na nie sześć i pół miliona dolarów od Dunbar Trust. Bank w Genewie był już zamknięty, ale osobisty menedżer jego konta, uprzedzony już wcześniej, że ma nastąpić wpłata dwudziestu pięciu milionów dolarów, zapewnił go w e-mailu, że spróbuje się dowiedzieć, co dzieje się z pieniędzmi, jeżeli tylko doktor Bob będzie tak uprzejmy i poinformuje go, od kogo jest ten przelew oczekiwany. Bob uznał, że wobec standardów, jakimi rzekomo kierowały się szwajcarskie banki, pytanie o źródło wpłaty ma w sobie coś wysoce nieetycznego, odpisał więc szorstko, że poprosi tylko o wiadomość, kiedy pieniądze dotrą, i że zbada sprawę „od swojej strony”. Nie zdążyłby już jednak dodzwonić się do Cogniccentiego przed kolacją, a wolał nie zostawiać śladów w postaci kompromitujących e-maili – choć miał ochotę wysłać mu wiadomość,

w której znajdowałyby się jedynie znaczek dolara i dwadzieścia pięć wykrzykników.

Późnym popołudniem niebo się przejaśniło, prognozy pogody na wtorek były dobre, przed kolacją Abigail skontaktowała się więc z Jimem Sage'em i kazała mu przylecieć rano helikopterem na boisko w Plumdale – jedyne płaskie miejsce, jakie widziała w okolicy – i zabrać Kevina z J. na poszukiwania. Doktor Bob oraz Abby i Meg mieli poczekać, aż tamci znajdą Dunbara, i dojechać na miejsce samochodem. W hotelu i tak mieli pełne ręce roboty: należało omówić kwestie związane ze zbliżającym się posiedzeniem zarządu i zabezpieczyć linie kredytowe z myślą o przejęciu udziałów. Trzeba się też było mocno nagimnastykować, by ukryć pomyślne informacje nadchodzące z Chin. Gdyby rynek choć trochę je zwęszył, ceny akcji Dunbara wystrzeliłyby w górę jak rakiety, nim siostry zdołałyby je odkupić, Abby i Meg mogłyby nawet zostać przelicytowane przez przeciwników mających pełen obraz sytuacji. Spiskowanie na rzecz Cogniccentiego sprawiało Bobowi przyjemność, tłumił ją jednak przedłużający się brak dwudziestopięciomilionowego honorarium za zdradę.

Bob musiał poczekać do późna, gdy Abby i Meg już zasną, nim zadzwoni do Cogniccentiego. Abby na szczęście była zbyt zmęczona, by wezwać go do łóżka, Meg natomiast nie ukrywała, że myśli już tylko o umięśnionych ramionach Jezusa – i sądząc po łomotaniu wezgłowia jej łóżka o ścianę pokoju, a także dość ostentacyjnych okrzykach rozkoszy, nie miała jeszcze dość. Bob odetchnął z ulgą, że zrezygnowała z jego usług seksualnych, w naturalny sposób pogardzał też hałaśliwym, tępym osobnikiem, który go zastąpił, zarazem jednak z niejakim zdziwieniem stwierdził, że jest trochę zazdrosny. Obie siostry należały do niego. Obu serdecznie nie znosił, obie za chwilę miał wystawić do wiatru, ale przecież nie było powodu, by nagle przestały go pożądać lub od niego zależeć. Zdradzenie kogoś, kto sam już zdradził, nie daje satysfakcji. Niczym ogłupiały pies pasterski z filmu *Z dala od zgiełku* Bob zamierzał zagnać swoje małe stadko nad krawędź urwiska, lecz jakkolwiek perfidnie miał zamiary, wciąż jeszcze był dumny ze swych podstawowych umiejętności i nie podobało mu się, że jedna z jego ofiar samowolnie się od niego oddala.

Jak to się stało, że porównał siebie do pasterskiego psa? Może przez te owczarki, które widywał dzisiaj na pastwiskach. Być może klonopin

rozluźnił jego proces myślowy i zmienił go w senny, skojarzeniowy dryf – ale to wyjaśnienie, zamiast go uspokoić, wzbudziło w nim kolejną falę niepokoju. Jak mógł być tak naiwny? Przecież Cogniccenti już nic od niego nie potrzebował: wiedział, kiedy ma dojść do ugody, i uprzedził ją. Bob podał mu wszystkie cenne informacje jak na tacy: z jakich banków korzystają siostry, którzy członkowie zarządu najbardziej boją się ryzyka, w jakiej wysokości i na jakich warunkach Eagle Rock zaciągnie dług, by przejąć udziały. Z niespotykaną dotąd niefrasobliwością dał Cogniccentiemu wszystko, a co najgorsze, jego wróg – bo tak już Bob zaczął o nim myśleć – wiedział, że Bob nie pójdzie z tym do sióstr. No bo co by im powiedział? „Zamierzałem was zdradzić, ale wygląda na to, że koleś, dla którego chciałem to zrobić, teraz zamierza zdradzić mnie, więc ja też chcę go zdradzić?”. Nie był to najlepszy sposób na zdobycie zaufania.

Ta pieprzona sowa znowu pohukuje! Owce i psiska spadły z urwiska, spadły przez sen. Sowa i pies były gorsze niż bies, a może pies i sowa były większe niż krowa. Wszyscy oni pospadali z urwiska, wszyscy byli owcami, co przez sen spadają z urwiska, a sen to stroma szara ściana bez miejsca podparcia.

Gdy Dunbar się zbudził, było jeszcze ciemno, ale w świetle księżycy widział, jak jego oddech w zimnym powietrzu zmienia się w obłoczek pary. Uzmysłował sobie, że podobnie jak Simon nie czuje już stóp. Najwyraźniej tak działo się z ludźmi, którzy mieszkali na tym odludziu. Jama pod nawisem skały wbrew zapowiedziom Simona nie była prawdziwą jaskinią, ale dawała jako takie schronienie; podłoże było nachylone i dzięki temu suchsze niż grunt dookoła. Był sobie kiedyś człowiek, który nazywał się Henry Dunbar, znający zalety i wady wielu najwspanialszych nieruchomości na świecie, ale teraz już trudno go było poznać, był niby znajomy, ale jakby zatarty, niczym deseń na zasłonce zbielełej od słońca; to ten inny człowiek był prawdziwym Henrym Dunbarem, ten zamarzający na śmierć pod skalnym nawisem, coraz bardziej odrętwiały, począwszy od rąk i stóp aż po serce – serce, które jeszcze nigdy nie biło ani nie czuło tak mocno jak teraz, a mimo to wkrótce miało zatrzymać się na tym mroźnym górskim stoku.

– Simon! – zawołał. – Simon!

Nie było odpowiedzi. Dunbar dźwignął się do pozycji siedzącej. Był tak zmarznięty, że już nawet się nie trząsał. Wygrzebał latarkę z wewnętrznej kieszeni palta i zdołał poświecić sobie po wnętrzu pieczary. Był sam. Dokąd ten Simon polazł? Był człowiekiem religijnym, nie mógł tak po prostu go opuścić. Na pewno poszedł poszukać pomocy lub może po jakieś jedzenie, które ma schowane w pobliżu. Lepiej jednak, żeby szybko wrócił – inaczej Dunbar umrze samotnie w tej przeraźliwej ciemności, opuszczony przez wszystkich, nie uzyskawszy przebaczenia.

Florence zbudziła się z łomoczącym sercem. Jej ojciec był w poważnych opałach; czuła, jak życie wycieka z niego na spragnioną ziemię. Śniło jej się, że siedział pod skałą i zamarzał na śmierć. Zaczęła się ubierać, choć jeszcze przez dobre półtorej godziny miało być ciemno. Poszukiwania planowano zacząć o świcie: policja i ratownicy górscy mieli polecieć helikopterem, ona za nimi swoim.

Mark nie winił Florence, że mu nie ufa, choć było mu trochę przykro, że nie stara się tego ukryć. Nie był w stanie nikogo przekonać, że naprawdę działa przeciw swojej żonie, a nie szpieguje na jej rzecz – kiedy nie można dostarczyć żadnych ważnych informacji i żadne posunięcie nie wiąże się z nieodwracalnym ryzykiem, człowiek uczciwy i oszust niczym się nie różnią: i jeden, i drugi może najwyżej żarliwie zapewniać o swojej szczerości. Mark bardzo chciał wykazać się jakimś poświęceniem lub podsunąć jakąś cenną informację, ale niestety, wskutek zimnej wojny, jaka panowała między nim i Abby, od dawna już był wykluczony z jej projektów i planów. Widywali się tylko w przelocie, wymieniali jedynie zdawkowe słowa na tylnej kanapie limuzyny, gdy jechali na jakiś dobroczynny obiad czy galę wręczenia jakichś nagród, a po powrocie równie zdawkowo wymieniali się wrażeniami. Umożliwiały im to rozmiary ich trzypoziomowego mieszkania: pokoje Marka znajdowały się na najniższym piętrze razem z kuchnią, basenem, siłownią, pokojami gościnnymi i salą z projektorem filmowym, Abby zajmowała penthouse. Oddzielały ich olbrzymie rekreacyjne przestrzenie, które Mark rzadko widywał od środka. Gdy ich ścieżki przecinały się podczas świąt Bożego Narodzenia czy Wielkanocy lub gdy spędzali wakacyjny tydzień w Home Lake, okazywali sobie takie samo wystudiowane znudzenie, jak

reprezentanci wrogich krajów słuchający nawzajem swoich przemówień na Zgromadzeniu Ogólnym ONZ.

To oddalenie sprawiało, że nie palili się zbyt do separacji. Mark pochodził z rodziny, której pieniądze były tak stare, że do chwili, gdy poznał Abby, zdążyły w większości obrócić się w pył. Jej odpowiadał jego rodowód, jemu odpowiadała jej olbrzymia fortuna. Jeden z przodków Marka, pierwszy Mark Rush w rodzie, był w grupie purytańskich dysydentów, którzy przepłynęli Atlantyk na statku „Mayflower”. Skąd ten człowiek mógł wiedzieć, gdy przechadzał się chwiejnie od burty do burty po skrzypiącym pokładzie, w ponurym czarnym stroju, mamrocząc pod nosem modlitwy i łypiąc spod oka na swoją rodzinę, że płynie statkiem, który stanie się najbardziej legendarny w całych dziejach świata, tak znany, że barka Kleopatry, która kołysała się na wodach Nilu w wonnym powietrzu, będzie przy nim nieistotnym egzotycznym drobiazgiem? Jego prawnuk próbował sił w uprawie ziemi na Manhattanie. Szło mu to raczej średnio, póki jego z kolei wnuk nie porzucił tradycyjnych upraw, przynoszących dość mierny zysk, i nie zmienił swoich sadów i pól w ulice i place. Rodzinna fortuna sięgnęła szczytu w wieku dziewiętnastym i okazała się na tyle duża, że nie roztrwoniło jej do końca kilka pokoleń eleganckich lekkoduchów, a potem, gdy elegancja ustąpiła mniej subtelnym uczuciom, kilka kosztownych rozwodów.

Gdy dwudziestotrzyletnia Abby Dunbar poznała ostatniego Marka Rusha, ten był słabym, ale zdecydowanie przystojnym kawalerem o rozległych znajomościach i oficjalnie solidnym wykształceniu, posiadaczem podmiejskiej rodzinnej rezydencji nad Hudsonem, której nie był jeszcze zmuszony sprzedać. Wszystko to razem idealnie jej odpowiadało, szybko więc uznała, że woli zostać panią Rush niż jakąś francuską czy włoską księżniczką albo angielską dziedziczką i potem kłopotać się na przykład wymianą trzech akrów dachu na rodzinnym zamku.

Ich małżeństwo, mimo ekscytujących początków, szybko straciło wigor, gdy zaś się okazało, że Abby nie może mieć dzieci, ostatecznie zgasło. Później, choć z natury oboje nie byli pobłażliwi, pozwolili sobie nawzajem robić, co im się żywnie podoba. Obojętność i okazja przyczyniły się do tego, co w innych okolicznościach sprawiłaby wzajemna tolerancja. Mark często latał do Karoliny Południowej, by w gronie starych kumpli polować na przepiórki, i zabierał tam ze sobą

Mindy, swoją długoletnią kochankę, której rodzinna fortuna ulotniła się jeszcze dotkliwiej niż jego i ustąpiła miejsca najzwyczajszemu ubóstwu. Jej obecność przypominała mu o dawnych, nieskomplikowanych czasach, gdy przyjaciele rodziców przywozili swoje dzieci i Mark bawił się z nimi w ogrodzie lub w dzieciennym pokoju; Mindy wydawała mu się najbardziej naturalną towarzyszką na świecie.

Mark był gotów utrzymywać ten błogi stan rzeczy w nieskończoność, niestety Abby zdołała zakłócić jego spokój, porywając ojca i zamykając go w sanatorium. To nie było w porządku. Gdy dziadek Marka, tyran i furiat, przebrał miarę w swoich wybrykach i zaczął tracić pamięć, rodzina po prostu trzymała go dyskretnie w domu – tak się postępowo w podobnych przypadkach. Dzięki temu powstawał cudowny zbiór rodzinnych anegdot: o tym, jak dziadek zasnął za kierownicą, wjechał sąsiadowi na pole i przejechał jego wyścigowego konia medalistę, o tym, jak wspiął się na dach, ubrany w wyszywany jedwabny szlafrok ekskluzywnej londyńskiej marki Turnbull & Asser, by ze starym dozorcą Haroldem czyścić rynny, o tym, jak strzelił do listonosza, bo wziął go za japońskiego żołnierza – były to bezcenne historyjki, które aż nadto wynagradzały wszelkie stresy i napięcia związane z opieką nad starym ojcem czy dziadkiem.

Kiedy coś jest nie w porządku, po prostu nie jest w porządku. Taki właśnie impuls, po części wynikający z poczucia moralności, po części z wychowania, wyzwolony wybuchem tłumionej od dawna nienawiści do żony, kazał Markowi interweniować i podjąć próbę ratowania teścia, starego patriarchy, któremu bądź co bądź wszyscy oni zawdzięczali wygodne życie. Siedząc teraz w hotelowym pokoju i sięgając po telefon, by zamówić śniadanie, Mark żałował, że nie może się na więcej przydać. Miał ochotę podzielić się tymi troskami z Mindy, która często miała świetne pomysły i służyła praktyczną radą. Było jednak jeszcze za wcześnie, by do niej dzwonić, na razie nie pozostawało więc nic innego, jak kazać sobie podać do pokoju jajka w koszulce i wędzone śledzie. Mark nie jadł takich śledzi od wieków.

Słoneczne promienie wkradły się do pieczary, w której leżało niemal zamrożone ciało Dunbara, zwinięte w kłębek i zawinięte w olbrzymie palto. Słabiutkie ciepło, którym rozjarzyły się odsłonięte części jego

twarzy, i różowy poblask widoczny pod powiekami uprzytomniły mu, że ciągle żyje.

Nie potrafił sobie przypomnieć, co działo się w jego umyśle przez ostatnie kilka godzin, był jednak przekonany, że to nie sen, tylko niedająca spoczynku pustka.

Niepewnie uniósł powieki; trzepotały przez chwilę, nim zdołał je przymrużyć i skupić wzrok na wylocie pieczary. Zdawało mu się, że ktoś tam klęczy.

– Simon?

– Tak.

– Gdzieś ty był? – szepnął Dunbar natarczywie, z wyrzutem. – W nocy omal się tu nie wykończyłem. Wątpię, bym miał jeszcze siłę wstać.

– Chodź – powiedział Simon. – Zabierajmy się stąd. Przyszedłem zabrać cię w lepsze miejsce. To było tylko schronienie na jedną noc. Niedaleko stąd jest gospodarstwo, gdzie dadzą nam jeść. Kazali mi cię przyprowadzić. To niecała mila stąd.

– Nie mogę się ruszyć. Prawdę mówiąc, żałuję, że w nocy nie kopnąłem w kalendarz.

– Kopniesz następnym razem. Teraz powinieneś zjeść śniadanie. „Wszystko ma swój czas i jest wyznaczona godzina na wszystkie sprawy pod niebem. Jest czas rodzenia i czas umierania, czas sadzenia i czas wyrwania tego, co zasadzono”. Księga Koheleta.

– Tak, tak – powiedział Dunbar niecierpliwie. – Czytają to zawsze na pogrzebach. Podałbyś mi rękę?

Simon pomógł mu się dźwignąć z ziemi. Dunbar chwiał się przez chwilę, próbował odzyskać równowagę.

– Ledwie stoję – zaprotestował. – Ajaj, moje stopy! Całe mnie szczypią, jak gdybym miał skorpiony w butach. Niech je ciężki szlag trafi!

– To dobry znak: wraca ci krążenie, nie stracisz żadnego palca. Chodźmy! – Simon pomału zaczął iść. – Tędy. Farma jest niedaleko, na dnie doliny.

– Czekają tam na nas?

– Oczywiście, wszystko już przygotowują.

Dunbar oparł rękę na ramieniu Simona i pokuśtykał przed siebie. Stawianie kroków wymagało maksymalnej koncentracji, tak wielkiej, że nie był w stanie równocześnie mówić. Simon taktownie dostosował się do stanu jego umysłu i obaj szli w milczeniu.

To w pizdę jebany skurwiel, ten J., myślał Kevin. Matoł, totalny, pierdolony matoł. Dymał tę dziwkę przez całą noc i na śniadanie przyczłapał jak zombie. Zombie uśmiechnięty w chuj. Od razu było widać, co robili. Kevin też ją kiedyś rznął, aż miło, pieprzoną nimfomankę, aż zachrypła od krzyku, ale nie robi się takich rzeczy w noc przed główną operacją. Teraz musiał dać J. parę tabletek modanifilu, bo ślepia mu się zamykały ze zmęczenia. W pizdę jebany debil. Swoją drogą przy doktorze Bobie nawet najpaskudniejszy diler wydawał się niewinny niczym wikary w ośrodku leczenia uzależnień. Bob dawał człowiekowi wszystko, czego sobie zażyczył, i dorzucał jeszcze parę rzeczy, o których tamten nigdy nie słyszał. Nie mógł jednak uzupełnić zapasów przed powrotem do Stanów, a Kevin niestety łykał modanifil jak dziecko landrynki. Lubił być naspidowany, lubił się nakręcić, nienawidził zjazdów i wkurzało go, że J. obżera go z zapasów. Jebany skurwiel.

– Hejka, Kevin! – powiedział J., gdy zjawił się w recepcji z plecakiem na ramieniu, ubrany do wyjścia. – Już mi dużo lepiej. Właściwie to jest mi zajebiście.

– Co ty nie powiesz? – Kevin podszedł do niego i dodał ciszej: – Czyżby dlatego, że wydebiłeś ode mnie dwie ostatnie tabsy?

Tak naprawdę zostało mu ich jeszcze osiem, w sam raz, by dociągnąć do Nowego Jorku.

– Myślałem, że są dla nas obu.

– Są dla mnie, a ja mam je rozdzielać w razie potrzeby – odparł Kevin.

– Rozdzielasz je głównie sobie, a potrzebę czujesz cały czas – stwierdził J. beztrosko.

– Nie kwestionuj, kurwa, moich rozkazów – syknął mu Kevin prosto w ucho. – Może i zerznąłeś szefową, ale w tej małej armii to ja jestem twoim dowódcą.

– Tak jest!

Kevin był zbyt nakręcony, by ocenić, czy J. powiedział to sarkastycznie, czy nie, zresztą hol w King's Head nie był odpowiednim miejscem, by dawać mu nauczkę. Wyszli z hotelu i przeszli na boisko po drugiej stronie ulicy. Jim Sage już tam był, rozmawiał właśnie z jakąś kobietą w płaszczu i szalu.

– Cześć, chłopaki! – Jim otworzył drzwiczki helikoptera. – Witam na pokładzie. Właśnie wyjaśniałem tej pani, że musiałem lądować awaryjnie, bo wypełniamy misję ratunkową.

Kevin bez słowa wspiął się do wnętrza maszyny.

– Hejka, Jim! – J. po męsku uściśnął dobrodusznego pilota. – Wszystko gra, szanowna pani, lecimy ratować życie – zwrócił się do miejscowej. Oczy zamgliły mu się na chwilę, a potem z zaskakującą siłą grzmotnął się w pierś i jęknął: – Miłość ponad wszystko!

– Wsiadaj do tego jebanego śmigłowca, bo się porzygam – powiedział Kevin.

Biedny Henry, pomyślał Wilson, nie ma na świecie człowieka, który byłby gorzej przygotowany na taki błyskawiczny kurs samowiedzy, zwłaszcza w tak późnym wieku. Jak to powiedział Ryszard II? „Nie zwykłem prosić, ale rozkazywać”³? Cały Dunbar w jednym zdaniu. Tyle że on wołał „ma być po mojemu!” – komendę bez komentarza. Właściwie to zdanie Ryszarda powinno brzmieć „nie zwykłem rozkazywać, ale komentować”. Henry nigdy nie rozmywał swoich poleceń w drobiazgowych opisach własnych żalonych stanów ducha. Zawsze żył jakby w przyszłości: pędził naprzód tak szybko, że nawet nie miał czasu zauważyć, co się dzieje po drodze, a co dopiero ująć tego w zgrabne przemowy. Cele zawsze miał jasne, nie wiadomo było jednak, czy realizując je, czegokolwiek się uczy. Wilson miał nadzieję, że gdziekolwiek Henry teraz przebywa, ma przy sobie mapę. Gdyby miał mapę, miałby też cel – a gdyby miał cel, osiągnąłby go.

Ktoś zapukał. Wilson wstał i otworzył drzwi. Niejasno oczekiwał, że będzie to Florence lub Chris, lecz ku jego rozczarowaniu w progu stanął Mark.

– A niech mnie! Niezły widok na Buttermere. – Mark podszedł do wykuszowego okna i dodał z głupkowskim chichotem: – Powinniśmy chyba podziękować Abby, dzięki niej poznaliśmy kolejny uroczy hotel.

– O co chodzi? – spytał Wilson.

– Rozmawiałem właśnie z moją przyjaciółką Mindy – zaczął Mark.

– Znam Mindy – przerwał mu Wilson, zirytowany, że Mark „przyjaciółką” nazywa kobietę, z którą od dziesięciu lat żyje w równoległym związku.

– No więc Mindy przypomniała mi o czymś, co powiedziałem jej parę tygodni temu. Wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, że w rodzinie Dunbarów wzmianki o wielkich sumach szybko przestają robić wrażenie, więc zaraz jak tylko jej o tym powiedziałem, wyleciało mi to z głowy.

– Co to takiego?

– Wszedłem kiedyś do gabinetu Abby. Nie węszyłem, szukałem tylko wkładu do drukarki. W każdym razie na jej biurku leżała kartka z jakimiś zapiskami, a wśród nich liczba „6,5” i strzałka, a po strzałce litera B. No więc mam podejrzenie, tylko podejrzenie, nic więcej, że oznaczało to dużą wypłatę dla doktora Boba.

– Zgadza się – stwierdził Wilson. – To żadna tajemnica. Bob zamierza wejść do zarządu i oprócz normalnej wypłaty miał dostać premię za „wieloletnią oddaną służbę” jako osobisty lekarz Dunbara.

– Ach, wiedzieliście o tym?

– Jestem w bardzo dobrych stosunkach z większością członków zarządu i mam stały dostęp do informacji. Przydałby się raczej dowód, że Bob dopuścił się nadużyć, że swoją oddaną służbę pełnił na rzecz Abby i Meg, a nie Henry’ego.

– Niby skąd miałbym coś takiego wytrzasnąć?

– Może spytaj swoją przyjaciółkę Mindy. – Wilson odprowadził zdezorientowanego Marka do drzwi. – Muszę zamienić słowo z Florence przed jej wylotem. Będziemy szukać Henry’ego z helikoptera.

– Mogę lecieć z wami?

– W helikopterze są tylko trzy miejsca. Będziemy lecieć za policją, na wypadek gdyby go znaleźli. Florence i Chris lecą na pewno, a z pilota raczej nie zrezygnujemy. Nawet dla ciebie.

Przy odrobinie szczęścia – myślała Abby, przyglądając się, jak helikopter Jima odlatuje w głąb doliny w kierunku Nutting – znajdą ojca martwego. To byłoby najprostsze rozwiązanie. Ściganie go jest bardzo czasochłonne, a już najwyższa pora wracać do Nowego Jorku i przygotować się do najważniejszej decyzji w dziejach Dunbar Trust, czyli ponownego sprywatyzowania. Dzięki temu ona i Meg przejmą całkowitą kontrolę nad jedną z największych organizacji medialnych na świecie. Staruszek Dunbar stanowczo powinien już się usunąć. Powinien przestać tak kurczowo trzymać się władzy i przeszkadzać swym starszym córkom w zrobieniu czegoś, z czego powinien być dumny: odzyskaniu rodzinnej spółki. Wszystko było zaplanowane: trzydzieści procent pracowników będzie musiało przemyśleć na nowo swoją przyszłość, trzymane z sentymentu zbędne tytuły zostaną sprzedane i cała firma stanie się maszynką do robienia pieniędzy, one zaś zyskają nieograniczony dostęp

do wszystkiego, co ojciec do tej pory zazdrośnie trzymał dla siebie. W czwartek wystąpią o zgodę zarządu i po podpisaniu kilku dokumentów dyrektorzy opuszczą budynek, wiedząc, że gdy transakcja dobiegnie końca, będą znacznie bogatsi, a jeśli szepną komuś choć słowo o tym, co się dzieje, będą mieli duże kłopoty.

Zabrząca leżący na stoliku telefon. Abby zerknęła na ekran. Dzwonił doktor Harris – ostatnia osoba, z jaką miała ochotę rozmawiać; może jednak miał do przekazania jakąś informację od władz, na przykład, że znaleziono jej martwego ojca.

– Słucham, doktorze? Co mogę dla pana zrobić?

– Najlepsze, co może pani zrobić, pani Rush, to zadzwonić na policję i zadeklarować gotowość do pełnej współpracy.

– Współpracy w czym? W śledztwie w sprawie pańskiej niekompetencji?

– W śledztwie w sprawie pani udziału w wydarzeniach, które doprowadziły do samobójstwa Petera Walkera.

– Samobójstwa?

– Tak. Przykro mi to mówić, ale mimo wszelkich środków zapobiegawczych, jakie przedsięwzięliśmy, dziś wczesnym rankiem Peter powiesił się pod prysznicem. To zatrzważająca, kompletnie niepotrzebna śmierć i zrobię wszystko, by dowieść, że pani jest za nią współodpowiedzialna.

– Ja?! – krzyknęła Abby z nagłą furią. – To ja jestem odpowiedzialna za to, że ten ciężki alkoholik uciekł z pańskiego sanatorium, wlokąc za sobą mojego starego i niesłuchanie ważnego, powiedzmy szczerze, ojca, narażając życie własne i jego? Mam nadzieję, że mojego ojca nie znajdą również martwego, bo wtedy będzie pan sądzony za przyczynienie się do śmierci nie jednej, tylko dwóch osób! Proszę się nie krępować i spisać te swoje oskarżenia, doktorze Harris, będę mogła przy okazji pozwać pana za zniesławienie.

– Ależ oczywiście, że je spiszę, pani Rush, siostra Roberts także...

– Ta idiotka! Nie mogę się doczekać, aż rzuci się na nią sfora moich prawników.

– Peter opowiedział nam, co mu zrobiliście, pani Rush – doktor Harris przerwał jej spokojnie, ale stanowczo – i nie mamy wątpliwości, że mówił prawdę. Owszem, był alkoholikiem, ale był też bardzo inteligentnym człowiekiem i nie miał skłonności psychotycznych.

– To był wrak człowieka, na litość boską! Nie umiał ani słowa powiedzieć własnym głosem. Najwyżej skomleć i jęczeć.

– O, jestem pewien, że sporo pani wie na ten temat.

Abby rozłączyła się bez ostrzeżenia i rzuciła telefon na stolik.

– Kurwa mać! – wrzasnęła. – Kurwa! kurwa! kurwa!

Dlaczego to musiało się stać? Czym sobie zasłużyła na takie komplikacje, gdy była już o krok od wielkiego zwycięstwa?! To niesprawiedliwe!

Dunbar stracił równowagę na obluźnionych kamieniach i omal się nie przewrócił.

– Lepiej uważaj, którądy mnie prowadzisz – sarknął do Simona. – Tu jest zbyt stromo. Ja nawet po płaskim terenie ledwie idę, a co dopiero po tej skarpie.

Od tamtego razu, gdy rok temu w Davos przydarzył mu się idiotyczny wypadek, Dunbar chyba niczego tak się nie bał jak upadku. Zresztą to w ogóle był kiepski pomysł, zebrać najważniejszych ludzi na świecie i wypuścić ich w styczniu na oblodzone ulice kurortu narciarskiego – na szczycie czy „forum”, jak to chętnie nazywano, kompletnie bez sensu, bo przecież nikt nigdy nie potrzebował zaproszenia ani drogocennej plakietki z nazwiskiem, żeby chodzić po placach i rynkach. Dunbar przybył do Davos dwie godziny później, niż powinien, i spieszył się na ważne zebranie, zakulisowe spotkanie poza nurtem głównych obrad, bo tylko takie naprawdę się liczyły. Padał miękki śnieg, co zwykle byłoby okolicznością sprzyjającą, lecz jakiś nadgorliwiec z obsługi imprezy obmiótł do czysta wszystko, co napadało, i przez to do chaty Zhou trzeba było dojść po czarnej, oblodzonej ścieżce. Przed samymi drzwiami Dunbar pośliznął się, upadł na plecy i uderzył głową o ziemię. Wyglądał się okropnie, stracił twarz przed członkiem cholernego chińskiego politbiura, dla którego nic tak się nie liczyło, jak zachowanie twarzy. Obsesyjna punktualność kosztowała Dunbara sześć tygodni w szpitalu, a do tego stracił szansę na umowę na transmisje satelitarne, którą przygotowywał od roku. Od tamtej pory nic już nie było takie jak przedtem, właśnie wtedy na dobre zaczął się jego upadek – choć zanosilo się na to przez cały tamten poprzedni rok, odbywał się już w zwolnionym tempie, a Dunbar bezskutecznie usiłował go zatrzymać. Niestety jego starania udaremnił upadek na śliskiej stromej ścieżce.

– Coś nie bardzo chce ci się dziś gadać – powiedział do Simona, ściskając go za ramię. – Nie wiem, jak ty sobie dajesz radę z tym łażeniem.

Dunbar czuł, że niewiele brakuje, a jego skurczone mięśnie i nadwreżone ścięgna do reszty odmówią posłuszeństwa i nie będzie już mógł zrobić kroku. Całkowicie dostosował się do dziwnego kulawego chodu Simona, zrobił tylko niewielkie ustępstwo na rzecz kolan, które mogłyby tego już nie wytrzymać. Gdyby wyczerpanie wzięło w nim górę nad strachem, z chęcią położyłby się i umarł – na razie jednak to strach brał górę nad wyczerpaniem, więc chcąc nie chcąc, szedł naprzód.

W jego oczach krajobraz nabrał plastyczności i sugestywności, cech, które zwykle posiadały jedynie przepływające chmury. Z oszalałej zmienności form wyłaniała się garstka wyraźniejszych kształtów. Dunbar dostrzegał wśród nich jedynie przycupnięte zwierzęta, często przyprószone śniegiem, z uniesionymi łbami, wyszczerzonymi zębami, łapami wyciągniętymi lub przeciwnie, podwiniętymi, co jednak oznaczało tylko, że za chwilę rozprężą się w śmiercionośnym skoku. Po lewej stronie wznosił się potworny łeb Cerbera, uśpiony, mógł go jednak zbudzić stukot zsuwającego się kamienia lub łoskot spadającego ciała. Obły węzowy ogon bestii, udający, że jest wzgórzem, znikał kilkaset jardów dalej, w każdej chwili jednak mógł wynurzyć się spod ziemi pod obolałymi stopami Dunbara. Skalne ostrogi wystające ze zbocza góry po prawej stronie były wyciągniętymi łapami Sfinksa, z pazurami wczepionymi w ziemię. Dunbar bał się spojrzeć przez ramię w rozwartą paszczę biało-grzbiecatego wilka, który czekał tylko, aż jego skalne ciało nabierze sprężystości – będzie mógł skoczyć na niego i rozszarpać mu gardło. Dunbar stanowczo musiał jak najszybciej dotrzeć do farmy, o której mówił Simon, ukrytej za osypującym się wzgórzem, za załomem tego żarłocznego krajobrazu. Miał nadzieję, że Simon wie, co robi, i nie prowadzi go na manowce. Włóczęga wydawał się dzisiaj dziwnie milczący. Co prawda ludzie często milkli w obecności Dunbara, nawet prezydenci i premierzy, zwłaszcza gdy czekali z nadzieją na jego błogosławieństwo: „Miałem wątpliwości co do twojego rządu, Maggie, póki nie zaczęłaś strzelać terrorystom w plecy... Rozumiem pańską strategię, panie prezydencie, i może pan liczyć na nasze wsparcie... Obawiam się, Bernanke, że jedyne, co osiągnąłeś, to przekształcenie kryzysu długu prywatnego w kryzys długu publicznego...”.

– Stój! – zawołał Dunbar, nagle wytrącony z zamyślenia i ogarnięty paniką. – Słyszałeś ten warkot w powietrzu? Uciekajmy! Szybko!

Puścił ramię Simona i zaczął kuśtykać przed siebie, najszybciej jak tylko mógł na udręczonych nogach, w stronę najbliższego głazu, za którym można było się schować. Nadlatywały śmigłowce bojowe z cekaemami gotowymi do strzału w otwartych bocznych drzwiach. Na pewno uznają go za sprzymierzeńca Wietkongu albo taliba terrorystę i rozplatają go od ramienia po miednicę serią z karabinu. Dziwna energia wstąpiła w jego umęczone ciało, jakby ekstatyczne przerażenie; Dunbar czuł, że niemal frunie nad gdzieś tam kamienistym, gdzieś tam podmokłym gruntem. Zgiełk przybierał na sile i póki Dunbar nie dopadł głazu, nie umiał określić, skąd nadlatują helikoptery. Gdy maszyna z rykiem przeleciała mu nad głową, przykucnął z plecami opartymi o skałę, modląc się, by go nie zauważono.

Doktor Bob zdołał wprawdzie zasnąć przed świtem, ale niemal natychmiast zbudziła go wściekła i trwoźna myśl o tym, jak bardzo zagrożony jest jego plan emerytalny. Po trzech niemal bezsennych nocach nękały go urojenia: że spada w przepaść, że bezradnie się stacza, że wokół niego przemykają upiory. Najpierw zdradził Dunbara, potem zdradził jego córki, z którymi go zdradził, a teraz przelicytował go w zdradzieckości Cogniccenti. Jego bezpieczeństwo finansowe było zagrożone, jego makiaweliczna duma zraniona, jego umysłem targają przeciwstawne, ale jednakowo burzliwe fale zmęczenia i agresji. Jedyne, co wiedział na pewno, to że musi zrobić jakiś krętacki numer, tak krętacki, że nie wpadliby na niego krętacze, z którymi się mierzył – niestety z zaskoczeniem stwierdzał, że trudno mu sobie dokładnie wyobrazić, na czym ten numer miałby polegać. Pogodził się już z tym, że zdradzenie Cogniccentiego na rzecz Abby i Meg byłoby zbyt niebezpieczne, bo nie dałoby się wtedy ukryć, że to wobec nich wcześniej planował zdradę. Wyimprowizował nieco szaleńczy pomysł, że najpierw pomógłby Florence znaleźć ojca, a potem wysłał jej anonimową informację, że Dunbar Trust jest zagrożony przez Unicom. Stary zawsze jakoś umiał przegrupować siły. Tak czy inaczej, zarząd mógłby utracić plany Cogniccentiego i udaremnić zakusy Abby i Meg; Bob czuł do nich tak wielką odrazę, że bez względu na to, jak się wszystko potoczy, zamierzał zrobić wszystko, by im zaszkodzić.

Przez okno jadalni hotelu King's Head Bob spostrzegł George'a, wiernego przybocznego, który irytował Abby, dopytując się z troską i szacunkiem o jej ojca. Przez ponad trzydzieści lat George pracował dla Dunbara jako kierowca, gdy ten przyjeżdżał do Europy, i na pewno bez trudu dałby się namówić do współpracy, gdyby tylko go przekonać, że działa w najlepszym interesie swojego starego pracodawcy.

– Słyszysz mnie? – powiedział Chris do mikrofonu.

Florence skinęła głową z uśmiechem.

– Pilot korzysta z innej częstotliwości, na tej możemy rozmawiać prywatnie. Jeśli będzie chciał porozumieć się z nami, da nam znać.

– Świetnie – powiedziała Florence – bo nie chciałabym, żeby ktoś oprócz nas wiedział o naszej umowie z Jimem. Mógłby mieć kłopoty.

– Rozumiem – odparł Chris. – Dyskretnie korzystaj też z telefonu: formalnie rzecz biorąc, nie wolno go używać na pokładzie, mimo że nie przeszkadza w kierowaniu maszyną.

Florence ponownie skinęła głową i ścisnęła go za rękę. Helikopter z lekkim kołysaniem uniósł się z hotelowego trawnika, po czym z pochylonym nosem poleciał krętym kursem ponad jeziorem.

Na szczęście Kevin i J. byli zbyt pochłonięci przekomarzeniem się, by zauważyć to, co zauważył Jim. Sage nie mógł zawrócić i przyjrzeć się dokładniej, byłoby to zbyt ryzykowne, przesłał więc współrzędne do Florence. Byli umówieni, że w razie czego da jej pięciominutowe fory.

– Znasz miejsce o nazwie Adam's Hough? – spytał Chris pilota.

– Nie słyszy cię – przypomniała mu Florence.

– Racja. – Chris uśmiechnął się i klepnął pilota w ramię.

– Skontaktuję się z policją – powiedziała Florence. Chris skinął głową i dał znak pilotowi, by włączył słuchawki.

– Ruszaj się, jedziemy! – zawołała Abby do doktora Boba i klasnęła w dłonie, przebiegając przez jadalnię. Meg szła za nią w ciemnych okularach i ziewała. – Jim właśnie napisał, że zauważył tatusia.

– Nareszcie jakieś dobre wieści – powiedział doktor Bob, wychodząc z siostrami przed hotel.

– Zawieź nas do Adam's Hough – poleciła Abby George'owi, wsiadając do range rovera.

– I nie oszczędzaj koni – dodał Bob, siadając na przednim fotelu pasażera.

– Ej, Jimbo! – powiedział Kevin – szukamy osiemdziesięcioletniego biznesmena, a nie maratończyka trenującego przed jakąś jebaną olimpiadą. Zawracaj.

– Chyba masz rację – stwierdził Jim. – Raczej nie dotarłby tak daleko.

– Oczywiście, że mam rację, ty przygłupie.

Jim zaczął bardzo łagodnie zawracać w stronę miejsca, gdzie, jak mu się zdawało, pięć minut wcześniej widział Dunbara. Powiadomił już Abby, nie mówiąc o niczym jej gburowatym najemnikom, miał jednak nadzieję, że Florence dotrze tam pierwsza.

Dunbar pogrzebał w kieszeni i wyciągnął scyzoryk. Zgrabiającymi palcami z trudem zdołał otworzyć główne ostrze. Ścisnął trzonek i kilka razy dźgnął ostrzem powietrze. Jeśli będą próbowali wziąć go do niewoli, nie pozwoli im na to, nie sprzeda tanio swojej skóry. Nazywa się Henry Dunbar, a nikt nie zadziera z Henrym Dunbarem bezkarnie.

Obrócił się i wyjrzał ostrożnie zza głązu, zastanawiając się, gdzie podział się Simon. Stok wzgórza i dolina były kompletnie puste. Dunbar wiedział, że jego poczucie czasu jest trochę zmałowane, ale był szczerze zdziwiony, że Simon w ciągu ledwie paru minut potrafił zniknąć bez śladu. Choć może to i lepiej. Był duchownym, pewnie nie przydałby się w walce.

– No dalej, jeden na jednego, wynajęte zbiry! – mruknął Dunbar.

Przekrzywił głowę. Nadchodzili. Słyszał, jak wirnik śmigłowca młóci powietrze.

– Ty matole, jedziesz w złym kierunku! – krzyknęła Abby.

– Ojej, jesteś pewna? – zdziwił się George. – Najmocniej przepraszam.

Abby pokazała Megan ekran telefonu. Pulsująca niebieska kropka wskazująca ich położenie oddalała się od właściwego celu. Megan, do tej pory pogrążona w odrętwieniu, nagle się ożywiła.

– Wysiadaaj! – powiedziała do kierowcy.

– Przepraszam – powtórzył George.

– Wysiadaj! – wrzasnęła.

– Po co?

– Ja poprowadzę, idioto.

George zatrzymał wóz i wysiadł, nieco przelękły. Megan obiegła auto dookoła, wsiadła za kierownicę i trzasnęła drzwiami.

– Rozjadę tego skurwiela – powiedziała.

– Nie ma mowy! – Doktor Bob zaciągnął hamulec. – Zabraniam.

– Że co? – zaśmiała się Megan.

– On ma rację, Meg. Lepiej tego nie rób – odezwała się Abby. – Zapomniałam ci powiedzieć, że Peter jakmutam, ten okropny komik, popełnił samobójstwo. Będziemy miały kłopoty.

– Zapomniałaś nam o tym powiedzieć? – spytał Bob.

– Przecież tyle miałam na głowie!

– Dobra już, dobra, jedźmy – powiedziała Megan.

Doktor Bob zwolnił hamulec.

– Mówiłem wam, żeby go nie podpalać – powiedział.

– Och, przestań już o tym smędzić – odparła Abby.

Nim Bob zdążył odpowiedzieć, Meg ruszyła do tyłu, przejeżdżając George'owi po stopach, po czym błyskawicznie zmieniła bieg i przejechała je ponownie.

– Ojej, przepraszam! – zawołała, starając się przekrzyczeć wrzaski George'a.

– Jezu, Megan! – krzyknął Bob. – Zatrzymaj się, wysiadam!

– Po co?

– Żeby zobaczyć, co mu zrobiłaś. Jestem lekarzem, zapomniałaś o tym?

– Ja zapomniałam? – spytała Megan. – Ty nie złożyłeś przysięgi Hipokratesa, skarbie, tylko przysięgę hipokryty. Chyba sam o tym zapomniałeś.

Ruszyli gwałtownie przed siebie.

Doktor Bob oglądał się do tyłu na George'a, który leżał na poboczu i ścisnął się za golenie, nie mogąc ustać zmiażdżonymi stopami na ziemi. George wypełnił swoją funkcję, przy odrobinie szczęścia być może opóźnił ich jazdę na tyle, by dać przewagę Florence. Mimo wszystko był to akt bezsensownej, niepotrzebnej przemocy, typowej dla tych zepsutych dziewczuszy, z którymi przyszło mu współpracować. Bob postanowił, że w swoim czasie naprawi szkody wyrządzone przez dziecinną mściwość Megan. Czuł, że wzbiera w nim fala nienawiści do tych dwu kobiet,

przyzwyczajonych do tego, że ktoś zawsze sprzątał po nich bałagan, którego narobiły. W kieszeni zadzwieczał mu telefon. Wyjął go i spojrzał na ekran.

Z przyjemnością informuję, że środki wpłynęły na Pańskie konto. Najmocniej przepraszamy za opóźnienie. Serdecznie pozdrawiam – Kristoff Richter-Gulag.

A niech to. No dobra. Cierpliwość nigdy nie była jego mocną stroną. Ale przecież zasadniczo nie zrobił jeszcze nic złego, zważywszy, że znów był w sojuszu z Cogniccentim. Nic, czego nie dałoby się odkręcić, Cogniccenti oczekiwali wprawdzie, że Dunbar zostanie wycofany z obiegu, a nie – wróci w porę do Nowego Jorku i stawi się na zebraniu zarządu.

Gdyby tylko można było się spokojnie zastanowić! Być może mimo wszystko należało ostrzec Dunbara; nie wyjawiać mu wszystkiego, ale dostatecznie dużo, by pogrążyć Abby i Meg. Jeśli Cogniccenti wygra, co prawda tracą władzę, ale wartość ich udziałów wystrzeli w górę, przez co staną się jeszcze obrzydliwiej bogate. Bob natomiast chciał widzieć ich klęskę, ich upokorzenie. Nienawiść, jaką do nich teraz żywił, była chyba najbardziej autentyczną emocją, jakiej kiedykolwiek doświadczył. Ona również musiała zostać włączona do jego planu emerytalnego, nie tylko pieniądze.

Florence brnęła przez śnieg i paprocie w stronę głazu, za którym chował się jej ojciec.

– Henry? – zawołała. – Tato? To ja, Florence.

Ujrzała, jak czubek głowy Dunbara wychyla się znad krawędzi skały.

– To ja, Florence – powtórzyła.

Dunbar stopniowo wyłonił się zza głazu. Siwe włosy miał brudne i potargane, twarz nieogoloną i zapadłą, płaszcz utyłany w błocie; w wyciągniętej prawej ręce trzymał scyzoryk. Patrzył na Florence ze zdumieniem, nie wiedząc, co sądzić o jej obecności.

– Przyjechałam się tobą zaopiekować – powiedziała.

Nie chowając scyzoryka, Dunbar opuścił rękę wzdłuż ciała.

– Po tym wszystkim, co ci zrobiłem – powiedział.

– Po tym wszystkim, co przeszedłeś – odparła Florence, podchodząc bliżej.

– Musimy zabrać Simona – powiedział Dunbar, czując, jak łzy napływają mu do oczu. – Został bardzo źle potraktowany, powinniśmy

mu jakoś pomóc.

– Pomożemy – powiedziała Florence. – Gdzie on jest?

– Nie jestem pewien... Ostatnio coraz trudniej mi zebrać myśli. Był tu, zniknął przed chwilą.

– Wróć z nami. Policja poszuka Simona.

– Nie możemy pozwolić mu zginąć – zachlipał Dunbar. – Musicie go znaleźć.

– Znajdziemy, nie martw się.

– Tak bardzo się martwiłem.

– Wiem, tato. Ale już wszystko dobrze.

Dunbar wypuścił scyzoryk z dłoni, postąpił krok naprzód i położył córce ręce na ramionach.

– Mamy dla ciebie nosze – powiedziała Florence.

– Chyba dam radę iść, podeprzyj mnie tylko.

Florence objęła ojca w pasie, on objął jej ramiona i ruszyli pomału przez spłachcie śniegu i zbrązowiałe zimowe paprocie w stronę czekających helikopterów.

– Śpi – powiedział Chris, przechodząc z sypialni Dunbara do głównej kabiny samolotu. – Lekarz mówi, że chętnie poleci z nami do Londynu, ale zostawił paszport w Keswick, nie może więc towarzyszyć nam do Nowego Jorku. Twierdzi, że Henry jest w niezłej kondycji fizycznej, zważywszy na to, co przeszedł, ale ma silne urojenia.

– Cóż, na pewno musi się porządnie wyspać – powiedziała Florence. – Czy naprawdę musimy wracać przez Londyn?

– Zaufaj mi, gruntownie to przemyślałem – odparł Wilson. – Przekonałem adwokatów, by przyjechali na lotnisko, Henry nie będzie więc musiał nawet wstawać z łóżka, a są pewne kwestie prawne, które, jeśli załatwimy je szybko, mogą dać nam znaczącą przewagę nad twoimi siostrami. Potem będzie mógł spać dalej. Pół godziny jego czasu może uratować firmę, którą budował przez pięćdziesiąt lat. Twoje siostry to bandziorki. Policja chce je przesłuchać w sprawie człowieka, który popełnił samobójstwo, komika Petera Walkera.

– Boże! – zawołała Florence. – On popełnił samobójstwo? Przecież mieli go pod obserwacją.

– Udało mu się powiesić w kabynie prysznicowej – odezwał się Chris. – Odłączył kabel od telewizora i obwiązał się nim w pasie.

– Jeżeli ktoś jest dostatecznie zdeterminowany, pewnie zawsze znajdzie sposób – powiedział Wilson. – Jednym z powodów, dla których zależy mi na tym, by spotkać się z prawnikami w Londynie, jest stworzenie konfliktu interesów z twoimi siostrami. Jeśli poprosimy ludzi od Braggsa, by wytoczyli sprawę Megan i Abby o konspirowanie z doktorem Bobem w celu uwięzienia waszego ojca w Meadowmeade, nie będą mogli ich reprezentować w sprawie samobójstwa Walkera, bo przedstawiłem go jako przyjaciela Henry’ego, który próbował mu pomóc w ucieczce. Gdy dwie strony są w konflikcie, to ta, która pierwsza zatrudni prawników, może uniemożliwić drugiej korzystanie z usług tej samej kancelarii.

– A jeżeli Meg i Abby już z nimi rozmawiały? – spytała Florence.

– Nie rozmawiały, a teraz już nie będą mogły. Przeprowadziłem wstępne rozpoznanie.

– No dobrze, więc skoro jest to już zabezpieczone, po co musimy jechać do Londynu?

– W Londynie są złożone pewne dokumenty: testament dotyczący całego majątku poza trustem. Możemy go zmienić na twoją korzyść. Siedziba trustu jest w Delaware, ale z historycznych względów Henry sporządził swoją ostatnią wolę w Londynie.

– Nie chcę jego majątku. Chcę tylko, by wydobrzała. Zresztą nie sądzę, by prawnicy zgodzili się zmienić cokolwiek w jego obecnym stanie.

– Otóż właśnie. To gra, w której nie możemy przegrać: jeśli dostaniemy to, na czym nam zależy, będzie punkt dla nas: zmienimy testament i wyposażymy cię w pełnomocnictwo. Jeżeli natomiast Braggs nam odmówi, zażądamy poświadczenia na piśmie, że Henry nie jest w pełni władz umysłowych. Dzięki temu będę mógł poruszyć kwestię, czy Henry był władny odsunąć się od kierowania firmą, a jeżeli tak, to dlaczego umieszczono go w klinice psychiatrycznej. Inaczej mówiąc, mogę narobić twoim siostram kłopotów i zyskać dla niego czas na wyzdrowienie. Jeżeli dostanę ten papier, moi sprzymierzeńcy w zarządzie zażądają, by pozwolono mi przybyć na zebranie.

– Czyli właściwie nie chcemy tego, o co będziemy prosić?

– To właśnie jest piękne: każdy rezultat będzie działać na naszą korzyść.

– Pół godziny, mówisz?

– Tyle powinno wystarczyć. Wszystkie dokumenty mam przygotowane, będzie też cały potrzebny zespół: starszy partner, świadkowie i bardzo dobry amerykański radca prawny, który pomoże nam w kwestiach międzynarodowych: brytyjski radca nie może działać w Stanach, więc mamy amerykańskiego. Potem Henry będzie mógł spać dziesięć godzin, obudzi się w Nowym Jorku, a ciągle jeszcze będzie wtorek wieczorem. Do zebrania zostaną mu jeszcze dwie noce na odpoczynek.

– Dobrze, zrobmy tak – powiedziała Florence.

– Czy mogę już powiedzieć pilotowi, że jesteśmy gotowi? – spytał Chris.

– Tak – odparła Florence. – Posiedzę przy tacie, w razie gdyby się zbudził.

Florence weszła do sypialni Dunbara. Przy łóżku stał lekarz z rękoma splecionymi na piersi.

– Zasnął – powiedział. – Jedzenie zbiło go z nóg po tylu godzinach bez snu. Pani pewnie chce zostać z nim sama?

– Tak, chciałabym – rzekła Florence. – Zresztą i tak powinien pan już zająć miejsce w fotelu: startujemy najszybciej, jak tylko możliwe.

Florence położyła się na łóżku obok ojca, gotowa go objąć, gdyby start zakłócił mu sen. Samolot rozpedził się po pasie startowym i po chwili wzbił się stromo w niebo, oddalając się od Manchesteru. Gdy wyrównał lot, Florence usiadła na łóżku ze skrzyżowanymi nogami i oparła się o szare skórzane wezgłowie, z poduszką podłożoną pod plecy. Patrzyła na twarz ojca i zdała sobie sprawę, że prawie nigdy nie widziała jej z góry. W jej oczach ojciec zawsze górował nad wszystkimi. Gdy kiedyś był chory i pojechała go odwiedzić w Los Angeles, niemal natychmiast odruchowo usiadła na krześle obok jego wysokiego łóżka, by przywrócić naturalny porządek rzeczy, czyli patrzeć z dołu, jak leży podparty na poduszkach. Pamiętała też, że gdy miała cztery czy pięć lat, ojciec zasnął kiedyś na sofie na werandzie w Home Lake, z książką rozłożoną na piersi; chciała podejść i pogłaskać go czule po twarzy, ale matka szepnęła, że nie wolno budzić taty. Teraz jego potargane włosy były dłuższe niż kiedykolwiek dotąd, a policzki, zawsze gładko ogolone, pokrywał trzydniowy zarost. Ojciec stracił na wadze i postarzał się, a bruzdy na czole, wokół oczu i w zapadłych policzkach były głębsze niż dotąd. Od kiedy zabrała go kilka godzin temu z kamienistego górskiego zbocza, Florence nie miała zbyt wielu możliwości z nim porozmawiać. W helikopterze ojciec odmówił włożenia słuchawek, wręcz wzdrygał się na ich widok, chwycił się za głowę, jak gdyby bał się, że włożą mu ją w imadło lub inne narzędzie tortur. Florence postanowiła lecieć od razu do Manchesteru, Mark z Wilsonem mieli dojechać samochodem z bagażami. Henry mamrotał do siebie przez całą drogę, ale nie dało się tego usłyszeć, a to, co mówiła Florence, pilot i Chris, było z kolei niesłyszalne dla niego – i właściwie dobrze, bo poleciła pilotowi tak obrócić maszynę przy lądowaniu, by Henry nie zobaczył swojego Global One. Jej wynajęty samolot stał najdalej, jak tylko się dało, na płycie lotniska nie było jednak miejsca, z którego nie byłoby widać starego boeinga – chyba żeby odpowiednio wylądować i go zasłonić. Global One zawsze był ulubioną zabawką ojca. Henry traktował go jak swój dom bez stałego adresu, urządzony według jego wskazówek: była tam oszałamiająca biblioteka, na podłodze leżał jasnołoty perski dywan, między regałami wisiały martwe natury

Chardina i Williama Nicholsona. Gdy Florence była dzieckiem, najbardziej zdumiewała ją turecka łaźnia: z zachwytem patrzyła, jak pomarańczowe, zielone i czarne płytki w geometryczne wzory znikają w kłębach pary, podczas gdy samolot unosił się dziesięć kilometrów nad lodowcami Grenlandii czy pustyniami Nowego Meksyku.

Florence uznała, że widząc swój dawny samolot, a nie mogąc do niego wsiąść, ojciec wpadnie w jeszcze większe wzburzenie, lecz gdy umieścili go już bezpiecznie w wynajętym gulfstreamie, zastanawiała się, czy rzeczywiście byłaby to aż tak wielka różnica. Być może starała się uchronić ojca przed wstrząsem, którego już dawno doznał. Henry wydawał się oszołomiony, że w ogóle znajduje się w samolocie. Nieustannie się dopytywał, czy Simon jest bezpieczny i czy Peter zdołał dotrzeć do Londynu. Florence wtedy jeszcze nie wiedziała, że Peter nie żyje, nie zdradziła też, że został w Meadowmeade, bo ojciec desperacko pragnął się z nim zobaczyć. Gdy spytała, kim jest Simon, Dunbar potrafił jedynie powiedzieć, że to religijny człowiek, który uratował mu życie, oraz że trzeba dopilnować, żeby nic mu się nie stało, i „wciągnąć go na listę płac”. Wydawało się, że rozpoznaje we Florence dobrodziejkę, która go uratowała, ale jeżeli rozumiał, co ich łączy, stale o tym zapominał.

To niespokojne dopytywanie się o los dwóch ludzi, którzy pomogli mu uciec, urwało się raptownie, gdy godzinę później dojechali samochodem Wilson i Mark, i ustąpiło miejsca zupełnie innym emocjom. Henry zapatrzył się w Wilsona z nieumyślną intensywnością, widać było, że usiłuje zidentyfikować jego twarz, że wypracowuje sobie jakąś teorię na jej temat, potem jednak odrzuca ją jako zupełnie nieprawdopodobną. Widok Marka natomiast wzbudził w nim odruchową wściekłość.

– Ty! Ty! – wrzeszczał, wyciągając palec w stronę ulizanego, nieco korpulentnego zięcia. – Tylko nie ty! Nie ty! Zabierzcie go stąd! On spiskował przeciwko mnie i kazał mnie zamknąć. Ja nie chcę tam wracać! – Po tych słowach zerwał się z fotela, z zaskakującą żywością popędził korytarzem samolotu i zamknął się w jednej z sypialni.

Wilson i Florence bez wahania poprosili Marka, by wrócił do Nowego Jorku innym samolotem. Florence miała wrażenie, że Mark bardziej jest urażony tym, że musi sobie kupić bilet na samolot, niż reakcją teścia na jego przybycie.

– Rozumiem – stwierdził odrobinę mniej uprzejmym tonem niż zwykle.
– Wygląda na to, że Henry jest w stanie silnego pomieszania. Biedaczek.

Mam nadzieję, że wyjaśnicie mi, jaką rolę odegrałem, i wytłumaczycie, że przyjechałem tu właśnie dlatego, że zdecydowanie sprzeciwiam się jego uwięzieniu.

Gdy lekarz manipulował stetoskopem, przyrządem do mierzenia ciśnienia, latarką i młoteczką do badania odruchów, Dunbar stał się nieobecny, jak gdyby wewnątrz swojej głowy patrzył w ekran, na którym wyświetla się jakaś inna historia. Florence wyczuwała, że samolot, plany i wszyscy ludzie dokoła nie zniknęły do końca z jego myśli, ale są nieistotne, niczym napis „Wyjście ewakuacyjne” w zaciemnionej sali kinowej, nieporównanie mniej absorbujący niż film. Po zjedzeniu odrobiny rosółu z kury i chleba Dunbar zasnął niemal momentalnie.

Siedząc obok, z ręką opartą lekko na ramieniu ojca, Florence czuła ulgę, że ma go pod swoją opieką, ale nękała ją myśl, że człowiek, z którym tak bardzo chciała się pojednać, być może już nigdy nie wróci z mentalnego wygnania, na jakie go wysłały jej siostry. Poleciała aż na dzikie pustkowia Kumbrii, by go odnaleźć, ale nie miała pojęcia, jak wyciągnąć go z pustkowi jego psychiki. W całej jego życiowej wspinaczce na szczyt nic nie przygotowało go na doświadczenia ostatnich tygodni, a zwłaszcza ostatnich kilku dni; w tym niedługim czasie jego umysł ugiął się pod ciężarem wiedzy, z którą nie umiał sobie poradzić. Niczym powódź zalewająca płaską kamienną równinę, pozbawioną pochyłości, które mogłyby nadać jej kierunek, i gleby, która mogłaby ją wchłonąć, ta wiedza zmiotła wszelkie punkty orientacyjne, nie dając mu w zamian żadnego nowego życia. Jak teraz dotrzeć do ojca, tkwiącego pośrodku tej wyjąławiającej powodzi?

Gdy przed samym Londynem samolot wpadł w turbulencję, Dunbar przez sen zmarszczył czoło, po czym na wpół otworzył oczy. Spojrzał w twarz Florence z niedowierzaniem graniczącym z urazą.

– Czy ktoś mówił ci już, że jesteś podobna do mojej najmłodszej córki?
– spytał w zaskakująco przytomny sposób, zważywszy na stan, w jakim znajdował się przed zaśnięciem.

– To ja jestem twoją córką – odparła. – Jestem Florence.

– Nie – stwierdził Dunbar. – To niemożliwe, ale naprawdę wyglądasz zupełnie jak ona.

Uniósł ręce i objął nimi powietrze wokół swojej głowy.

– Miałem kłopoty – powiedział, badając palcami przestrzeń, jak gdyby próbował sprawdzić, jak bardzo jest obolały – z zebraniem myśli.

– Tak.

– Gdy nie wolno ci stąpać po szparach między płytami, ale nie możesz iść inaczej... – urwał, wciąż wykonując badawcze ruchy palcami, niczym ślepiec obmacujący czyjąś twarz – ...i to, czego za wszelką cenę musisz uniknąć, jest jedyną rzeczą, jaka się dzieje...

– Rozumiem – powiedziała Florence – ale teraz już jesteś bezpieczny.

– Bezpieczny? – spytał Dunbar z goryczą. – Jeżeli tak myślisz, jesteś głupia. Życie to spadanie. Kiedy to pojmiesz, już nigdy się nie zatrzymasz. Rozumiesz, co chcę ci powiedzieć? Nie ma gruntu, nic, czego mogłabyś się chwycić...

Florence wyczuwała, co ojciec ma na myśli, ale nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie było sensu spierać się o odczucia, w tym wypadku o jedno konkretne odczucie – że nic nie jest bezpieczne. Próba pokrzepienia brzmiałaby jak kolejna zakamuflowana sprzeczka. Po niewielkim posiłku i odrobinie snu Dunbarowi jakby nieco rozjaśniło się w głowie, ale chyba tylko po to, by mógł jaśniej opisać swoje zagubienie i rozpacz. Jedyne, co Florence mogła zrobić, to zostać przy nim i życzyć mu jak najlepiej.

– Co to było? – spytał Dunbar, zaskoczony lekkim uderzeniem kół samolotu o pas startowy.

– Przylecieliśmy do Londynu – powiedziała Florence.

– Jest tu Peter? – spytał Dunbar z zaniepokojeniem.

– Nie, został w Kumbrii.

– Co za dureń. Mieliśmy lecieć do Rzymu i pić negroni, sam tak mówił, wśród najpiękniejszych ruin na świecie. Pomógł mi uciec z obozu jenieckiego. Musimy go wciągnąć na listę płac.

– Zrobimy tak, tato. – Florence podniosła się z łóżka. Należało się przygotować na wizytę gości. Florence czuła, że nie powinna być obecna przy zmienianiu zapisów prawnych na swoją korzyść. Mogłoby to wyglądać jak łagodna forma presji. Zresztą umówiony przez Wilsona zespół nawet bez niej nie zmieściłby się w kabinie Henry’ego.

– Po co do mnie przyszłaś? – spytał Dunbar. – Florence, to ty?

– Tak.

– Wszędzie cię szukałem. – Wyciągnął ku niej ramiona.

Florence zbliżyła się z powrotem do łóżka, przyklękła i ucałowała go w oba policzki. Dunbar niepewnie dotknął czubka jej głowy.

– Czy wybaczysz mi kiedykolwiek – spytał – że wydziedziczyłem ciebie i twoje dzieci i oddałem wszystko tym potworom? Byłem pyszny, byłem tyranem, a co najgorsze, byłem głupi.

Florence podniosła wzrok i ujrzała, że twarz ojca jest mokra od łez.

– Oczywiście – odparła. – To ja byłem pyszna. Już dawno powinnam była zrobić pierwszy krok.

– Nie – zaprotestował Dunbar. – To przez mój nikczemny charakter zaczęły się te wszystkie kłopoty, i przez to, że zawsze chciałem wszystkim rozkazywać. Ha! – prychnął śmiechem pełnym rozgoryczenia. – Ja nawet nie umiem rozkazywać. Zdarza się, że gdy dochodzę do końca jakiejś myśli, już zapominam, od czego się zaczynała.

– Już nigdy więcej się nie rozstaniemy. – Florence pocałowała ojca w czoło i na chwilę oparła mu głowę na piersi.

– Nigdy – powiedział Dunbar, obejmując ją delikatnie oburącz za głowę. – Moja najdroższa Catherine. – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – Myślałem, że cię straciłem, a ty żyjesz.

Megan, zagubiona i przygnębiona sukcesem Florence, jak mało kiedy żałowała, że jej mąż rok temu nagle zmarł. Gdy poznała Victora Allena, swoją barwną karierą na Wall Street zapracował już sobie na przydomek „Wściekły Pies”, a w ciągu dziesięciu lat ich małżeństwa awansował na „Złego Skurwiela”. Żadna większa transakcja, nawet taka, o której Victor nie miał pojęcia, nie mogła się obejść bez pytania wypowiedzanego z niepokojem w salach konferencyjnych na całym świecie: – Co by na to powiedział Zły Skurwiel? – Victor bardzo się szczycił, że ta opinia na temat jego osoby, początkowo znana jedynie wąskiej grupce kolegów po fachu, stopniowo przerodziła się w osobisty tytuł. W świecie, gdzie jego rywale znani byli jako Darth Vader, Lord Sauron czy Voldemort, Victor uważał swój przydomek – dwa zwykłe słowa bez infantylnych nawiązań do dziecięcej rozrywki – za znak dojrzałości. Victora w ogóle cieszyły obelgi, pochwały budziły w nim zniecierpliwienie, uważał je za „zaślepiające potwierdzanie rzeczy oczywistych” lub podstępny sposób na wyciągnięcie od niego pieniędzy. Trudno byłoby wskazać konkretną transakcję czy innowację, dzięki której zasłużył sobie na ten tytuł: półlegalne wyzyskiwanie luk podatkowych, generowanie katastrofalnego długu, stosowanie coraz bardziej złożonych i oszukańczych instrumentów finansowych, gotowość do unicestwiania starych i dobrze działających firm, dających utrzymanie całym społecznościom i dziesiątkom tysięcy rodzin, tylko po to, by paru inwestorów jeszcze bardziej pomnożyło swoje niepryzwoite majątki – wszystko to na Wall Street było równie oczywiste jak chleb w piekarni, lecz skala operacji Victora, rozmiar jego obłudy, siła jego sarkazmu i triumfalizmu wskazywały jasno, że niczym biegacz, który pozwala sobie na sprint przed metą maratonu, Zły Skurwiel zostawił w tyle cały tłum podskakujących złych skurwieli ze swojego pokolenia i przekroczył linię mety daleko przed konkurencją.

Gdyby jeszcze żył! Albo jeszcze lepiej: gdyby mógł wpaść na tydzień, jak gwiazda telewizyjna, która pojawia się w jednym odcinku serialu, a potem znowu zniknąć! Na pogrzebie Megan mocno się napociła, by powiedzieć cokolwiek pochwalnego na jego temat i oddać zarazem

sprawiedliwość sobie jako ważnej wdowie, za to teraz, w tym fatalnym momencie, gotowa była napisać wiersz na jego cześć. Podczas gdy Jesus się mozolił, by doprowadzić ją do orgazmu, zaczęła układać w myślach pierwszy wers: „Victorze, zaprawdę, tyś żywy?”. No, to był mocny, tradycyjny początek. „Potrzebny nam twój jad i twój dług”... Megan nie umiała wymyślić na poczekaniu rymu do „dług”, tak czy owak w wierszu chodziłoby o to, że Victor na pewno zaimprovizowałby jakieś cudownie agresywne lub podstępne posunięcie, które pozwoliłoby bezpiecznie wykupić Dunbar Trust. Jego dawny partner Dick Bild co prawda trzymał stronę Abby i Megan, ale czy można było mu ufać bez zastrzeżeń?

Ach, co za dreszczyk przeszedł ją niespodziewanie! Jesus zdołał przyciągnąć jej uwagę. Bez wątpienia zasłużył na piątkę za swoje starania i z pewnością robił teraz lepszy użytek z języka, niż gdy leżał obok i mamrotał puste komplementy, udowadniając, że jest nie tylko bezlitosnym zabójcą, ale i nieśmiałym chłopczykiem. Odziedziczoną po matce latynoską czułość, widoczną już w imieniu, słychać było też w jego akcencie – łagodziła garbowaną do połysku teksańską twardość przejętą po groźnym ojcu, kierowcy, byłym żołnierzu, nadużywającym alkoholu i chętnie sięgającym po pas. Megan poznała już ponure dzieciństwo Jesusa w drobnych szczegółach.

W pewnej chwili zdała sobie sprawę, że już dawno nie wzdychała, a pewnie należałoby to zrobić. Lub nawet jęknąć.

– Nie przestawaj – zaczerpnęła tchu – nie przestawaj!

Gdyby przestał, znów zacząłby gadać. Ogólnie rzecz biorąc, Megan jakoś się w tym wszystkim trzymała, ale skorzystała z pokusy i dając upust frustracji, zaczęła krzyczeć i rzucać się po łóżku, udając atak epileptycznej seksualnej ekstazy.

Oczywiście już wcześniej, podejmując całą akcję, należało się liczyć z ewentualnymi turbulencjami, ale ostatnie kilka godzin przerodziło się w istną groteskę. Brytyjska policja, która chciała przesłuchać Megan i jej ekipę w związku z samobójstwem Petera Walkera, omal ich nie dopadła; zdążyli odlecieć Global One w ostatniej chwili. Wystarczyło dosłownie kilka minut opóźnienia, a wylądowaliby w jakimś obrzydliwym prowincjonalnym komisariacie. Potem Braggs zaczął się dziwnie zachowywać: stwierdził, że w tej sprawie nie może ich reprezentować, bo zaistniałby konflikt interesów. Najwyraźniej doktor Harris na przekór pierwszemu wrażeniu był całkiem szcwanym starym lisem. Tak czy

inaczej, Megan miała czyste sumienie: niby jakim cudem mieliby odpowiadać za to, że jakiś kompletny szajbus powiesił się pod prysznicem w wariatkowie, skoro znajdowali się wtedy wiele mil od niego? Megan nie dziwiła się, że ich oskarżano: ludzie zawsze byli pierwsi do atakowania jej rodziny, oczywiście z zazdrości, zwykłej, czystej zazdrości. Z zazdrością się nie wygra, jest częścią ludzkiej natury. Matka przestrzegła Megan już wtedy, gdy po raz pierwszy szykowała ją do przedszkola, jednak ujrzenie teraz, w takim momencie, jak ta bestia podnosi swój wstrętny łeb, było wyjątkowo rozczarującym doświadczeniem.

Florence jak zwykle okazała się wcieleniem koszmaru. Megan i Abby zdołały pozbyć się jej na rok, jednak wróciła, by namieszać w sprawach, o których nie miała pojęcia. Oczywiście to ona musiała odnaleźć tatę. Zawsze tak było. Ostatnia z trzech córek Henry'ego Dunbara wciąż była pierwsza, jeśli chodzi o jego uwagę. Przez większość życia Megan patrzyła, jak Florence siedzi sobie z boku i z uśmiechem samozadowolenia zagarnia całą miłość ich ojca, a choć Meg i Abby wychodziły ze skóry, by mu się przypodobać, były mu posłuszne i naśladowały jego cechy, nie skapnęła im nawet jedna kropla jego uczuć. Tym razem jednak sprawy zaszły za daleko, nie można było pozwolić, by Florence dalej bawiła się w ulubienicę tatusia. Stała między Meg i Abby a nagrodą, na którą pracowały od trzech lat. Nadęta od ojcowskiej miłości, zachowywała się jak krowa, która pasie się na torach, nieświadoma tego, że z za zakrętu za chwilę wypadnie ekspresowy pociąg. Megan gotowa była w pełni obciążyć ją konsekwencjami.

Florence oczywiście na pewno by się tłumaczyła, że jej nagłe zjawienie się było podyktowane wyłącznie troską o ojca, ale po pierwsze, Henry został umieszczony w doskonałym (i bardzo drogim) ośrodku, gdzie otoczono go profesjonalną opieką, a po drugie, nie był jedynie starym, zramolałym ojcem, którego trzeba odwiedzać w sanatorium (co zresztą w swoim czasie Megan miała zamiar robić), tylko potężnym symbolem, wokół którego mogły zgromadzić się najróżniejsze przestarzałe i reakcyjne siły. Meg i Abby od dawna potajemnie urabiały kilku dyrektorów posiadających szczególnie małe skrupuły, składając im nie do końca etyczne obietnice w zamian za poparcie dla oferty Eagle Rock. Nie ośmieliły się podejść w ten sposób dawnych sojuszników Dunbara i Wilsona, ale spodziewały się, że w połączeniu z ich głosami oraz

z poparciem doktora Boba, który miał dołączyć do zarządu, osiągną niewielką przewagę, a wtedy pozostali dyrektorzy także ulegną ich szczodrej propozycji.

Eagle Rock miał zaproponować wykup akcji Dunbar Trust za piętnaście procent więcej, niż wynosiła ich obecna cena, co miało stworzyć żyłą złota dla zwykłych udziałowców. Oczywiście obciążenie biednego trustu zbyt wielkim długiem byłoby błędem, nadmierne zadłużenie prowadziło przecież do masowych zwolnień, wyprzedazy firm-córek i likwidacji porządných starych przedsiębiorstw – inaczej mówiąc, właśnie do tego, co miały zamiar robić! Chodziło o to, by trust zmniejszył się i zbiedniał, tak by po pięciu latach można było złożyć nową ofertę publiczną na zakup akcji odchudzonej spółki. Zdaniem Dicka Bilda Meg i Abby mogły liczyć na zarobek 1,4 miliarda dolarów każda – co nie było wielką sumą, zważywszy, ile trudu je to wszystko kosztowało – ale przecież robiły dokładnie tak, jak robi się porządne interesy, i lepiej żeby robił to ktoś, kto naprawdę kocha firmę, a nie jakiś chciwiec z zewnątrz. Naprawdę nie było się o co martwić. Eagle Rock miał złożyć przyjacielską, jasną, w pełni finansowaną, w pełni legalną propozycję, a nikt inny na pewno nie zainteresowałby się akcjami Dunbara za tę cenę, skoro przed chwilą Unicom sprzątnął mu sprzed nosa umowę na chińskiego satelitę.

– O Boże, jak mi dobrze – jęknęła Megan.

Meg była jednak trochę przerażona, że tak szybko nudzą jej się kochankowie. Poprzedniej nocy J. naprawdę ją rozpałił swoim promiennym młodym ciałem i wzrokiem pełnym gorączkowego skupienia, jak u kogoś, kto w ostatniej chwili usiłuje wyłączyć tykający już ładunek atomowy – takie właśnie skupienie wkładał J. w dostarczanie jej kolejnych fal rozkoszy. Jak to możliwe, że już jedną noc później miała go dość? Nie chodziło chyba o to, że w sąsiednim pokoju nie było już doktora Boba i przez to wydawanie wysiłonych okrzyków nie sprawiało jej już takiej przyjemności; Megan nie była aż tak powierzchowna, choć musiała przyznać, że wcześniej czerpała mściwe zadowolenie z tego, że Bob jest tuż za ścianą i wścieka się z zazdrości, a przynajmniej z bezsenności. W lepszym świecie J. wystarczyłby jej na parę tygodni lub przynajmniej pozostałby pod ręką jako pogotowie seksualne, presja czasu sprawiła jednak, że musiała go poprosić o specjalną przysługę. Nie miała nawet czasu, by ją odpowiednio ubrać w słowa, mogła jedynie przedstawić ją w aurze nieznośnej, palącej konieczności. Musiała

milcząco, ale obficie zalać się łzami, okazać szczerzy żal, że zrzuca na jego barki tak sprzeczne z naturą brzemie. Intuicja podpowiadała jej, że J. powinien okazać się bezradny wobec jej łez, skoro przez całe swoje bolesne dzieciństwo tyle razy musiał pocieszać pobitą matkę płaczącą w kącie. Na pewno potraktuje jej prośbę z należyłą powagą i wytłumaczy sobie, że podjęcie tak trudnej decyzji musiało od niej wymagać prawdziwej odwagi. Ona wtedy przytuli go jeszcze mocniej i wycisnie jeszcze więcej ze swoich kanalików łzowych na jego bezwłosą pierś. Tak mocno znieruchomieją w swoich objęciach, że w zagłębieniu między jego imponującymi mięśniami piersiowymi jej łzy utworzą maleńką kałużę. Megan była z siebie dumna, że potrafi obmyślić tak wyrefinowaną choreografię.

Być może jednak tkwił tutaj problem: przecucie podpowiadało jej, że jest w tym pewne ryzyko; gdy wystrzeli Jesusa niczym samonaprowadzający pocisk raketowy, stanie się od niego za bardzo zależna. Mimo to zdawała sobie sprawę, że ta kolejna erotyczna przygoda jest tylko potwierdzeniem ogólniejszej prawidłowości. Jej kochankowie zawsze spali niedaleko przepaści, która z każdą nocą zdawała się do nich przybliżać. Czy ta erozja nadbrzeżnych skał kiedykolwiek się zatrzyma? Czy może będzie trwała dotąd, aż ona sama w końcu runie w przepaść, na stos pogruchotanych trupów usypany na plaży?

Miłość to oczywiście tylko teatr. Megan była wiecznie niezadowoloną reżyserką, a zarazem gwiazdą, wokół której kręci się cała produkcja. Jeśli aktor grający główną rolę męską z jakiegoś powodu zostawał zwolniony, pod ręką zawsze znajdował się dubler, który mógł go zastąpić. W obsadzie z zasady liczyła się tylko ona, nikt więcej. Nie było żadnej istotnej racji dla istnienia całej reszty. Wszyscy pozostali byli wielokrotnościami zera. Megan pamiętała, jak w wieku dziesięciu lat doznała pierwszego i jedyne w życiu olśnienia matematycznego, gdy zdała sobie sprawę, że dodanie zera na końcu liczby powiększa ją dziesięciokrotnie, natomiast pomnożenie jej przez zero sprowadza ją do zera, jakkolwiek byłaby wielka. Dlatego wolała myśleć o ludziach jako wielokrotnościach zera niż kompletnych zerach, zważywszy, jak skrajnie odmienne role to paskudne nic odgrywało w rozmaitych kontekstach.

Relacja Megan z J. miała trwać wyjątkowo krótko, bo po wypełnieniu jej tajnego drobiazgu miał nie być już potrzebny. Niestety, brała nawet pod uwagę to, że Kevin będzie musiał zatrzeć wszelkie prowadzące do

niej niebezpieczne ślady. Problem z zatrudnianiem ludzi do zacierania śladów polegał jednak na tym, że sami stawali się takimi śladami. Kto wyeliminuje eliminatora? Kiedyś, dawno temu – Megan nigdy o tym nikomu nie powiedziała, wypierała z siebie nawet wspomnienie tego faktu – okazała się zdolna wziąć sprawy w swoje ręce. Dzięki Bogu kraksa okazała się na tyle katastrofalna, że nie dało się wykryć śladów jej ingerencji. Meg była wtedy bardzo młoda i bezlitosna. W późniejszym życiu do każdego niegodziwego postępu znajdowała sobie mocne usprawiedliwienie, tamten natomiast popełniła z czystej nienawiści. I choć włożyła trochę czasu w jego przygotowanie, nie stracił przez to impulsywnego charakteru – nienawiść odnawiała się z taką siłą, że nie pozwalała na chwilę refleksji. Jakaś część jej osoby wciąż jeszcze była wstrząśnięta czynem sprzed lat, dlatego Megan nie lubiła się nad tym zastanawiać; bycie wstrząśniętą to prostactwo.

Megan uznała, że już czas na finałowy okrzyk, zaczęła więc pojękiwać i napięła ciało. Spodobało jej się, że tak mocno trzyma głowę J. między udami, wygięła więc plecy w łuk i jeszcze bardziej wzmocniła uścisk. Przeszło jej przez myśl, że J. pewnie po raz pierwszy znajdował się w tak ryzykownej pozycji od czasu szkolenia w centrum sztuk walki Zielonych Beretów. Gdyby wystarczająco silnie i znienacka przekreśliła uda, mogłaby złamać mu kark, a potem skopać jego bezwładne ciało z łóżka na podłogę. Poczuła, że ta myśl nieodparcie ją nęci. Jeszcze przed chwilą przygotowywała się do najbardziej oszukanego orgazmu wszech czasów, a teraz drobna fantazyjka naprawdę zaczęła ją kręcić.

– O Boże – jęczała, wyobrażając sobie trzask łamanego karku. – O Boże.

Jeszcze mocniej zacisnęła uda i podniosła się wyżej na łóżku. Jeden prosty, nagły skręt ud i byłoby po wszystkim.

– O Boże... Dochodzę! – jęknęła z autentycznym zdumieniem.

Po chwili J. podniósł się spomiędzy jej ud, przegramolił się po łóżku i zaległ obok jej drżącego jeszcze ciała, masując sobie szyję.

– Ale masz silne uda – zauważył z podziwem.

– Och, J., jesteś artystą – powiedziała Megan. – Nawet nie wiesz, jak bardzo mnie podnieciłeś.

– Tylko dlatego, że ty mnie podnieciłaś, *querida* – powiedział J. z głupkowatym zadowoleniem na twarzy. Jego toporne komplementy i oddane spojrzenia budziły w Megan irytację.

– Och, J., nie miałam takiego orgazmu od... zeszłej nocy – powiedziała z uśmiechem, przesuwając mu paznokciami po żebrach.

– *Querida*, chcę cię trzymać w ramionach przez całą noc – powiedział odurzony wojownik.

– Trzymaj mnie, trzymaj – powiedziała Megan.

– Nie wiem, czy masz tak regularnie, ale ja chyba jeszcze nigdy nie byłem naprawdę zakochany.

– Jesteś taki słodki! Oczywiście, że nie mam tak regularnie. Jestem kompletnie oszołomiona tym, co czuję.

Całowała go po piersi, zdołała też wycisnąć sobie z oka drobną łzę, która po irytująco długiej podróży po bocznej ścianie nosa spadła w końcu na cel.

– *Querida!* – powiedział nadwrażliwy Jesus, zdruzgotany tym, że kobieta, którą trzyma w ramionach, jego kobieta, płacze. – *Que pasa?*

– Och, to nic takiego – odparła dzielnie Megan.

Słyszając hart ducha we własnym głosie, Megan rozczuliła się nad sobą i uroniła kolejną cenną łzę. Wyteńczyła wszystkie siły i starała się przypomnieć sobie wszystko, czego nauczyła się w szkole filmowej Lee Strasberga, nim wyrzucono ją po dwóch semestrach. Zamknęła oczy i starała się wmówić sobie, jak bardzo smutne rzeczy ją spotykają. Ledwie odkryła fantazję seksualną, która naprawdę na nią działa, musiała ją porzucić. Wiedziała, że nie zdoła przenieść jej na pierwszego z brzegu kochanka, że sprawdza się tylko przy J., który jest żołnierzem: musiała czuć, że ma w swej władzy zabójcę, że ten mężczyzna, urzeczony własną siłą fizyczną, w jej objęciach w fatalny sposób tę siłę stracił. Tym bardziej należało uważać, by nie wpaść w taką pułapkę jak biblijna Dalila, czyli podczas bardziej przyziemnych machinacji nie stracić z oczu głównego celu i nie zostawić tego Samsona przywiązanego do kolumny pod nazwą „szantaż” – mógłby ją szarpnąć i obalić, a wtedy cała budowla jej życia zawaliłaby się jej na głowę. Po wypełnieniu zadania J. musiał zniknąć. Może zdążą jeszcze raz pójść do łóżka, był przecież dopiero wtorek. Tak, to powinno się udać: pójdą jeszcze raz do łóżka w Nowym Jorku, potem może jeszcze raz rano, a później Megan się go pozbędzie. Pocisk to typowy przykład wielokrotności zera: gdy uderzy w cel, przestaje istnieć. Dzięki Markowi Megan i Abby wyprzedzały rywali o krok. Mark przekazał im wiele cennych informacji, gdy zjawił się na pokładzie Global One, zaoszczędzając im wiele zachodu. Co prawda bardzo

nieprzekonująco wytłumaczył się z tego, co robił w Manchesterze, ale to nic – może i przez chwilę flirtował z wrogiem, ale widocznie uznał, że miejsce jego interesów jest tak naprawdę przy żonie. Podśluchał na przykład, że Florence planuje wydziedziczyć swoje siostry z majątku ojca poza trustem. Pazerna suka.

Ile tych nieszczęść! Florence pierwsza znalazła ojca i teraz miała przejąć cały jego osobisty majątek. Megan musiała stracić kochanka w imię wyższego celu, czyli całkowitego zwycięstwa nad wstrętą przyrodnią siostrą, a do tego musiała nieustannie być silna, ostra, władcza i o krok przed wszystkimi – to wszystko razem było bardzo ciężkim brzemieniem, a jeszcze istniała groźba, że cel, który Megan tak usilnie starała się osiągnąć, zostanie utracony. Łzy same napłynęły jej do oczu. Meg przywarła drżącym, szlochającym ciałem do swego obrońcy. Kiedyś zdarzyło jej się pójść do psychoterapeuty, ale tak ją rozsierdził, że po chwili wyszła. Miał irytujący zwyczaj przerywania jej anegdot, które uważała za zabawne i którymi go zasypywała, by odsłonić przed nim choć kawałek świata, do którego nie mógł mieć wstępu – opowiadała na przykład o jakichś wystawnych bankietach i wtrącała: „No, a co tam robiła nasza Megan? Gdzie się chowała?”. Głos psychoterapeuty i jego kuriozalne pytania wróciły teraz do niej, aż zaszlochała ze szczerym bólem.

Tak jak się spodziewała, J. był kompletnie bezradny, obejmując łkające ciało swojej kobiety.

– *Querida*, proszę – mówił – zrobię wszystko, żebyś przestała płakać. Powiedz tylko, co cię gnębi.

Megan popłakała jeszcze trochę, potem podniosła się, sięgnęła po pudełko chusteczek stojące przy łóżku i wysmarkała nos. Położyła głowę na ramieniu J. i płakała dalej, tym razem bezgłośnie. Odnalazła w sobie malutką Megan chowającą się w szafie i gdy wreszcie się odezwała, usłyszała dziwnie młodziutki głosik przestraszonego, nieufnego dziecka.

– Wszystko? – szepnęła.

– Wszystko – powiedział J. – Przysięgam. Wszystko.

Gdy samolot Florence lądował w Nowym Jorku, wszyscy na pokładzie znajdowali się w stanie napięcia i niepewności, z wyjątkiem Dunbara, który głęboko spał – po raz pierwszy od kilku dni zażywał odpoczynku i pierwszy raz od kilku tygodni był bezpieczny. Zgodnie z planem w Londynie podpisano dokumenty z udziałem prawników Braggsa i na razie nie było nic do roboty. Florence odesłała Chrisa i Wilsona do hotelu i postanowiła poczekać, aż ojciec obudzi się w naturalny sposób. Umówili się, że w środę rano razem zaplanują strategię na następny dzień, a jeśli Dunbar wyrazi taką wolę, przywróci Wilsona na dawne stanowisko swojego doradcy. Florence czuła się rozdarta: z jednej strony chciała uczestniczyć razem z nimi w zasłużonym, choć pełnym wątpliwości zwycięstwie, z drugiej pragnęła otoczyć ojca całkowitą ochroną, zabierając go do swojego domu w Wyoming. Czuła, że nie jest mu potrzebne przywrócenie władzy, tylko jeszcze większe wyrzeczenie się jej. Czemu by nie pozwolić Wilsonowi i Chrisowi samodzielnie zawalczyć o sprawiedliwość? Po co ciągnąć sponiewieranego ojca na kolejną korporacyjną batalię?

Florence czekała cierpliwie w samolocie. Wiedziała, że jeśli sobie tego zażyczy, wypożyczalnia z przyjemnością dostarczy jej drugą parę pilotów i będzie mogła zawieźć ojca do domu, a tam zje z nim śniadanie i otoczy go atmosferą spokoju i miłości. Umieściłaby go w pokoju z dużym płonącym kominkiem i szerokimi oknami z kojącym widokiem na nieruchome pola i zaśnieżone lasy oraz daleki łańcuch gór – taka sceneria prędzej uleczyłaby jego umysł niż regały pełne segregatorów, dokumenty z wykresami, prawnicze dyskusje i arkusze kalkulacyjne. Mimo to nie do niej należała decyzja. Nawet jeśli miała inne intencje niż jej siostry, nie mogła posługiwać się tymi samymi metodami co one. Gdy ojciec się zbudzi, musi go spytać, co chce robić.

Policyjne śledztwo w sprawie samobójstwa Petera Walkera poruszyło Abby bardziej, niż była gotowa okazać. Gdy czekała w udreće na opóźniający się start Global One, była wręcz bliska paniki. Niemal winiła

się za to, że uruchamiając głupią zapalniczkę, puściła w ruch te wszystkie międzynarodowe komplikacje, lecz gdy gdzieś w irlandzkiej przestrzeni powietrznej samolot wzbił się na wysokość przelotową, z nagłą irytacją zdała sobie sprawę, że Walker swoim bojaźliwym zachowaniem właściwie sam się prosił o karę. Podpalając go, wyświadczyła mu wręcz łaskę: pokazała, że niepotrzebnie się boi, bo wcale mu nie grozi spalenie żywcem, zapłonąłby najwyżej niegroźnym błękitnym płomieniem, jak omlet norweski czy bożonarodzeniowy pudding. Normalny człowiek otrząsnąłby się z tego lub walczył, Walker jednak był znerwicowanym popaprańcem, człowiekiem, który zarabiał na życie tym, że nie wie, kim jest. Czego można było się spodziewać po tak zdegenerowanym osobniku?

Choć oskarżenia pod jej adresem były zupełnie kuriozalne, należało przygotować jakąś linię obrony. Najważniejsze to nie zaprzeczać całej tej historii, tylko ją uzupełnić. Jej siostrzyczka wprawdzie nie kryła, że leci na ich nowego żołnierza, świeżo zrekrutowanego przez Kevina, było jednak oczywiste, że to właśnie Jesus musi wziąć na siebie siłę upadku. Nie można było poświęcić doktora Boba, który za chwilę miał zostać jednym z dyrektorów trustu, a z dwóch ochroniarzy łatwiej było zatrzymać Kevina, który był z nimi od lat.

Tak, właśnie tak się to wydarzyło: to J., głuchy na prośby reszty zespołu, podpalił nieszczęsnego komika; wcale go zresztą mocno nie poparzył, ale niewątpliwie wykazał się nadgorliwością w wyciąganiu informacji od Walkera. Na jego obronę przemawiało to, że wraz z całą ekipą zamartwiała się, czy sędziwy Henry Dunbar nie zamarzy gdzieś na śmierć na śnieżnych pustkowiach Kumbrii, dokąd zawlokła go żałosna mieszanka własnego pogubienia, oburzającej niekompetencji personelu Meadowmeade oraz zgubnego uzależnienia Walkera od alkoholu. Jeśli J. (w tym momencie doktor Bob mógłby zaświadczyć, że Jesus cierpi na syndrom stresu pourazowego po bohaterskiej służbie w Iraku i mylnie wziął Walkera za rebelianta, bo w przerażającym błysku przypomniały mu się barbarzyńskie tortury, jakim poddano go w zaułkach Bagdadu) zgodzi się spłacić dług wobec społeczeństwa i spędzić kilka lat w więzieniu, po wyjściu na wolność będzie na niego czekać kilka milionów dolarów. Im dłużej Abby o tym rozmyślała, tym była spokojniejsza. Normalnie do poradzenia sobie z takim kryzysem wystarczyłoby parę godzin snu, cała sprawa rozrosła się jednak w jej

głowie do przesadnych rozmiarów przez stres związany z prywatyzacją trustu.

Abby na ogół przestawała się martwić, gdy tylko przypomniawszy sobie, jak wiele rzeczy można załatwić za pomocą pieniędzy. Skoro nawet zagładę środowiska naturalnego można spieniężyć za pomocą podatku węglowego czy handlu uprawnieniami do emisji, jakżeż mogła się obawiać, że nie znajdzie się finansowe rozwiązanie dla jakiegoś durnego, staromodnego, prywatnego samobójstwa? To dobitnie pokazywało skalę jej stresu. Kiedy wszystko się już skończy, zamierzała zrobić coś, co jej się od dawna należy, czyli wyjechać na miesiąc do Canyon Ranch – nawet gdyby miała przez to zmienić plany na wiosnę.

– Ciągłe ją kochasz, co? – spytał Wilson.

– Mhm – powiedział Chris. – Końca nie widać.

Samochód skręcił w Madison Avenue i ruszył w stronę śródmieścia między rzędami lśniących przepysznie w zimowym mroku sklepów. Chris już w tej chwili tęsknił za Florence. Kochał ją zawsze całym sobą; była jedyną kobietą, jaką kochał i zarazem lubił, jedyną, z jaką mógł z dumą dokądś wyjść, ale i z radością zostać z nią w domu, jedyną, która działała na niego zarazem ekscytująco i kojąco. Przez ostatnie kilka dni nie rozstawali się niemal na chwilę, a choć mieli spotkać się ponownie następnego ranka, ten etap ich podróży nieodwołalnie się zakończył. Dzisiejszy wieczór Florence spędzi w swoim mieszkaniu, a niedługo będzie już z powrotem w domu ze swoją rodziną. Gdy wracali z Londynu, korzystając z ostatniej może szansy na rozmowę na osobności, pogratulowali sobie nawzajem, że zachowali się powściągliwie, a pobrzmiewający w tych słowach humor pomieszany z żalem wskazywał, że niewiele brakowało, by tę powściągliwość odrzucili. Chris przyznał, że mimo wszystko zachowali się rozsądnie, ale to tylko bardziej niż kiedykolwiek rozpało jego tęsknotę. Czuł, że należał się im obojgu pocałunek za to, że byli tak opanowani i nie pocałowali się wcześniej. Właściwie, zważywszy na to, jak poprawnie się zachowali, równie dobrze mogli jednak związać się ze sobą ponownie, zamieszkać razem i mieć dzieci. Skoro przyzwoite zachowanie było tak przykre i kłopotliwe, czy nie lepiej zachowywać się nieprzyzwoicie? Chris czuł ból rozstania, mimo że wcześniej przecież wcale nie czuł radości ponownego złączenia.

– Jakaś część mnie uważa, że ten ostatni przyływ uczucia wiąże się z jej niedostępnością – powiedział Chris. – Gdy byliśmy razem, rozstawaliśmy się co kilka miesięcy.

– Czasem miałem wrażenie, że co kilka godzin – przyznał Wilson. – Pamiętam, jak kiedyś pojechaliśmy z Henrym do Chin, a po powrocie stwierdziliśmy: „Jejku, dzieciaki znowu są razem!”. Okazało się, że gdy nas nie było, zdążyliście się rozstać i zejść z powrotem.

– Tak było. Ale teraz jest inaczej.

Umilkł, żeby przypomnieć sobie, ile jest ironii i daremności w utrzymywaniu tak dobrych stosunków z byłą dziewczyną, która jest już szczęśliwa w małżeństwie, ma dwoje dzieci i spokojnego, ale wspaniałego męża. Poczuł ulgę, gdy samochód skręcił w 76th Street i zatrzymał się przed wejściem do hotelu. Chciał wreszcie rozproszyć melancholię zwyczajną, praktyczną krzątanią.

– Kto wie? – odezwał się jeszcze.

Wilson wyciągnął rękę i dotknął jego ramienia w geście milczącej solidarności.

Bob zażądał, by z lotniska odebrał go osobny samochód. Musiał jak najszybciej rozmówić się z Cogniccentim. Sporo planowania kosztowało go już samo umówienie się na rozmowę. Mieli się zdzwonić o 23:15, kiedy Steve będzie wracał do domu po kolacji, na którą wybierał się bez żony – sam na tylnej kanapie swojego samochodu, oddzielony przegrodą od kierowcy, miał znaleźć kwadrans na rozmowę z Bobem. Bob zamówił sobie stosowną staroświecką limuzynę, żeby również być oddzielony od szofera. Gdy przylatywał na pokładzie Global One, zwykle pozwalał się komuś podwieźć lub zamawiał zwyczajny samochód, czyli taki, który wyglądał, jak gdyby zaprojektowano go do przewiezienia plutonu piechoty morskiej przez ogarnięte wojną ulice Mogadyszu, a nie jak żywcem wyjęty z historii muzyki rockowej – na szczęście towarzysze podróży byli zbyt zajęci, by zauważyć tę zmianę i skomentować ją.

Bob przespał się co prawda kilka godzin w samolocie, ale był tak kompletnie wyczerpany po wydarzeniach ostatniego tygodnia, że nie działały na niego już żadne stymulanty. Przy odrobinie szczęścia po powrocie do mieszkania zapadnie od razu w głęboki sen, prześpi dziesięć godzin i rano może podziała na niego adderall. Steve pewnie zauważy, że

jest otępiały, ale Bob miał mu do przekazania właściwie tylko jedną wieść: Dunbar wrócił do gry.

Ponieważ była 23:02, a Steve był maniakiem punktualności, Bob pozwolił sobie na zamknięcie oczu i oczyszczenie myśli. Nie był w stanie myśleć o niczym, o czym powinien był myśleć, i właściwie to dobrze, zważywszy, że nie był w stanie myśleć w ogóle. Przez ostatni tydzień nie potrafił przestać myśleć; teraz doszedł do ściany i nie potrafił już sklecić ani jednej myśli.

Cholera! Chyba zasnął. – Gdzie ja jestem? – pomyślał. Przez chwilę wpatrywał się ogłupiały w ekran taniego telefonu popiskującego obok na czarnej skórzanej kanapie. Wreszcie przypomniał sobie, co ma robić, i łapczywie chwycił aparat.

– Steve! – powiedział nieco zbyt głośno i pośpiesznie.

– Bob! Co się stało? Spałeś? Już miałem się rozłączyć.

– Nie, coś ty – odparł Bob. – Dopiero przed chwilą wsiadłem do samochodu, nie zdążyłem jeszcze wyjąć telefonu z torby. Wylądowaliśmy trochę później, niż się spodziewałem.

Bob sam się zdziwił, po co właściwie kłamie. Na ogół był znacznie bardziej prawdomówny niż siostry Dunbar, bo uważał, że im więcej niepotrzebnych kłamstw, tym większa groźba ich wykrycia. Normalnie przyznałby po prostu, że sobie przysnął, Cogniccenti jednak wytwarzał wokół siebie atmosferę paranoi. Na przekór swojej zwodniczej jowialności sprawiał wrażenie, że nieustannie szuka u każdego słabości, niczym niedźwiedź polarny opukujący krę, by wyciągnąć małą foczkę kryjącą się pod lodem.

– Jak było w Austrii? – spytał Steve. – Zamknęliście staruszka w zakładzie chronionym przez strażników z wilczurami?

– Hm, właściwie to nie poszło nam tak, jak planowaliśmy – odparł Bob. Momentalnie poczuł się zepchnięty do defensywy i zastanawiał się, czy Cogniccenti nie może jakimś sposobem odebrać mu wpłaconych pieniędzy.

– To znaczy?

– Florence znalazła ojca przed nami i przywiozła go tutaj z powrotem.

– Spierdoliłeś sprawę, Bob – powiedział Steve zimno. – Nie tak się umawialiśmy. Dunbar to jeden z najtwardszych negocjatorów na planecie; koniecznie musimy się go pozbyć. Czy pozbiera się na tyle, by przyjść w czwartek na to ich zebranie?

– Nie ma mowy – stwierdził Bob. – Prawie trzy dni włóczył się w burzy po Krainie Jezior, nie mając co jeść ani gdzie spać. Aż dziw, że w ogóle przeżył. Mark Rush widział go dziś rano, mówi, że stary to fizyczny wrak, kompletnie rozchwiany mentalnie. Przykro mi, że nie daliśmy rady go złapać. Florence wezwała policję i...

– Nie obchodzi mnie, co się stało – przerwał mu Steve. – Ja patrzę tylko w jednym kierunku: przed siebie. Po tej rozmowie masz zniszczyć telefon, z którego ze mną rozmawiasz. Ja zrobię to samo z moim.

– To jak się z tobą skontaktuję?

– Nie skontaktujesz się. To nasza ostatnia rozmowa przed zawarciem transakcji. Potem możemy się spotkać i wypić toast.

– No dobra – powiedział Bob, choć nigdy dotąd nie słyszał w niczym głosie mniejszej chęci, by wypić z nim toast za cokolwiek. Nim zdążył wydusić z siebie jakieś okrągłe zdanie, by przyjaźnie zakończyć rozmowę, zorientował się, że Steve już się rozłączył. – Ty też się pierdol – mruknął. Opuścił szybę i cisnął swój telefon Unicomu pod koła samochodów pędzących zatłoczoną czteropasmówką.

Nicznym pływak, który najpierw musi wydmuchać wodę z rurki, żeby wrócić do mocnego, rytmicznego oddychania, Dunbar zrzucił z siebie ciężar koszmarne snu, w którym był jeleniem i ścigały go psy oraz ludzie chcący wydrzeć mu serce. Wynurzył się na tyle, że słyszał swój ociężały oddech i wiedział, że to tylko sen, lecz nie zbudził się jeszcze do końca i nie orientował się, gdzie jest. Jego umysł był obolałą zbitką czystych emocji, pozbawionych świadomego ukierunkowania czy też poczucia kontekstu. Strach, tęsknota i nadzieja pulsowały w nim w nadmiernych dawkach, a każde uderzenie tego pulsu wpychało go z powrotem w senne rojenia. Dunbar wyobrażał sobie, że wypęła z rozhukanego morza na skalisty brzeg i każda fala bezwzględnie stara się wciągnąć go z powrotem do wody. Przy kolejnej próbie wybudził się nieco bardziej. Ostre skały z jego pólśnu raziły go w gołe stopy i ręce, gdy próbował odczołgać się poza zasięg wybuchających fal. Czuł, że piecze go pokaleczona skóra. Gdy jednak wydobył się ze snu jeszcze nieco bardziej, obraz morskiego brzegu cofnął się i zniknął. Zamęt w jego głowie nie przybierał już formy przytłaczających wizji, tylko nierozwikłanych problemów. Pamiętał, że niedawno widział Catherine, ale wiedział, że to

niemożliwe, chyba że on także już nie żył, w co nie bardzo chciało mu się wierzyć. O co tu, do diabła, chodziło?

Otworzył oczy. Z całą pewnością jeszcze nie umarł, chyba że śmierć była idealną repliką życia. Być może zmarłych po prostu usuwało się z widoku, jak rzeźby, które chowa się do muzeów, by chronić je przed rozszalałymi tłumami i kwaśnymi deszczami, zastępuje się je kopiami i potem te kopie górują nad placami i odkopanymi ruinami miast. Na tych spornych granicach wszystko wydawało się możliwe, ale co właściwie te granice oddzielały: życie od śmierci czy rozsądek od szaleństwa? Dunbar nie potrafił już określić, co jeszcze należy do niego.

– Halo? – zawołał cicho, nie wiedząc, czy tym wołaniem ściągnie pomoc, czy kolejną udrękę. Po chwili zawołał nieco głośniejszym głosem, może dlatego, że ból niezrozumienia, co się dzieje, był jeszcze gorszy niż ewentualność, że może mu się stać coś złego. – Halo?

Drzwi otworzyły się i do pokoju weszła śliczna kobieta. Niedawna przeszłość, przesłonięta majakami i myślowymi spekulacjami, w jednej chwili wróciła w jego głowie na miejsce.

– Florence – powiedział. – To ty.

– Tak, tatusiu.

– Uratowałaś mnie, kiedy się zgubiłem.

Florence podeszła, usiadła na brzegu łóżka, odruchowo wyciągnęła rękę i odgarnęła ojcu kosmyk włosów z czoła, po czym przyłożyła mu dłoń do policzka, jak gdyby był dzieckiem, a ona sprawdzała, czy ma gorączkę. Dunbar chwycił jej rękę i nakrył ją swoją dłonią. Był tak złaźniony czułości, że w oczach momentalnie stanęły mu łzy.

– Lecieliśmy do Londynu – stwierdził.

– Zgadza się. A teraz przylecieliśmy do Nowego Jorku.

– Do Nowego Jorku – powiedział Dunbar, jak gdyby słyszał o tym mieście, ale nigdy sobie nie wyobrażał, że kiedyś do niego trafi.

– Czekałam, aż się obudzisz. Pomyślałam, że jeśli chcesz, zabiorę cię do mojego mieszkania w mieście albo – zawahała się – polecimy do mojego domu w Wyoming. Nigdy tam nie byłeś, a jest tam naprawdę przytulnie. Dokoła są przepiękne pola.

– Żadnych pól.

– Oglądałbyś je z bezpiecznego miejsca – powiedziała Florence. – Nie błąkałbyś się po nich.

– Żadnych pól – powtórzył Dunbar stanowczo. – Czy ja nie mam w planach jakiegoś zebrania? Wilson tu był, mówił o jakimś zebraniu.

– Pójdiesz na to zebranie, jeżeli będziesz chciał. Najważniejsze, żebyś trochę odpoczął.

– Już trochę odpocząłem. – Dunbar dźwignął się na poduszkach. – Która godzina?

– Wpół do trzeciej, środa nad ranem – odparła Florence, na poły zadowolona, a na poły zaniepokojona tym, że w ojcu zaczyna odżywać dawna władczość. – Wszyscy jeszcze śpią i są daleko stąd, więc nie mamy nic do roboty, możemy pojechać do domu i odsapnąć.

Dunbar znów opadł na poduszki, jak gdyby ktoś wydał mu komendę „spocznij” po oficjalnym i sztywnym salucie.

– Nic do roboty – powiedział. Łzy potoczyły mu się po zmarszczkach i bruzdach policzków. Te trzy słowa na chwilę jakby dały mu wytchnienie od cierpienia, nie mógł jednak pozostać w tym stanie zbyt długo.

– Czy ty mi wybaczysz? – spytał. – Byłem zupełnie pogubiony, nie tylko ostatnio, ale zawsze...

– Nie mam ci czego wybaczać – przerwała mu.

– Tylko to się liczy – powiedział, ściskając jej rękę.

– Możemy po prostu stąd odlecieć. Jeżeli tylko to się liczy, odlećmy stąd i zapomnijmy o zebraniu.

– Ale zebranie też się liczy. – Dunbar ponownie nabrał wigoru. – Nie mogę pozwolić, by twoje siostry przejęły trust. Chcę przekazać go tobie i twoim dzieciom.

– Nam niczego nie brakuje.

– Nie brakuje – w głosie Dunbara znów wybrzmiało zdumienie. – Niczego ci nie brakuje i nie ma nic do roboty. – Pozwolił, by te dwa proste zdania lśniły przez chwilę, jak ktoś, kto podnosi klejnot pod światło i sprawdza, czy nie ma ukrytych skaz, lecz potem, jak gdyby właściwie nigdy nie chciał ich kupić, potrząsnął głową i oddał je Florence. – Nie można im na to pozwolić.

– One już takie są – powiedziała Florence. – Niech mają, co chcą.

– Nie – odparł Dunbar. – To moja spuścizna.

Była piąta rano, gdy Jesus wychodził z wyłożonego marmurową posadzką holu kamienicy Megan, mijając rozspanego, łypiącego pogardliwie nocnego portiera, który doskonale wiedział, o co chodzi, i nie kwapił się, by otworzyć drzwi najnowszemu „osobistemu trenerowi” pani Allen.

Na Park Avenue było ciemno i nadspodziewanie ciepło jak na tę porę roku. Ulicą przejeżdżały taksówki, J. wolał jednak się przejść, by nie rozpraszać niesamowitego uczucia, które rozpływało się po jego ciele. Po raz pierwszy w życiu był zakochany, naprawdę zakochany. Pragnął poddać się Megan bez reszty, spoić się z nią w jedno, stać się przedłużeniem jej woli. Takie wyrzeczenie siebie dla innej osoby nie zdarzyło mu się od czasów, gdy był malutki i w naturalny sposób kochał całym sercem swoją mamę – niestety mama, zamiast się o niego troszczyć, szybko zaczęła sama potrzebować jego ochrony i pociechy. Oczywiście był w stanie zadbać o bezpieczeństwo Megan, tu jednak chodziło o coś więcej: Megan była magiczną kobietą, jakiej zawsze potrzebował, taką, która była gotowa otoczyć go całkowitą opieką. Powiedziała, że chce z nim żyć, chce mieć go przy sobie w każdej chwili, bo czuje się przy nim zarazem bezpieczna i podekscytowana, a to przecież marzenie każdej kobiety. Gdy tylko Jesus wyświadczy jej „specjalną przysługę”, o którą go poprosiła, zabierze go do swojego domu w Maui, „istnego raju na ziemi”. Pokazała mu zdjęcia olbrzymiego białego domu na szczycie hawajskiego wzgórza, ze ścieżką schodzącą na prywatną plażę i mangowcami, z których można zrywać owoce, sięgając ręką. Gdy patrzył na te zdjęcia, w głowie wyświetlał mu się film przedstawiający wszelkie sposoby, jakimi zamierzał doprowadzić ją do szaleństwa z rozkoszy, odsuwał jednak od siebie te pornograficzne fantazje, bo chodziło o coś więcej niż tylko o seks: J. przeżywał coś totalnego, jak gdyby byli z Megan jedną osobą. To, że musiał teraz się z nią rozdzielić, było dla niego obezwładniające jak cios przyjęty ze związanymi rękoma. Megan i J. byli sobie przeznaczeni, mieli być już na zawsze razem.

J. nie zamierzał pozwolić, by cokolwiek odciągnęło jego uwagę od tego pięknego uczucia. Wszystko inne potrafił oddelegować do swojego wewnętrznego sierżanta, tego zimnego drania, który załatwiał sprawy,

nie tracąc czasu na zbędne refleksje. Jeśli trzeba dać komuś nauczkę, sierżant był właściwym człowiekiem. Jeśli trzeba sprawić, by ktoś zaczął bać się Boga, sierżant stawał na rozkaz. Wystarczy powiedzieć słowo. Zrobi się. Nie ma problemu.

Mark nie do końca był dumny z tego, co zrobił, ale jego całościowa duma, niczym duży i zdywersyfikowany portfel, mogła bez trudu przetrwać spadek poszczególnych akcji czy wstyd związany z poszczególnymi incydentami. Zresztą czy to naprawdę takie wstydlive: skorzystać z podwózki do domu rodzinnym samolotem? Co prawda czuł się trochę dziwnie, gdy prosto z wynajętego odrzutowca Florence popędził do, jak można by pomyśleć, wrogiego obozu, ale im więcej o tym myślał podczas lotu, tym bardziej dochodził do wniosku, że zasadniczo uważa siebie za państwo neutralne, coś w rodzaju Szwajcarii, która przygląda się, wprawdzie z niesmakiem i żalem, ale bezstronnie, rozszalałym armiom niekompetentnie wyrzynającym się na błotnistych równinach, daleko poza strzeżonymi górskimi rubieżami jego obojętności. Tylko jedna rzecz nie spodobała mu się jeszcze bardziej niż to, w jaki sposób jego żona potraktowała Dunbara: to, jak Dunbar potraktował jego – machając drżącym palcem i ciskając mu w twarz nieuzasadnione oskarżenia, w dodatku przy ludziach, przy Wilsonie i jego okropnym, nadgorliwym synalku, który aż przebierał nogami, by przelecieć Florence, która z kolei wracała galopem na białym rumaku do rodzinnych interesów, zaczynając od uratowania tatusia, a po drodze zagarniając jego osobiste aktywa. Było to doprawdy zbyt plugawe na jego gust.

Mark siedział w przytulnym, wyłożonym boazerią pokoju śniadaniowym na środkowym piętrze swojego mieszkania, z przyjemnością zajadając się tropikalnymi owocami i popijając kawę. Dał znak, by Manuela nalała mu kolejną filiżankę, i zaczął przeglądać środowowe gazety, leżące w schludnym stosiku na stole. Jakikolwiek obrót przyjmą teraz wydarzenia, jego naczelną zasadą będzie neutralność. Może i nazbyt wysoką cenę zapłacił za darmowy powrót do domu, opowiadając ze szczegółami o tym, czego się dowiedział od Florence, od tej pory jednak zamierzał trzymać się z dala od wszelkich niszczących konfliktów. Stanie się bardziej szwajcarski niż Szwajcaria. Jak dobrze, że umówił się z Mindy na obiad. Przy niej zawsze czuł się w porządku wobec siebie, czuł się dobrze z tym, kim jest i na czym mu naprawdę zależy. Osoba

Mindy przypominała mu, kim byli Rushowie, nim złączyli się z Dunbarami, i czym będą, gdy już Dunbarowie zejść ze sceny.

Mark sięgnął po „Wall Street Journal” i przebiegł wzrokiem po pierwszych stronach pełnych znajomych nagłówków o cenach ropy i spadku chińskich akcji, aż zatrzymał się na artykule, który już w pierwszych zdaniach umacniał w nim i tak okrzepłe przekonanie, że rząd coraz mocniej zaciska pętlę na niewinnej szyi amerykańskiego środowiska biznesowego. Jego zamiłowaniu do komfortu materialnego dorównywało jedynie zamiłowanie do komfortu intelektualnego, nawet jeśli wiązały się z nim pełne irytacji lub apokaliptycznie pesymistyczne przemyślenia o rzeczach, które go zupełnie nie obchodzą, takich jak wzrastające obciążenia klasy średniej czy dewastacja puszczy amazońskiej, postępująca w takim tempie, że w ciągu roku zniknął obszar równy terytorium Belgii (a może chodziło o roztopianie się pokrywy lodowej w Arktyce?). Mark chichotał na myśl, że Belgia stała się jednostką katastrofy ekologicznej – w czasach jego dzieciństwa była jednostką wielkości majątków ziemskich utraconych przez rozmaite rody w Polsce czy na Węgrzech (były to zresztą znacznie większe straty niż jakieś tam lodowce czy dżungle).

Składając gazetę na pół, by wygodniej mu się czytało, Mark zerknął kątem oka na telewizor wiszący na ścianie, włączony stale na informacje gospodarcze Bloomberg, z wyłączonym dźwiękiem i włączonymi napisami. Za plecami prezentera pojawił się napisany dużymi literami wyraz DUNBAR. To, co zobaczył, nie tylko odciągnęło jego uwagę od obiecującego artykułu o skandalicznych działaniach służących nadmiernej regulacji rynku, ale też wzbudziło w nim skrajnie odmienne emocje niż starannie odmierzone oburzenie, jakiego się spodziewał w pierwszej chwili. Unicom złożył mianowicie ofertę przetargową na akcje Dunbara z bardzo agresywnym przebicciem, oscylującym, jak szybko obliczył Mark, wokół dwudziestu dwóch procent, czyli znacząco wyższym niż zwyczajowa oferta piętnastu czy dwudziestu procent powyżej aktualnej ceny rynkowej. Mark poczuł, że ścierają się w nim dwa przeciwstawne impulsy. Jeszcze pięć minut temu pół miliona udziałów Dunbara, które otrzymał od teścia w prezencie ślubnym, było warte dwadzieścia trzy miliony dolarów, teraz ich potencjalna wartość wynosiła dwadzieścia osiem milionów – ale żeby skorzystać z tego upajającego

pięćmilionowego skoku wartości, musiałyby bez skrępowań wbić żonie nóż w plecy.

Ile pieniędzy trzeba mieć, by uznać, że już wystarczy? To pytanie dało mu do myślenia, bo pieniądze, które już miał, dawały mu bardzo niewiele satysfakcji. Mark bał się je stracić, a nie cieszył się z ich posiadania. Jednej tylko rzeczy był pewien: że jeśli zamierza skończyć z Abby, a zarazem nie chce, by jego życie stało się bardzo krótkie lub bardzo nieprzyjemne, nie może już więcej wyciągać od Dunbarów. Jeżeli dodać do tych dwudziestu ośmiu milionów wartość jego pozostałych udziałów, jego portfel był wart okrągłe pięćdziesiąt milionów. Mark mgliście przypominał sobie, że kiedyś wydawało mu się to olbrzymią sumą, lecz dwadzieścia lat spędzonych wśród miliarderów wypaczyło mu perspektywę i teraz postrzegał tę liczbę jako dziwnie nieadekwatną.

Ach, do diabła z tym! Lepiej już żyć w nędznej chacie z kobietą, którą się kocha, niż w pałacu z upiorną żoną. Żegnaj, Global One! Żegnaj, Home Lake! Żegnajcie, majątki o powierzchni Belgii! Nie lepiej byłoby uciec razem z Mindy i wieść skromne życie w Connecticut, a może w Palm Beach (no, tam pięćdziesiąt milionów rzeczywiście wystarczyłoby tylko na skromne życie), lub też (jeden szalony pomysł gonił drugi) w Santa Barbara? Cóż to byłby za relaks, żyć sobie z Mindy nad morzem, czytać książki, które zawsze chciał przeczytać, podróżować do miejsc, które zawsze chciał zwiedzić, i od czasu do czasu odwiedzać ulubione stare kąty. Miło byłoby zjeść czasem luksusowy obiad u Ciprianiego. „Jeden Bellini w ręku jest więcej wart niż dwa na ścianie”, powiedział kiedyś ojciec Marka, gdy nie dał się wyciągnąć z tej swojej ulubionej weneckiej restauracji i nie chciał przedzierać się przez tłumy turystów, by zaliczyć kolejny kościół czy muzeum.

Problem w tym, że oferta Unicomu mogła być obłożona zwyczajowym zastrzeżeniem, że w ograniczonym czasie musi zostać nabyty większościowy pakiet udziałów. Gdyby Mark zaoferował Unicomowi swój pakiet, lecz wykupienie by się nie udało i transakcja nie doszłaby do skutku, Abby na pewno dowiedziałaby się o tym i przybiłaby go do krzyża na całą resztę jego żalostnego żywota. Mark poznał kiedyś Cogniccentiego – typowy jajogłowy biznesu – nie mógł jednak skontaktować się z nim osobiście, byłoby to zbyt ryzykowne. Jeżeli chciał się dowiedzieć, do czego naprawdę zmierza Unicom, musiał stanąć przy Abby w tej trudnej chwili i okazać jej współczucie z powodu

oburzającego aktu piractwa Cogniccentiego; przede wszystkim zaś należało wy badać, czy ten akt ma szansę się powieść. Jakież to byłoby błogie, rzucić swój pakiet na szalę i przeważyć sprawę – być człowiekiem, który zniszczył Dunbar Trust!

Wstrząs, jakiego doznał Wilson, gdy po czterdziestu latach pracy Dunbar zwolnił go ze stanowiska swojego głównego prawnika, był błahostką w porównaniu z konsternacją, jakiej doznał teraz, gdy nie dowodził już obroną trustu, a mimo to widział na własne oczy, jak Unicom podejmuje próbę wrogiego przejęcia. Jeszcze niedawno żywił do Dunbara urazę, potem przyćmiło ją współczucie wobec starego przyjaciela, który znalazł się w poważnych tarapatach, teraz zaś to współczucie jeszcze spotęgowało w nim stan alarmu.

Jak mógł pomóc Dunbarowi? Zaczął wypisywać rozmaite kontrproponowania, po chwili jednak zdał sobie sprawę, że nie potrafi sobie odpowiedzieć na podstawowe pytanie: dla kogo właściwie ta lista byłaby przeznaczona? Florence i Henry nie byli zdolni z niej skorzystać, Abigail i Megan nie zasłużyły na pomoc, natomiast działowi prawnemu, którym Wilson do niedawna kierował, nie wolno było udzielać mu żadnych informacji ani konsultować się z nim w żadnych sprawach firmowych. Sedno problemu tkwiło w tym, że firma została pozbawiona przywództwa: przy Dunbarze każdy był uzurpatorem, teraz jednak Dunbar właściwie też stał się uzurpatorem, skoro zdumiewały go rzeczy, które powinny być dla niego oczywiste, i postradał instynkty, które kiedyś pozwoliły mu zbudować imperium. Swoje życie emocjonalne Henry zawsze traktował jako coś podrzędnego wobec spraw trustu, coś, czym może zarządzać za pomocą systemu negocjacji i motywacji oraz kar i wykluczeń. Teraz było dokładnie na odwrót: jedyną rzeczą, jaką mógł wnieść do swoich interesów, był własny emocjonalny chaos. Jedyny człowiek, który mógł uratować firmę, sam potrzebował ratunku. Mimo wszystko jednak zarząd mógł stanąć po jego stronie, o ile Henry na jutrzejszym zebraniu przynajmniej częściowo odzyska spójność myślenia i dar przekonywania. Jego rezygnacja z władzy w firmie, dziwny atak szaleństwa w Londynie oraz uwięzienie i ucieczka mogły stać się rewolucją, która ostatecznie przyniesie jakieś korzyści jego skołatanej duszy, lecz w obecnym kryzysie mogły jedynie przybliżyć katastrofę.

Wilson układał listę dalej, tyleż po to, by obmyślić ewentualną taktykę, ile żeby się uspokoić. Można by się powołać na przepisy antymonopolowe. Trzeba natychmiast wystosować skargę do Federalnej Komisji Handlu i Departamentu Sprawiedliwości i opisać zagrożenia dla konkurencyjności, jakie mogą nastąpić, jeśli pozwoli się korporacji medialnej wielkości Unicomu przejąć korporację medialną wielkości Dunbara. Wilson wypisał kolejny punkt: „Kret”. Była to mało prawdopodobna ewentualność, ale przecież nie można zapominać, że ludzie ogarnięci chciwością są zdolni do wszystkiego. Czy można wykluczyć, że jakaś osoba z bliskiego otoczenia Cogniccentiego lub jakaś fasadowa spółka skupowała akcje Dunbara w oczekiwaniu na wzrost ich wartości, który musiał nastąpić po złożeniu oferty przez Unicom? Z tego pytania w naturalny sposób wynikały dwa kolejne punkty, które wypisał na kartce: „Wojna podjazdowa” i „Zorganizowane działanie”. Czy to możliwe, że Unicom już od długiego czasu potajemnie skupował akcje, być może przez podstawione osoby lub firmy, a dziś rano otwarcie połączył siły?

Nim Wilson zdążył napisać ten ostatni punkt, zawahał się, bo zdał sobie sprawę, że właściwie sam nie do końca wie, do czego teraz należy dążyć. Jeśli Dunbar i Florence nie będą zdolni zaważać o trust, jedynym wyjściem będzie wesprzeć Abigail i Megan, pozwolić im przejąć władzę, żeby tylko ochronić pracowników i aktywa firmy przed wrogim przejęciem. Tego zaś Wilson bardzo chciał uniknąć. Niestety, prowadził walkę na dwa fronty i musiał wziąć pod uwagę, że trzeba będzie wejść w sojusz z którymś z wrogów. W normalnych warunkach z przyjemnością zasiadłby do gry w takie trzyosobowe szachy, ale teraz, zamiast jak zawsze rozkoszować się swoją jasnością myślenia i umiejętnością wyprzedzania przeciwników o kilka ruchów, nagle poczuł, że ogarnia go smutek i poczucie daremności.

Upuścił długopis na kartkę, zapadł się w fotelu i zapatrzył w bukiet suchych kwiatów na gzymsie hotelowego kominka. Przypomniał sobie, jak po raz pierwszy zobaczył Henry’ego w Eagle Rock, jego starym domu w Bridle Path, gdzie mieszkał z pierwszą żoną. Wilson miał wtedy zaledwie dwadzieścia dziewięć lat. Starszy partner z jego kancelarii, który zwykle obsługiwał Dunbara, wyjechał na weekend i ponieważ nie chciał zmieniać swoich planów, oddelegował na spotkanie Wilsona. Drzwi otworzyła pokojówka i poprowadziła Wilsona przez cały dom aż na taras,

z którego schodziło się do ogrodu na łagodnym stoku wzniesienia. Dunbar usiłował właśnie rozegrać z rodziną mecz baseballa. Abby i Megan, wówczas jeszcze małe dziewczynki, były znudzone, ale posłusznie wykonywały polecenia, a ich matka, już mocno wstawiona, w jasnożółtych spodniach i z papierosem w dłoni, stała na skraju zaimprovizowanego boiska i głośno rzucała drwiące uwagi. Gdy Dunbar spostrzegł gościa i poszedł go przywitać, wymuszona i nieudana gra rozsypała się, lecz już w tym pierwszym momencie Wilson ujrzał, że Dunbar nieustannie musi coś organizować, z czymś rywalizować, przez cały czas musi być czymś zajęty, nawet jeśli jest to tylko zabawa z niechętną rodziną w niedzielne popołudnie. Był pełen fenomenalnej fizycznej energii i to właśnie ona sprawiała, że każdy kontakt z nim miał aurę pośpiechu i nieprzewidywalności.

Na Dunbarze, w tamtym czasie kipiącym od niespełnionych ambicji, większe wrażenie robiło to, kim ludzie pragną zostać, niż kim są, spędziwszy więc kilka godzin z Wilsonem, zaproponował mu, by odszedł ze swojej kancelarii i podjął misję stworzenia działu prawnego, który podjąłby się przekształcenia jego firmy w spółkę akcyjną. Jakimś sposobem zdołał od razu zaskarbić sobie jego lojalność i tak głębokie oddanie, że Wilson pracował dla niego nawet w niedziele. Zaryzykował i odszedł z kancelarii. Wiedział, że przy Dunbarze będzie mógł dokonać wielkich rzeczy i zrobi znacznie większą karierę, niż wspinając się powoli po szczeblach hierarchii w kancelarii Stone, Rucker i White w Toronto.

Wilson ponownie sięgnął po długopis i kartkę. Musiał działać. Jeśli tylko Henry zdoła się trochę pozbiierać na tę jedną, ostatnią walkę, być może zdołają uratować dzieło jego życia przed żarłocznym Unicomem.

Po upojnej nocy z Jesusem Megan spała do południa. Zerknęła na telefon, na razie nie mając zamiaru do nikogo oddzwaniać, i zdziwiła się, zobaczywszy mnóstwo nieodebranych połączeń od Abby i niemal wszystkich członków zarządu. Dzwonili także bankierzy zaangażowani w przejście trustu przez Eagle Rock. No cóż, będą musieli zaczekać. Przed zebraniem zarządu zawsze było urwanie głowy, a ona teraz musiała się skoncentrować i włożyć wszystkie swoje umiejętności aktorskie w czekające ją za chwilę spotkanie z Kevinem. Chciała, żeby Kevin pozbył się J., by zaś nie pomyślał, że jego szefowa zanadto kieruje się kaprysmi, musiała mu dać przekonujący powód do sprzątnięcia nowego kolegi.

Wymyśliła bajeczkę, że przypadkiem zdradziła się przed J. z jakimś niezwykle ważnym sekretem wartym potencjalnie setki milionów dolarów i teraz J. szantażuje ją, że sprzeda to komuś z rywali – oczywistym wyborem był Unicom.

Nareszcie! Usłyszała dzwonek u drzwi, pobiegła więc otworzyć, wzburzona, głęboko zatroskana, z ogromnym smutkiem w oczach.

Dunbar doskonale wiedział, gdzie się znajduje: siedział w jadalni nowojorskiego mieszkania Florence, popijając z małej filiżanki poobiednią kawę. Florence rozmawiała przez telefon z Wilsonem, jego starym przyjacielem Wilsonem, któremu należały się przeprosiny za niesprawiedliwe wylanie z pracy. Cały pokój wydawał się zdumiewająco jasny w świetle dnia wpadającym przez szklane drzwi z tarasu. Dunbar otarł się o szaleństwo i śmierć, omal nie postradał zmysłów ze strachu, że może już nie zobaczyć Florence przed śmiercią, i oto teraz siedział w jej mieszkaniu. Jego samopoczucie było jeszcze dalekie od banalnej normalności, ale zarazem lepsze niż kiedykolwiek dotąd. Po raz pierwszy od kilku tygodni Dunbar miał poczucie, że jego ciało stanowi jedną całość, nie zaś jest polepione taśmą i powiązane sznurkiem, niczym stara, ulubiona zabawka. Wyspał się i najadł, a szkodliwe działanie leków, które wmuszali w niego doktor Bob i doktor Harris, pomału mijało, wypłukane przeżyciami w angielskich górach, i nie wpływało już na jego myślenie i nastrój. Dunbar zawsze traktował fizyczną stabilność jako coś oczywistego i uzmysławiał ją sobie dopiero wtedy, gdy ją tracił. Odzyskanie jej wprawiło go przez chwilę w równie wielkie zdziwienie jak to, że ją stracił. Było to wrażenie zarazem swojskie i dziwne, niczym ten moment na początku letniego urlopu, gdy wchodził do domu w Home Lake i nagle tysiąc zapomnianych szczegółów wracało na miejsce, przekonując go, że przez cały czas tam były.

Dunbar usilnie starał się określić, czym jest osobliwe uczucie, które czai się pod tymi upojnymi wrażeniami. Coś tam było na pewno, czego doświadczył może raz w życiu, na przykład wtedy, gdy Catherine zgodziła się za niego wyjść, ale nie, jednak nie, wtedy była to raczej euforia, a nie pewność czegoś fundamentalnego, jak teraz. Może wdzięczność? Może tak nazywał się grunt, na którym teraz stał. Dunbar czuł się – do jego słownika wkradały się nieobecne dotąd słowa – błogosławiony. To zupełnie nie leżało w jego naturze: starać się określić i nazwać uczucie

wymykające się zasadniczemu podziałowi na te, które lubi i których nie lubi. Nigdy nie potrafił nazywać swoich motywacji, nie miał do tego odpowiedniego języka, ale nie miał też motywacji, by sobie taki język wynaleźć. Zawsze działał, tylko działał, kierując się przekonaniem, które w jego mniemaniu rozumiało się samo przez się: że nie ma nic ważniejszego niż gromadzenie pieniędzy i umacnianie władzy. Było już zbyt późno na podróż w głąb siebie, wiedział jednak, że nie ma wyboru. W ostatnich tygodniach nie tylko otarł się o szaleństwo, ale też został wyrwany ze świata faktów, statystyk i praw, by przenieść się do świata metafor, intuicji i niejasnych powiązań. Na razie jeszcze nie opuszczał pola walki, wciąż tkwił w labiryncie i jedyną drogą ucieczki było przebicie się przez jego środek, czuł jednak, że jest już blisko tego środka i jeśli wystarczy mu czasu, zdoła odnaleźć wyjście.

– Dzień dobry, tatusiu – powiedziała Florence, wchodząc do jadalni.

– Skarbie! – zawołał Dunbar. – Właśnie sobie myślałem, że czuję się naprawdę szczęśliwy, wręcz błogosławiony.

Florence położyła mu ręce na ramionach, nachyliła się i pocałowała go w czubek głowy.

– Chyba jeszcze nigdy nie słyszałam w twoich ustach takich słów.

– Tak, to pierwszy raz. – Dunbar uśmiechnął się z lekkim zakłopotaniem.

Florence krzepiącym gestem ścisnęła go delikatnie za ramiona.

– Wilson chce przyjść o siedemnastej i omówić z tobą parę spraw, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Nie, skądże – powiedział Dunbar pospiesznie, by zagłuszyć w sobie poczucie winy. – Muszę go jeszcze raz przeprosić. Podziękowałem mu już i przywróciłem mu stanowisko.

– On ani na chwilę nie przestał dla ciebie pracować – stwierdziła Florence. – Ale jest szczęśliwy, że odzyskał twoje zaufanie.

– Sam chciałbym odzyskać swoje zaufanie – powiedział Dunbar.

– To wspaniale, że naprawdę wracasz do gry. Wiesz, pomyślałam sobie, że jeśli masz ochotę, moglibyśmy pójść na spacer po parku. Jest taki piękny dzień, a Wilson przyjdzie dopiero za kilka godzin.

– Z przyjemnością.

Gdy zjeżdżali windą, Dunbar czuł, że całe otoczenie sprawia mu niewytłumaczalną przyjemność. Windziarz Danny, z którym przywitała się Florence, wydawał się osobą wręcz niebiańsko dobroczyzną; brązowy

trójkątny stołeczek ze skórzanym obiciem w kącie windy miał osobliwy czar i intensywność rzeczy miniaturowej; ciemnoszaro-złote korytarze połyskiwały lustrami i mieniły się barwami kwiatów. Odźwierny był wyraźnie zakochany we Florence, ale czy można go winić? To wspólne wyjście przypomniało Dunbarowi *Dzień w parku*, jedną z ulubionych książek jego wczesnego dzieciństwa, w której Bobby, chłopczyk w krótkich spodenkach i żółtym sweterku, idzie ze swoją elegancką mamą, ubraną w kremową plisowaną sukienkę i ciemne okulary, by kupić w Central Parku balonik. W tej opowiadance właściwie prawie nic się nie działo, ale gdy Dunbar miał cztery latka, był nią zafascynowany; podobnie nieuzasadnioną radość czuł teraz, gdy razem z Florence przechodzili przez 5th Avenue i zmierzali w stronę najbliższego wejścia do Central Parku.

Gdy Florence spytała, którądy chce pójść, Dunbar wybrał alejkę skręcającą w stronę najbliższego stawu, gdzie ludzie puszczali żaglówki na wodę.

– Wiesz, myślałem o naszej wczorajszej rozmowie w samolocie – zaczął. – Czuję się teraz znacznie bardziej wypoczęty i...

– Błogosławiony? – spytała Florence z uśmiechem.

– Wiedziałem, że będziesz sobie pokpiwać z tego słowa. – Dunbar odwzajemnił uśmiech. – Chciałem powiedzieć „zwarty”, ale to by dziwnie zabrzmiało. Chodzi mi o to, że chciałbym przyjąć twoją propozycję i pojechać z tobą do Wyoming.

– To cudownie!

– Co najmniej na kilka tygodni, może dłużej.

– Ile tylko chcesz.

– Twoje siostry jeszcze o niczym nie wiedzą i formalnie muszą to jeszcze zaakceptować dyrektorzy, ale Wilson przekonał mnie, bym odkupił środki trwałe trustu, złożyłem więc mocną ofertę. To nie są najważniejsze aktywa firmy, ale na pewno dobre inwestycje: grunty na przedmieściach Vancouver, Toronto i innych dużych miast, warte prawie miliard dolarów. Przekażę je tobie i twoim dzieciom, razem z kolekcją sztuki i domami...

– Myślę, że mamy już tyle, ile trzeba – odparła Florence, wahając się nieco, by ojciec nie miał wątpliwości, że jest wzruszona jego decyzją. – A może by tak założyć fundację? Kupić trochę ziemi, ale nie budować na niej?

– Już ty dobrze wiesz, jak sprowokować starego kapitalistę – stwierdził Dunbar.

– To uczciwy układ: za każdy akr przeznaczony pod inwestycję kup sto akrów, na których nic nie będziesz robił.

– Pomyślę o tym – powiedział Dunbar, wiedząc już, że się zgodzi. – Ale wtedy ta ziemia będzie bezużyteczna.

– Bezużyteczna dla nas.

– Tak. Rozumiem – odparł Dunbar i umilkł na chwilę, po czym spróbował wrócić na pewniejszy grunt: – Twoje siostry zżera żądza władzy, a ja nie mogę udawać, że nie wiem, kto im ją zaszczepił, w tej chwili jednak nie widzę powodu, by nie mogły dostać tego, co chcą. Dunbar Trust nadal będzie jedną z największych firm na świecie, bez względu na to, kto nim kieruje. To będzie moja spuścizna...

Dunbar urwał nagle, bo Florence przycisnęła rękę do karku, a przez jej twarz przebiegł grymas okropnego bólu.

– Co się stało? – Chwycił ją za ramię.

– Przepraszam. Coś mnie bardzo zabolalo w karku. Jak gdyby użądliła mnie pszczoła. Tyle że o tej porze roku pszczoły śpią.

– Daj, popatrzę. Pory roku są teraz takie poplątane, nigdy nic nie wiadomo.

Florence oderwała dłoń od szyi.

– Krew ci leci – powiedział Dunbar.

– Pewnie jakiś dzieciak mnie trafił z wiatrówki. – Florence mówiła na pozór bez nerwów, ale była blada i wytrącona z równowagi.

– Musi cię zbadać lekarz – powiedział Dunbar. Poczuł, że łomocze mu serce, uszy wypełniło ogłuszające dzwonięcie.

– Och, nie trzeba, to nic takiego. Zdezynfekuję sobie ranę, a potem ochłoneę, gdy będziecie rozmawiać z Wilsonem.

– Wracajmy – zarządził Dunbar. Nie czuł się już tak zwarty jak ledwie kilka minut wcześniej.

Abby przyjęła roboczo, nie mając czasu głębiej tego przemyśleć, że jest to najgorszy dzień jej życia. Przez wiele godzin rozmawiała przez telefon z wyższymi menedżerami trustu i dyrektorami, którzy jutro o dziesiątej mieli pojawić się na zebraniu zarządu. W dodatku w tej nadzwyczajnej, krytycznej chwili Megan aż do piętnastej nie odbierała telefonu, a potem zdumiała się, słysząc wieści, o których wszyscy gadali bez przerwy od

otwarcia dzisiejszej sesji. Gdy w końcu Abby zdołała się do niej dodzwonić, nie mogła uwierzyć, że Meg nie miała pojęcia o ofercie Unicomu; podejrzewała nawet, że jej siostra mogła sprzedać swoje udziały Cogniccentiemu za oferowaną cenę. Byłoby to kompletne szaleństwo, ale Megan była zdolna niemal do wszystkiego.

Abby i Meg miały po piętnaście procent akcji trustu (dziesięć procent miały od początku, potem przypadło im jeszcze po pięć procent udziałów Florence, gdy ta wycofała się ze spółki) i wystarczyłoby zdobyć jeszcze po dwadzieścia, by zablokować większość, jakiej potrzebował Unicom, żeby narzucić trustowi fuzję. Abby była jednak wściekła, że musi obmyślać kroki obronne, skoro jeszcze przed chwilą planowały z Megan po cichu przejąć spółkę i zmienić ją w firmę prywatną, i to za cenę wyraźnie niższą niż ta, jaką Unicom proponował teraz udziałowcom. Najpierw Abby pomyślała sobie, że może zręczniejszym zagranem byłoby przedstawić prywatyzację trustu przez Eagle Rock jak rycerza na białym koniu, który właśnie się nadarzył, uzbrojony po zęby i gotów wykupić spółkę, by ją uratować – lecz niestety przedstawienie oferty Eagle Rock jako planu ratunkowego, dawno obmyślonego i możliwego do zastosowania w tej pilnej sytuacji, uniemożliwiła druga najgorsza wiadomość dzisiejszego dnia: że Dunbar przywrócił Wilsona na stanowisko i obaj zamierzają zjawić się na jutrzejszym zebraniu zarządu.

Najważniejszym problemem były jednak pieniądze. Abby i Bild musieli zwiększyć dług. Eagle Rock miał już mocne linie kredytowe w JP Morgan, Citibanku i Morgan Stanley, mogło jednak się okazać, że trzeba będzie zacząć wyprzedawać poboczne aktywa, by zyskać środki na odkupienie reszty spółki. Wszystko robiło się przytłaczająco skomplikowane. Dlaczego Bild nie odbierał telefonu, skoro dzwoniła do niego co chwila? To jedyny człowiek, który mógł obmyślić jakiś plan i wprowadzić go w życie.

Dunbar jeszcze raz podziękował Wilsonowi, zegnając się z nim przy windzie. Przeprosiny, jakie mu złożył, wypadły równie naturalnie jak zapewnienie Wilsona, że nie ma o czym mówić. Podczas trzygodzinnej rozmowy Wilson namówił Dunbara, by jeszcze raz stanął do walki. Wieść o ofercie przetargowej Unicomu oraz pogłoski docierające od niektórych dyrektorów – tych, u których lojalność wobec Dunbara i Wilsona przeważała nad dyskrecją – że Abby i Megan próbują sprywatyzować

spółkę, przekonały Dunbara, że nie powinien jeszcze przechodzić na całkowitą emeryturę.

Dunbar chciał jak najszybciej zobaczyć Florence, która odpoczywała po spacerze w parku. Gdy myślał o czekającej go nazajutrz batalii, wyczuwał w sobie coś radykalnie nowego, czego nie potrafił rozpoznać. Ewentualność, że firma nosząca jego nazwisko może zostać wchłonięta przez Unicom, teoretycznie budziła w nim opór, podobnie jak ta, że jego córki mogą ją sprywatyzować za cenę potężnego długu, co oznaczałoby zwolnienia tysięcy pracowników i wydzielenie niektórych mniej zyskowych, ale najbardziej wpływowych i znaczących holdingów. Mimo wszystko jednak w jego reakcji na te katastrofalne wieści czegoś brakowało. Dunbar głowił się nad tym i nagle uzmysłowił sobie, że po prostu nie czuje wściekłości. Było trochę tak, jak gdyby zdjął ze ściany opatrzony obraz i zauważył go dopiero dlatego, że został po nim pusty hak i prostokąt brudu na ścianie: dopiero nieobecność dawnej furii uświadomiła mu, jak wiele swojej słynnej „energii” czerpał z bezgranicznej frustracji, z nieustannych utyskiwań nad niezadowolającym stanem rzeczy, które co prawda od czasu do czasu milkły, gdy zdarzało się jakieś znaczące zwycięstwo, ale potem zawsze wracały. Dunbar miał wrażenie, że pojednanie z Florence napełniło go tak głębokim spokojem, iż nie zdoła go zakłócić zbliżająca się wojna, choćby nawet o tak osobistym charakterze. Jutro pójdą razem z Wilsonem na zebranie i spróbują wyrwać kontrolę nad firmą z rąk jego chciwych i samolubnych córek, a potem przekażą ją dwóm najbardziej zaufanym dyrektorom wykonawczym. Przedstawią swoje racje i po raz ostatni połączą siły, by uratować firmę – ale jeżeli się to powiedzie, kolejne kroki Dunbar pozostawi swoim dyrektorom oraz losowi i cokolwiek się zdarzy, razem z Florence zajmie się życiem rodzinnym i filantropią. Dunbar został jakby na nowo wytopiony w piecu, którego ani nie szukał, ani nie zbudował, i czuł, że nie ma już w nim wściekłości ani ambicji, że została tylko miłość. Uniósł rękę i oparł się o ścianę, bo aż stracił dech, gdy sobie pomyślał, jak wspaniałe jest to, co mu się przydarzyło, i że mógł umrzeć, nim tego doświadczy.

Mimo wyczerpania doktor Bob był zbyt niespokojny, by spać, jęknął więc, zaklął, odrzucił kołdrę i opuścił nogi na podłogę. Była dopiero piąta rano, ale w zasadzie mógł już wstać. Dzień, który się właśnie zaczynał, miał być najbardziej stresujący i kluczowy w jego życiu i Bob marzył, żeby już się skończył. Lawirując między Cogniccentim a siostrami Dunbar, zarobił dostatecznie dużo pieniędzy, by porzucić pracę i stać się lekarzem samego siebie, jedynym odbiorcą swoich wymyślnych recept i profesjonalnej opieki, odejść zaś musiał w taki sposób, by Abby i Megan nie miały dowodów, że je zdradził, i by Cogniccenti nie umocnił się w swoim chłodnym rozczarowaniu, że Bob go zawiódł i nie pomógł mu pozbyć się Dunbara. Dlatego się zabezpieczył, kupując bilet na lot o dziewiątej wieczorem do Zurychu. Teraz jednak musiał być przytomny. Wytrząsnął sobie na dłoń dwie trzydziestomiligramowe tabletki adderallu i popił wodą z butelki stojącej przy łóżku. Potem przypomniał sobie, że w ostatnich dniach słabo mu pomagały, i połknął trzecią.

– Kurwa, co jest, Dick? Wczoraj przez cały dzień nie odbierałeś telefonu, a teraz dzwonicz do mnie o wpół do siódmej rano?

– Szczerze przepraszam, Abby – powiedział Dick Bild – ale wczoraj znalazłem się w największym potrzasku w moim życiu. Unicom wrzucił granat do basenu i wynosiliśmy ludzi na noszach. Widziałem najtwardszych graczy giełdowych ze łzami w oczach. Całe biuro pracowało wczoraj nad jednym zadaniem: skąd zdobyć dodatkowe dwadzieścia procent akcji, żeby Eagle Rock mógł przynajmniej zablokować przejęcie przez Unicom. Mieliśmy dziś ubić interes życia, a okazało się, że naszym największym sukcesem będzie podwojenie długu, który już zaciągnęliśmy.

– Trzeba było wcześniej zabezpieczyć udziały – powiedziała gorzko Abby.

– Nie pouczaj mnie, co mam robić – odparował Dick z lekką groźbą w głosie. – Jeśli zaczniesz skupować za wcześnie, ceny idą w górę, a na koniec wszystkie sępy od arbitrażu w Londynie i Nowym Jorku rzucają

się na ciebie, by wydrzeć ci cały zysk. Tak czy owak, pięć najlepszych domów brokerskich krok po kroku skupuje dla nas udziały. Szacowaliśmy, że uda się to zrobić jeszcze przed waszym posiedzeniem, ale wczoraj, do cholery, kolejne domy odpowiadały nam, że nie zebrały jeszcze tyle, ile trzeba, lub że nie dadzą rady zebrać. Wydaje mi się, że ci skurwiele posprzedawali udziały Cogniccentiemu. Jakiś dupek musiał mu podpowiedzieć, gdzie iść po zakupy.

– Ktoś od nas?

– Abby, powiedziałem ci już, że widziałem biuro pełne mężczyzn zalanych łzami; opłakiwali swoje premie świąteczne. Poświęciliśmy trzy miesiące na ten manewr z Eagle Rock. Wszyscy w biurze są absolutnie oddani.

– Zaliczyliśmy monstrualną wtopę.

– Uspokój się. Mamy jeszcze parę opcji. Możemy dalej próbować skupić wszelkie ścinki, jakie tylko wpadną nam w ręce, możemy też złożyć kontrofertę, apelując do lojalności starych udziałowców Dunbara. Firmy brokerskie mają mnóstwo udziałów, ale dużo więcej jest wciąż jeszcze rozsianych po świecie, w rękach milionów zwykłych ludzi. Problem w tym, że aby przebić ofertę Unicomu, będziemy musieli renegocjować nasz kredyt.

– No dobra, pracuj nad tym – powiedziała Abby.

– Pracuję nad tym.

Dunbar ociągał się z pukaniem do drzwi, nie chciał zbudzić Florence. Gdy zajrzał do niej po pożegnaniu z Wilsonem, Florence przeprosiła go, że trochę ją mdli i wolałaby zostać w łóżku. Przyciskała ręce do podbrzusza i skarżyła się, że ma skurcze, co on taktownie uznał za informację, że ma miesiączkę i nie życzy sobie dalszych pytań. Powiedziała, że chce się wyspać, bo jutro czeka ich mnóstwo roboty, i ma jeszcze czas, by nieco dłużej odpocząć. Nie wybierała się przecież nawet na zebranie, a Wilson miał przyjechać po Dunbara dopiero za jakąś godzinę.

Dunbar zaczął przygotowywać się do wyjścia. Rozłożył na łóżku białą koszulę i ciemnoszary garnitur, kasztanowy krawat z subtelnym deseniem w romby i złote spinki do mankietów – strój, który nosił od dziesiątków lat, ale teraz wydał mu się dziwny i trochę komiczny. Gdy parę minut później stał pod prysznicem, czuł, że wystarcza mu, gdy woda, niczym deszcz spływający po stoku wzgórza, osobnymi strumieniami spływa po

jego ciele. Miał wrażenie, że nic więcej nie musi robić, że wystarczy nie robić nic. Wypełniał go niespotykany dotąd spokój. Unicom mógł wchłonąć jego firmę, jego córki mogły ją sprywatyzować, mogła też pozostać nietknięta, zarządzana przez lojalnych menedżerów wysokiego szczebla – w tej chwili godził się na wszystkie możliwe warianty. Czuł, że to poddanie się losowi jest podskórne, ukryte, ale zarazem oczywiste, jak łzy, które piekły go w kącikach oczu, ale były niewidoczne w strumieniach wody spływających mu po twarzy. Płakał z wdzięczności – i był wdzięczny, że płacze. Nie przejmował się nawet, czy aby nie stanie się starym mazgajem, który z byle okazji zalewa się łzami; czuł ogromną ulgę, że wreszcie nie musi się kontrolować. Dotychczas zawsze był przekonany, że dziełem jego życia było zbudowanie jednej z najpotężniejszych organizacji na świecie, teraz natomiast czuł, że to wszystko służyło temu, by mógł odzyskać niewinność. Była to wędrówka na pozór kolista, musiał przebrnąć niejako przez drugie dzieciństwo, ale potem odkrył niespodzianie, że idzie coraz dalej wstecz, że poprzez udękę w górach Kumbrii zmierza w stronę drugich narodzin. Pozornie kolista ścieżka w ostatniej chwili wprowadziła go do nowego królestwa, w którym wszystko wydawało się idealne – i naprawdę takie było.

Jakiś szczątek praktycznego zmysłu nakazał mu wreszcie zakręcić wodę, wyjść spod prysznic i owinąć się ręcznikiem. Wchodząc pomalutko do sypialni, Dunbar zerknął na ubrania rozłożone na łóżku, ale nie umiał poważnie potraktować myśli, że powinien zacząć się ubierać. Zapadł się w fotel stojący w kącie między oknem a komodą, zdumiony, że w tak późnym wieku przeżywa coś podobnego.

Rozległo się pukanie do drzwi. Nim Dunbar zdążył odpowiedzieć, weszła Florence w koszuli nocnej, podeszła chwiejnie do łóżka i opadła na materac. Twarz miała niesamowicie bladą, widać było, że zapanowanie nad swoim ciałem kosztuje ją dużo wysiłku.

– Przepraszam, tato – powiedziała z trudem. – Normalnie nie zawracałabym ci głowy, ale czuję się naprawdę okropnie. Nie wiem, co się dzieje. Wymiotowałam. Właściwie chyba muszę się przenieść do któregoś z pokoi dziecięcych, w moim trzeba posprzątać. Nie mogłam nad tym zapanować. Coś jest nie tak z...

Florence urwała i pochyliła się do przodu z rękoma splecionymi na piersi, jęcząc z bólu.

– Jezu. – Dunbar usiadł obok i objął jej zgarbione plecy. Ścisnął ją za ramię, bardziej po to, by pokrzepić siebie niż ją. – Musimy wezwać lekarza.

– Już wezwałam. Wpuścisz go, gdy przyjedzie? O Boże – jęknęła, pochyliła się do przodu i zwymiotowała.

– Skarbie, co się dzieje?

– Nie wiem...

– Połóż się, leż spokojnie, przyniosę miskę.

Dunbar podniósł się z łomoczącym szaleńczo sercem. Na dywanie ujrzał ze zgrozą kałużę krwi. Wybiegł chwiejnie z pokoju, czując, jak wzbiera w nim fala paniki oraz żarliwy protest: jeśli istniał Bóg i pozwolił, by Florence stała się poważna krzywda, nie był lepszy od obłąkańca i zbrodniarza.

Gdzie ten lekarz? Gdzie ten cholerny lekarz?

Kevin wprosił się na śniadanie, by „omówić pewne kwestie związane z bezpieczeństwem”, J. założył więc logicznie, że to on dzwoni do drzwi, przez dłuższą chwilę jednak nie otwierał: sporządzał sobie właśnie odżywkę energetyzującą i pobudzającą rozwój mięśni i trzeba by czterech silnych mężczyzn, żeby oderwać go od miksera. Idąc wreszcie w stronę drzwi, po drodze włączył czajnik, gdy więc otwierał Kevinowi, gościa przywitał jazgot miksera i bulgot gotującej się wody. Białe ściany surowo urządzonej kawalerki ozdabiał tylko jeden przedmiot: nad paletowym łóżkiem w kącie pokoju spoczywał na niemal niewidzialnych gwoździkach czarny, lekko zakrzywiony samurajski miecz.

– Hejka, stary! – zawołał Kevin z serdecznością, która od razu wydała się J. podejrzana. Na pewno przyszedł z jakąś nieprzyjemną prośbą lub niedobrymi wieściami.

– Jak leci? – spytał J., podchodząc do kuchennego blatu. Wyłączył mikser dokładnie w chwili, gdy czajnik doprowadził wodę do wrzenia i wyłączył się. Jesusowi podobała się ta bezbłędna skuteczność i niewysilona synergia. Od kiedy związał się z Megan, wszystko się pięknie toczyło – jak perfekcyjny seks lub perfekcyjna żołnierska intuicja, gdy strzela się w cienką ścianę, nie widząc przyczajonego za nią przeciwnika, i po drugiej stronie słysząc łoskot ciała padającego na podłogę. Miał gdzieś tego starego, skwaśniałego skurwiela Kevina, miał gdzieś jego narzekania, z jakimi na pewno przyłazł; jutro J. i Megan

polecą na Maui i będą łapać mango spadające z drzew. Gdy tak rozkoszował się w myślach swoim poczuciem wyższości, a także nie mniej wspaniałą perspektywą gigantycznego zastrzyku energii, jaką za chwilę miała mu zapewnić świeża czarna kawa połączona z dużą szklanką białkowej odżywki, jego uwagę przykuła delikatna zmiana w refleksie światła na stalowej powierzchni czajnika. W dziwacznie powiększonym odbiciu ujrzał, jak Kevin wsuwa rękę za połę swej brązowej skórzanej kurtki, i wojskowy trening podpowiedział mu momentalnie, że ta ręka sięga po broń.

Obrócił się na pięcie i machnął czajnikiem w powietrzu, aż struga wrzącej wody oblała Kevina od nadgarstka po twarz; jednocześnie z całej siły kopnął go między nogi. Gdy Kevin zgiął się wpół, J. grzmotnął go czajnikiem w ciemność, chwycił za prawą rękę i wykręcił ją, aż pistolet wypadł na podłogę. Kopnął broń w odległy kąt pokoju, uderzył Kevina pięścią w bok głowy, a potem podbiegł do łóżka i ściągnął ze ściany zakrzywiony czarny miecz.

Kevin, co trzeba mu oddać, był wojownikiem i choć mocno poparzony, częściowo oślepiiony i oszołomiony dwoma nokautującymi ciosami, zdołał się podnieść i zerwać kuchenny nóż z magnetycznego paska nad blatem. J. odrzucił pochwę i zbliżał się do przeciwnika z mieczem uniesionym nad głową.

– Chłopie, wiedziałem, że jesteś zazdrosny – powiedział – ale nie sądziłem, że sfiksowałeś.

– Zazdrosny? – odparł Kevin, usiłując zapanować nad bólem. – To ta zdzira mnie tu przysłała.

– Odszczekaj to kłamstwo!

– Nie kłamię, stary. Powiedziała, że ją szantażujesz, i kazała cię ukatrupić.

– Nie – powiedział J. – Nie!

Usiłował zaprzeczyć, ale zarazem wiedział, że Kevin mówi prawdę. Jediną rzeczą, jakiej mógł zaufać w tym gównianym świecie, była broń, którą trzymał w rękach.

– Nie! – krzyknął jeszcze raz i ugodził Kevina w szyję.

Chwilę później wytarł ostrze ściereczką do naczyń, włożył miecz z powrotem do pochwy i oczyścił umysł ze wszystkich myśli prócz jednej: o zemście.

– Powinieneś jechać na zebranie – powiedziała Florence.

– Nie zostawię cię – powiedział Dunbar. – Wilson może jechać sam, zastąpi mnie.

– Nie wyjdę stąd, póki się nie dowiemy, co się dzieje – odezwał się Wilson.

– Karetka przyjedzie za sześć minut – powiedział lekarz.

– Przestańcie już być tacy lojalni – powiedziała Florence, ale choć starała się, by jej głos brzmiał beztrosko i pragmatycznie, chwilę później musiała się odwrócić, pochylić nad miską i zwymiotować żółcią i krwią. – Zresztą nie chcę, żeby ktoś mnie oglądał w tym stanie.

– Czy chociaż ja mogę zostać? – spytał Chris, który siedział na skraju łóżka, z ręką opartą na kołdrze, pod którą rysowała się krzywizna jej nogi. – Nie zapominaj, że dwa razy objechaliśmy razem cały Meksyk, widziałem cię już w takim stanie – dodał z uśmiechem.

– To było co innego. – Florence po raz pierwszy okazała strach. – Czuję się tak, jakbym zwymiotowała całą siebie. Jeszcze nigdy w życiu tak źle się nie czułam.

Widząc wyraz twarzy ojca, Florence pożałowała, że pozwoliła sobie na takie wyznanie.

– Na litość boską! – krzyknął Dunbar do lekarza, jak gdyby liczył, że ten ugnie się pod jego emocjonalnym naciskiem i nagle objawi jakieś rozwiązanie. – Nie może pan czegoś zrobić?

– To nie jest zwykła wizyta domowa – odparł lekarz sucho. – Gdy przyjedzie karetka, podamy pacjentce silny środek przeciwwymiotny, rozpoczniemy przeczyszczanie węglem aktywnym, pobierzemy też próbkę krwi i skóry z nakłucia i przekazemy je do laboratorium patologicznego. Pacjentka w ciągu pół godziny znajdzie się na oddziale ratunkowym Presbyterian Hospital i będzie tam miała najlepszą opiekę medyczną na świecie. W tej chwili najlepsze, co możemy dla niej zrobić, to zachować spokój.

Dunbar tępo wpatrywał się w lekarza.

– Na oddziale ratunkowym – powtórzył ochryplym szeptem.

Megan siedziała w samochodzie, w zasadzie czekając, aż Abby wyjdzie z domu, tak naprawdę jednak czekała głównie na wieści od Kevina. Umówili się na szyfrowaną wiadomość. Godzinę po jego spotkaniu z Jesusem Megan wysłała Kevinowi SMS z prośbą o spotkanie w Dunbar

Building po zebraniu zarządu. Jeżeli Kevin pomyślnie załatwił sprawę z J., miał odpowiedzieć „Zrozumiano”; gdyby pojawił się jakiś problem lub opóźnienie, miał odpisać „Przyjadę”. Nie przysłał jednak żadnej odpowiedzi.

Megan nie pozwalała sobie na zmartwienie, nie robiła tego nigdy, lecz niepokój, inaczej niż większość jej usłużnych podwładnych, zbuntował się i bez reszty zapanował nad wyobraźnią. A jeżeli Kevin i Jesus jakoś się dogadali? W końcu byli towarzyszami broni. Kto wie, jakie chore więzi tworzą się między mężczyznami, którzy są oficjalnie uprawnieni do zadawania ran, śmierci i tortur? A jeżeli J. wyszedł ze starcia zwycięsko? Czy zdołałaby wtedy przekonać go, że Kevinem powodowała szaleńcza zazdrość i że zapali tysiąc świeczek, by podziękować Bogu za uratowanie jego cennego życia?

– Cześć! – głos Abby wyrwał ją z zamyślenia. – Co za popierdolony dzień...

– O, jesteś! Cześć, dobrze cię widzieć – odparła Megan. Chwyciła się sarkastycznego tonu, by nie utonąć w strumieniu pytań, który zalewał ją od dłuższej chwili.

– Przepraszam – powiedziała Abby – ale z samego rana miałam irytującą rozmowę z Dickiem Bildem. Spierdolił wszystko od początku do końca. Nie zdołał zapewnić udziałów, tak jak planowaliśmy. Będziemy musiały pożyczyć więcej pieniędzy, co zeżre nam sporą część zysków...

– Równie dobrze możemy w ogóle nie jechać na to jebane zebranie! – odparła Megan, zaalarmowana tym, że kwestię zarabiania pieniędzy przyćmiewa w jej głowie przerażająca wizja więzienia.

– Na litość boską, Meg... – zaczęła Abby, ale urwała, gdy ujrzała stężoną ze strachu twarz siostry. Prawie nigdy nie widywała Meg przerażonej, a dosłownie nigdy nie widziała jej w rozpacz, teraz zaś obie te emocje były widoczne w nieruchomym spojrzeniu jej wytrzeszczonych oczu. – Na co czekasz? – odreagowała złość na kierowcy. – Jedźmy!

– To będzie niezła zabawa – powiedział Cogniccenti, włączając komputer.

– Mamy połączenie z nowym członkiem zarządu Dunbar Trust, którego anonimowość ochronię, nazywając go po prostu doktorem Bobem.

– Ten dupek? A co on, kurwa, robi w zarządzie?

– Dziewczęta wciągnęły go tam w zamian za pewne przysługi.

– Jakie przysługi? Prochy? Czy coś więcej?

– Przypuszczam, że recepty krążyły między nimi całkiem swobodnie, ale Bob odegrał też kluczową rolę w odsunięciu Dunbara od władzy.

– Chyba jednak nie dość kluczową – stwierdził Bild. – Słyszałem, że wczoraj wieczorem staruszek wrócił do miasta. Nawet Victor unikał bezpośrednich starć z Henrym Dunbarem. Więc pewnie warto posłuchać. Przekonamy się, czy stary ma jeszcze jaja.

– Jaja? – spytał Cogniccenti. – Ten koleś jeszcze dwa dni temu był certyfikowanym wariatem. Bez ciebie oferta Eagle Rock jest praktycznie utopiona. Niby co on jeszcze może zrobić? Wystąpić z płomienną mową do zarządu i przekonać dyrektorów, że ich powierniczą odpowiedzialnością jest zrezygnować z dwudziestodwuprocentowej premii? Żeby potem do końca życia ciągali ich po sądach rozwścieczeni udziałowcy?

Steve ustawił na stole dwie butelki zimnego japońskiego piwa, jak gdyby mieli za chwilę oglądać mecz futbolowy.

– Wszystko przyklepane, Dick – powiedział, podkreślając głośność w komputerze. – Słuchaj i baw się dobrze.

– Nie! – zawołał Dunbar. – Tylko nie Florence!

– Przykro mi – powiedział lekarz, bardziej niż zwykle zdumiony niestosownością tej formułki.

– Musimy jej dać nowe organy – powiedział Dunbar – i podłączyć ją do aparatury na czas przeszczepiania. Jeśli nie macie innych, weźcie moje. Wiem, że są stare, ale jeszcze działają.

Dunbar zdjął marynarkę i ściągnął krawat.

– Panie Dunbar... – zaczął lekarz.

– To niezgodne z naturą, że ona umrze pierwsza – mówił dalej Dunbar, rozpinając kołnierzyk. – Powinno być na odwrót. Weźcie wszystko, czego jej trzeba: serce, płuca, wątrobę, nerki, oczy, wszystko, co może uratować jej życie.

– Panie Dunbar, nic się nie da zrobić. – Lekarz próbował go powstrzymać, kładąc mu rękę na ramieniu. – Przykro mi. Cały organizm jest zakażony. Nowe narządy odmówiłyby posłuszeństwa natychmiast po przeszczepieniu.

Florence została zatruta abryną – trucizną, na którą nie ma antidotum, wzbogaconą o inne toksyny, by śmierć była jeszcze pewniejsza i bardziej bolesna. Organizm był na bieżąco oczyszczany, przetaczano krew, dzięki temu Florence mogła zyskać nieco czasu, postępowała już jednak nieodwracalna zapaść.

Dunbar rozpinął się dalej, aż został nagi do pasa.

– Co ty wyprawiasz? – spytała Florence, wybudzając się z głębokiego farmakologicznego uśpienia.

– Chcę ci oddać...

– Och, tatusiu! – powiedziała Florence ze łzami w oczach.

Dunbar chwycił ją za rękę. Z ulgą i zgrozą zdał sobie sprawę, że nie czuje znieczulającego odrętwienia, które ogarnęło jego ciało kiedyś, przed laty, gdy powiedziano mu, że Catherine „nie da rady”. Wokół serca nie miał już murów, które pozwoliłyby odeprzeć na jakiś czas atak smutku i osamotnienia. Czy zdobycie ostatecznej samowiedzy polega na tym, że cierpi się z pełną świadomością? A przecież nie dalej niż wczoraj po raz pierwszy w życiu czuł się błogosławiony. Wszechogarniająca jasność jego

odświeżonego umysłu miała w sobie wręcz coś obscenicznego. Ach, gdyby tylko pojechał z Florence do Wyoming, gdyby zrezygnował z władzy w firmie nieco wcześniej! Teraz czuł się jak ktoś, kto odzyskał wzrok tylko po to, by pojechać na wózku zobaczyć *Apolla i Marsjasza* – i teraz siedzi przed tym płótnem, nie mogąc się ruszyć, nie mogąc odejść, i wie, że już nigdy nie wejdzie do żadnej galerii.

– Będę na zewnątrz – powiedział lekarz do Florence. – W razie potrzeby proszę wcisnąć guzik.

Florence skinęła głową w milczeniu, jak gdyby miała określoną liczbę słów do wypowiedzenia i nie chciała nimi szastać. Gdy tylko lekarz i pielęgniarki wyszli, odezwała się jednak:

– Wiecie, ja się nie boję umierać... Boję się raczej tego, że umierając, skrzywdzę innych... I że zmarnuje się tyle miłości.

Zerknęła na Chrisa, jak gdyby prosiła wzrokiem, by przebaczył jej w imieniu tych wszystkich ludzi, których skrzywdzi swoją śmiercią.

– Zmarnuje się tyle miłości – powtórzył Dunbar zdruzgotany tymi słowami i przerażony krajobrazem, jaki wytworzył się w jego myślach pod ich wpływem.

– Och, tatusiu – szepnęła Florence współczująco – tak się cieszę, że zdążyliśmy się pojednać.

– Przecież nie zdążyliśmy! – odparł Dunbar, nie mogąc się powstrzymać.

– Wiem... Dzieci... To straszne, że je opuszczam, kiedy są jeszcze takie młode.

Dunbar szukał w głowie jakiejś usprawiedliwiającej formułki, którą mógłby pocieszyć udręczoną córkę, rozmowa jednak okazała się dla niej zbyt wielkim wysiłkiem i nim zdążył uwolnić Florence od niezасłużonego poczucia winy, zamknęła oczy i znieruchomiła. Jej oddech był ledwie wyczuwalny.

– Niech odpocznie – powiedział Wilson. – Usiądźmy na chwilę.

Dunbar zapadł się w jeden z foteli w kącie pokoju. Wyglądał na zupełnie załamanego. Na nogach miał wypastowane lakierki i grafitowe spodnie od garnituru, od pasa w górę świecił niestosowną nagością. Przyglądał się białym kępkom włosów na swojej pierś, unoszącym się i opadającym w rytm oddechu, jak gdyby obserwował cudze ciało, wypatrując w nim oznak życia.

– Nie ma zmiłowania – powiedział, przyciskając ręce do głowy – ani w tym świecie, ani w żadnym innym.

Czuł, że ból obejmuje mu głowę niczym metalowa obręcz. Chwilę później podobna obręcz bólu zaczęła mu się zaciskać wokół piersi. Chwycił się rękoma za tułów, jak gdyby przytulał sam siebie po długiej rozłące, po czym zapadł się z powrotem w fotel, dysząc ciężko. Czuł, że ogarnia go bezgraniczna trwoga; taką właśnie trwogę musi czuć astronauta, gdy oderwie się od statku i leci bezwładnie przez nieruchomą ciemność kosmosu. Potem Dunbar poczuł, że głowę zalewa mu jakby gęsta powódź, jak wtedy w Davos, gdy się pośliznął na ścieżce i rozbił czaszkę. Zdawało mu się, że zatrzymał się o krok od omdlenia: czuł, że pomalu traci przytomność, a zarazem obserwował to z dziwnym dystansem.

Nagle zdał sobie sprawę, że jest przy nim lekarz i wydaje polecenia pielęgniarce. Usłyszał słowa „defibrylator” i „tlen”; alarmujący ton tego głosu zacisnął się wokół niego nie mniej niż ból, który od dłuższej chwili miażdżył mu głowę i serce.

– Bez obaw, panie Dunbar – powiedział lekarz, podnosząc strzykawkę.
– Zaraz przestanie pana boleć.

– Błagam, nie – stęknął Dunbar. – Dość już przeżyłem. Dość już widziałem.

– Wiem, że w tej chwili jest pan w ciężkim szoku...

– Chce pan pozbawić mnie widoku córki w ostatnich chwilach jej życia?

– A pan chce, żeby ona w ostatnich chwilach życia widziała pańską śmierć? – zareplikował lekarz.

Dunbar w myślach przyznał lekarzowi rację i zrezygnowany nastawił rękę do zastrzyku. Musi wytrzymać przy Florence, póki ona nie umrze, do ostatniej chwili wlewać w nią ostatnie resztki swojej witalności i życzliwości, równocześnie odraczając własne unicestwienie.

– Jeszcze więcej życia – mruknął, patrząc, jak przejrzysty płyn łączy się z jego krwiobiegiem, i czując, jak zastrzyk rozluźnia napięcie w jego głowie i piersi. – Czy mogę na osobności zamienić słowo z Wilsonem i Chrisem?

– Oczywiście – powiedział lekarz uprzejmie, jak gdyby przed chwilą nie nastąpiło między nimi żadne spięcie.

– Charlie. – Dunbar nachylił się, by dyskretniej pomówić z przyjacielem. – Nie chcę mówić o... Nie mogę mówić o...

– Rozumiem – powiedział Wilson.

– Ale kiedy będzie po wszystkim... czy możesz wtedy nakazać tym draniom, żeby nie ratowali mi życia?

– Możemy zaraz spisać ostatnią wolę.

– Niech będzie po mojemu – powiedział Dunbar, jak gdyby z rozmysłem cytując samego siebie. – Nie pozwól moim córkom przejąć firmy. Jeśli nie będzie innego sposobu, pomóż Cogniccentiemu. Zbadaj też, czy któraś z nich przyłożyła rękę do otrucia Florence, a jeśli tak, dopilnuj, by do końca życia nie wyszła z więzienia.

– Dopilnuję – zapewnił Wilson. – Abby już teraz jest poszukiwana przez brytyjską policję w związku z samobójstwem Petera Walkera.

Dunbar ponownie zapadł się w fotel.

– Peter popełnił samobójstwo?!

– Przykro mi. Sądziłem, że Florence ci powiedziała.

– Nie! – powiedział Dunbar i zagapił się tępo przed siebie, jak gdyby wskutek nadmiaru zgrozy stał się pusty w środku, jak gdyby nie znajdował już w sobie miejsca na żadną myśl, żadne słowo, żaden smutek. Widział Florence leżącą nieruchomo, z zamkniętymi oczyma. Chris siedział obok niej, patrzył, jak oddycha. – Nic mi nie mówiła – odezwał się w końcu. – Biedny Peter. Był moim przyjacielem. Bez niego nie dałbym rady.

Patrzył na Wilsona z żarliwym niedowierzaniem w oczach.

– Jak do tego doszło, Charlie? Dlaczego twój syn patrzy, jak moja córka umiera? Dlaczego mój świat legł w gruzach właśnie wtedy, gdy po raz pierwszy w życiu zacząłem go rozumieć?

– Każdy z nas kiedyś obróci się w pył – powiedział Wilson. – Ale zrozumienie nie zginie, jest niezniszczalne, dopóki jest ktoś, kto na przekór wszystkiemu gotów jest mówić prawdę.

Podziękowania

Chciałbym podziękować mojemu przyjacielowi Dominicowi Armstrongowi za fachową pomoc przy opracowywaniu biznesowych i finansowych wątków tej powieści.

Jestem też wdzięczny Johnowi Rogersonowi za wyjaśnienie pewnych zagadnień prawnych, które pojawiły się w związku z przedstawioną w niej intrygą.

Dziękuję Monice Carmonie, że zainteresowała mnie szekspirowską serią Hogartha, oraz Juliet Brooke za znakomitą opiekę redakcyjną, gdy już zaangażowałem się w projekt.

Chcę także podziękować Jane Longman i Francisowi Wyndhamowi, którzy zawsze pierwsi czytają moje książki i służą mi zachętą.

¹ William Wordsworth, *Wiersze napisane w górach, w odległości kilku mil od opactwa Tintern, podczas powtórnych odwiedzin brzegów rzeki Wye 13 lipca 1798 roku*, przeł. Zygmunt Kubiak.

² William Shakespeare, *Makbet*, akt 2, sc. 2, przeł. Stanisław Barańczak.

³ William Shakespeare, *Król Ryszard II*, akt I, sc. 1, przeł. Leon Ulrich.

Redaktor inicjujący: Magdalena Gołdanowska
Redaktor prowadzący: Magdalena Matuszewska

Przekład: Maciej Płaza
Redakcja: Marianna Sokołowska
Korekta: Beata Wójcik, Agnieszka Mąka

Jacket design: Christopher Brand

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. (22) 828 98 08
faks (22) 395 75 78
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-6584-0

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

The logo for Virtualo, featuring the word "virtualo" in a bold, lowercase, sans-serif font. The letter "v" is stylized with a blue and green gradient, and the "o" at the end is a solid blue circle.